

Zającówna Janina

Czerwony płomień Sebastiana

Siedemnastoletnia Iga na prywatce u koleżanki poznaje Stefana. Zakochuje się w nim od pierwszego wejrzenia – i to z wzajemnością. Choć rodzice obojga są przeciwni temu związkowi, młodzi nie widzą poza sobą świata. W sielankową rzeczywistość (przerywaną najpierw drobnymi szykanami ze strony matek, potem – kwestią niechcianej i potajemnie usuniętej ciąży) brutalnie wdziera się polityka. Stefan jest Żydem, w 1968 roku zostaje zmuszony do opuszczenia Polski. Życie Igi staje się pasmem tęsknot – nie wiadomo, czy zakochanym uda się znowu połączyć.

Zastanawiam się często, jak żyłam, kiedy go nie znałam, jak mogłam spać, poruszać się, chodzić po ulicach, wyjeżdżać nad morze. Nie. To niemożliwe. Kiedy go nie znałam, mnie również nie było. Żyłam w uśpieniu, czekając na ten dzień. Wtedy dni były znaczone tajemniczym tchnieniem: karnawał, zima, zasy na ulicach i niebo białe od chmur śniegowych.

Teraz patrzę na niebo wypalone słońcem, które również jest białe, lecz ta biel parzy ogniem, zmusza do ucieczki w cień lub do szukania osłony w ciemnych szklach okularów, gdyż rani wzrok.

Tęsknię za śniegiem i za tym drzewkiem, co wpatrywało się w nasze okna. Ku niemu codziennie rano, budząc się, kierowałam pierwsze spojrzenie. Lubiłam ten dom z niewielkim ogródkiem, krzyki sąsiadów nigdy mi nie przeszkadzały, hałas w naszym domu też nie był dokuczliwy... miałam siedemnaście lat, była zima i ja kochałam wiersze Gałczyńskiego, sama też chciałam pisać, myślałam, że się do tego dorasta, wystarczy dużo czytać, wsłuchiwać się w szelest wiatru, w mowę gwiazd i rozbłyski światła, gromadzić to w sobie niczym jakieś skarby, a poezja sama wybuchnie, objawi się światu w swej najczystszej postaci. Żyłam w świecie swoich fantazji, wiem, ale tamta odległa zima była kwintesencją poezji i był karnawał... Cieszyliśmy się, że jest. W naszym domu też było wesoło. Mama szykowała się na bal u ojca w pracy, włożyła suknię z brokatu, mieniącą się złocistymi gwiazdkami, którą uszyliśmy dla niej z babcią, złote pantofle, umalowała oczy... Ja się nigdzie nie wybierałam, miałam zamiar czytać i patrzeć, jak

zmrok otula okna i jak świerk srebrzy się w blasku latarni. Nic z tego nie wyszło, ponieważ zadzwoniła Iwona, kazała mi się ładnie ubrać i przyjść. Nalegała jak nigdy. Nie potrafiłam się wykręcić. Pojechałam.

U niej było jak zwykle więcej dziewcząt niż chłopców, więc wszyscy razem kręciliśmy się w takt głośnej muzyki. I wtedy wszedł Stefan w towarzystwie rozszczebiotanej cukierkowej blondynki. Oboje przyprószeni śniegiem, zaczerwienieni od mrozu. On zrzucił krótki kożuszek w przedpokoju i usiłował przygładzić włosy, ale one nie chciały go słuchać, więc wszedł z nastroszoną czupryną chuchając na zziębnięte dłonie. Zatrzymał się jeszcze w drzwiach do pokoju i nadal próbował ucywilizować swoje niesforne włosy.

Nagle zobaczył mnie i zapomniał o nich, uśmiechnął się i od tego momentu patrzył już tylko na mnie. Pod wpływem jego uśmiechu i spojrzenia tak odmiennego od wszystkich bez chwili wahania podeszłam do niego i zapytałam, czy chce zatańczyć. Skinął głową i z jeszcze szerszym uśmiechem wziął mnie za rękę tak jakoś miękko, serdecznie, że zapragnęłam zostać z nim dłużej. Chciałam tylko, żeby mnie trzymał za rękę, nic więcej. Iwona włączyła tango. Tańczyliśmy w jakimś dziwnym zauroczeniu, nie dostrzegając nikogo. Tuliłam się do niego, on do mnie. W pewnej chwili dotknął mojego rozpalonego czoła.

— Co my tu robimy? Chodźmy stąd! — powiedział. — Chodźmy stąd! Szybko! Szybko!

Wyszłam za nim. Iwona wołała: Iga! Zaczekaj! Dokąd ty się śpieszysz? Stefan, dokąd ty idziesz? Dopiero przyszedłeś. Co wy wyprawiacie? Psujecie mi zabawę. Jest bigos, barszczyk...

— Bigos! Barszczyk! O Boże! Zwariowała chyba — śmiał się Stefan trzymając mnie za rękę.

Wyszliśmy na podwórze, wokoło cicho, ciemno. Księżyc wysunął się zza komina i groźnie na nas spoglądał. Zrobiło mi się głupio, że tak wyszliśmy. Powiedziałam:

— Może wrócimy?

— Chcesz? — przestraszył się, w jego głosie wyczułam rozpacz. — Chcesz wrócić?

— Nie, ale to nie wypada, głupio.

— Daj spokój! Co ty opowiadasz, głupio. Spójrz na ten księżyc,

jak on na nas patrzy. Daj mi rękę! Och! Jaka ciepła, jaka miękka jest twoja ręka. Masz długie palce, grasz?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałam. Nie mamy pianina. Zresztą kto mnie miał uczyć?

— Ja cię nauczę. Będiesz grać najpiękniejsze walce Chopina, mazurki, polonezy...

— Jestem za stara, grać trzeba się uczyć wcześniej. Może jednak wrócimy? Przyszedłeś z dziewczyną, tak mi się zdawało. Jak ona ma na imię?

— Grażyna. Mieszka tu niedaleko, może wrócić sama do domu, nic jej się nie stanie.

— Ale to twoja dziewczyna! Pisałeś do niej wiersze!

— Skąd wiesz? Nie pisałem wierszy do żadnej dziewczyny, ale dla ciebie napiszę, z tobą będę mówił wierszami, skomponuję nawet symfonię.

— Przepraszam, ty komponujesz?

— Nie, ale czy to trudno napisać symfonię, patrząc w twoje oczy?

— Och! Wróćmy tam lepiej. Iwona miała rację zatrzymując nas, głupio wyszło.

Iwona mieszkała na małej uliczce w pobliżu placu Zbawiciela, stamtąd szliśmy w dół Belwederską na Sadybę, był śnieg, ślisko, rzadkie samochody ledwie mąciły ciszę, gdzieś w dole przy Belwederskiej natknęliśmy się na sprzedawcę baloników, kupiliśmy jeden, on wyrwał się, opadał na ziemię jak ptak, biegaliśmy za nim łapiąc go i parę razy nasze ręce zetknęły się ze sobą. Stefan śmiał się tak jakoś zaraźliwie, ochoczo i śmiejąc się powiedział:

— Jakie ty masz piękne oczy, jak muszle, błękitne muszle, widziałas kiedyś błękitne muszle?

— Nie ma takich. Muszle są białe, szare, brązowe, niebieskich nie ma.

— Na pewno są, masz oczy jak muszle, włosy jak deszcz... Wiedziałam, że to nieprawda. Moje włosy były nijakie, nie miały określonego koloru, ni to blond ni szare, jakieś płowe, słowiańskie kłaki poskręcane w loczki, trudne do rozczesania, a on powiedział, że są jak

deszcz, tworzą aureole, koronę czy też srebrny kask. Takie jakieś rzeczy mówił, wstyd je nawet powtarzać, może przy księżycu na tle śniegu tak wyglądały, nie wiem, wszystko było nierzeczywiste, ten balonik, i ta cała noc biała z dziwnymi latarniami, i jacyś pijacy. W Warszawie oni stanowią nieodłączną część krajobrazu. Nie zaczepiali nas, jeden poprosił Stefana o papierosa, a kiedy go dostał powiedział:

— Jest pan moim dozgonnym przyjacielem, gdyby pan czegoś potrzebował, spotka mnie pan tu i tu...

W domu babcia siedziała przed szemrzącym telewizorem.

— Co to, nie udała się zabawa — spytała zdziwiona — już jesteś?

— Babciu, przyszedłam z kolegą, pozwól, że ci go przedstawię.

— A chodźcie, chodźcie—ucieszyła się. — Sobota, karnawał, wszyscy się bawią, a w telewizji jakaś bzdurna komedia nie do wytrzymania. Więc co, napijemy się herbaty? Upiekłam ciasteczka, twoje ulubione.

Stefan też je polubił, chociaż były twarde jak kamienie. Babcia objęła go szczerym uśmiechem i zapytała:

— Coś ty taki chudy? On się speszył.

— Chudy, nie wiem, rosnę jeszcze.

— Ile ty masz lat?

— Dziewiętnaście.

— I jeszcze rośniesz?

— Chyba tak.

— Jesteś wystarczająco duży, masz dwa metry?

— Nie, metr osiemdziesiąt pięć.

— Iga ma metr sześćdziesiąt pięć, jesteś od niej o dwadzieścia centymetrów dłuższy.

Przyniosła herbatę, ciasteczka, a my chcieliśmy już wtedy być razem, patrzeć na siebie i milczeć.

Babcia zgarnęła nas do swego pokoju i nie było mowy, żeby się od niej wyrwać, pokazywała zdjęcia, jak byłam dzieckiem i jak szłam na bal, przebrana za biedronkę. Stefan oglądał je zachłannie z wypiekami na twarzy i porównywał mnie z tamtą smarkulą siedzącą w łóżku czy nagą z podniesionymi tłustymi nogami, rozwrzeszczaną.

— Nie, to nie jesteś ty, ty nie mogłaś krzyczeć, nie mogłaś.

— Krzyczała, krzyczała — potwierdziła babcia. — Była wrzask-

Iiwym dzieckiem. Jak miała złe noce, stawiała na nogi cały dom. Nie było sposobu, żeby ją uspokoić. No, teraz nie wrzeszczy, teraz jak się złości, to z nikim nie rozmawia.

— Potrafisz się złościć?

Znowu spojrział na mnie tymi oczami, w których był blask pogodnego nieba. Nikt nie miał takich oczu, nikt do mnie nie mówił tak tkliwie i miękko, z takim zachwytem, głosem pełnym muzyki. W banalne pytania wkładał całą duszę.

— Naprawdę się złościysz? Ja się uśmiechnęłam.

— Pewnie nie potrafisz.

— Potrafię. Każdy się złości,

— To się złość, tylko nie na mnie, złość się na wszystkich, ale nie na mnie.

— Dlaczego miałabym się na ciebie nie złościć?

— Bo ja cię lubię. Nie można złościć się na człowieka, który cię lubi.

— O, ją wszyscy lubią, zapytaj w szkole — uśmiechnęła się babcia. —

Koleżanki przepadają za nią. Każdą wysłucha, pocieszy, dla każdej znajdzie jakąś radę i czas, dla mnie i dla sióstr go nie ma, ale dla koleżanek ho, ho. Siostry też ją lubią, a ja chyba najbardziej. — Pokiwała głową. — No to idźcie już stąd, chcecie posiedzieć sami, pogadać, a ja wam dziękuję, och, zmęczyłam się chyba — wyrzuciła nas z pokoju.

Nagle znaleźliśmy się w pełnym świetle, okropnie ostrym, jasnym, sami. Zrobiło nam się jakoś niezręcznie. Co będziemy robić, pomyślałam w popłochu. Rozmazał mi się tusz na powiekach, włosy jeszcze bardziej się rozwichrzyły. O czym będziemy rozmawiać? Byłam nieludzko speszona, zdenerwowana, włączyłam adapter i nastawiłam to, co słuchałam najczęściej, koncerty brandenburskie Bacha, zapaliłam czerwoną świecę, bardzo lubiłam czerwony kolor, płomień oczywiście nie był czerwony, ale świece tak.

— Lubisz Sebastiana? — zdziwił się.

Skinęłam głową. Stefan usiadł na podłodze, ja obok, świecę postawiliśmy między siebie i słuchaliśmy; skończyła się płyta. W ciszy, która wydawała nam się nieposkromiona, obejmująca wszechświat, rozległo się chrapanie babci, przerywane poświstywaniem, wdarło się

między nas nagle i zaraz ucichło. Świeca dopalała się, skwierczał płomień. Wstałam, Stefan zrozumiał, że trzeba iść, czas się żegnać, nie wiedziałam która godzina, bałam się, że rodzice zaraz wrócą z balu, albo że siostry się zbudzą, wejdą do nas, narobią hałasu. Chciałam, żeby poszedł, wołałam śnić o nim, wyobrażać go sobie, ale nie chciałam, żeby był, jeszcze się z nim nie oswoiłam, on był jeszcze obcy.

— Co, już mam iść? — zamrugał oczami.

— Rodzice wrócą niebawem. Jest późno. Zresztą nie wiem... Wyszedł, okrążył dom dookoła, zajrzał do mnie przez okno, położył dłoń na szybie, a potem przywarł do niej całą twarzą. Zostałam z jego obrazem w oczach. Z czubem włosów sterczących nad czołem wyglądał śmiesznie i pięknie. Śmiał się oczami, które były niebieskoszare, zmieniały barwę w zależności od światła.

Nie spałam, zamykałam oczy, chciałam zasnąć, mówiłam: za chwilę zasnę, już, już i nic. Wlokła się za mną jedna sprawa, z którą nie wiedziałam co zrobić. Chciałam być okrutna i nie mogłam. Mówią, że kobiety są okrutne, a ja nie byłam, nie kochałam jeszcze. To dlatego. Miłość wyzwala najgorsze instynkty, okrucieństwo, sadyzm, bezduszość. Nie wiedziałam, że kiedy się kocha, bezwiednie i jakby mimochodem zadaje się innym ból. Jeszcze nie kochałam, a już byłam gotowa zadawać ból. Myślałam o chłopaku, którego poznałam na wakacjach, kiedy byłam z rodzicami nad morzem. Oni wieczorami grali w brydża, a ja pilnowałam sióstr. Czasem, kiedy mi zalazły za skórę, zamykałam je na klucz i szłam do świetlicy, gdzie odbywały się tańce, właściwie zaglądałam tam tylko i wychodziłam speszona. Przerazały mnie chwile wyczekiwania przed tańcami, nie mogłam ustać w miejscu, czułam się jak niewolnica wystawiająca na sprzedaż swoją twarz i ciało, obleczone w kretonową sukienkę.

Któregoś wieczoru zostałam dłużej niż zwykle, taneczne rytmy przyciągały tajemną mocą, wabiły, uległam im i zaczęłam podrygiwać idąc do drzwi.

— Czy mogę, czy mogę prosić? — Chłopak, którego widywałam

wcześniej w stołówce, wyciągnął do mnie szorstkie dłonie z pęcherzykami od wioseł. Nie odpowiedziałam, ale pozwoliłam prowadzić się w tańcu. Tłum gęstniał, muzyka otaczała nas wilgotną pianą, lekki wietrzyk wskakiwał przez okno. Dźwięki płynące z głośników układały się w dziwne figury, szybko, szybciej... Chłopak zwiększał tempo i ostro na mnie nacierał. Ja się cofałam, odskakiwałam, a raz z całym impetem rzuciłam się w jego stronę i zaraz uciekłam. On uniesionymi dłońmi wybijał zgrabne rytmy, którym poddawały się nawet stateczne matrony. Nagle muzyka umilkła, ucięta końcowym akordem. Pary złączone dotąd w uścisku odskakiwały od siebie, w nagłej ciszy zamierały czułe westchnienia, intymność dotychczasowych gestów stała się nieprzyzwoita. Kiedy dotarłam do drzwi, szorstkie ręce z pęcherzykami od wioseł zatrzymały mnie znowu. Przyszły im w sukurs dźwięki perkusji i skrzypiec. Zostałam. Nie obchodziło mnie, co mówił chłopak. Z głośników płynęło somnambuliczne tango. To wystarczało. Niepotrzebne mi były słowa. Zrozumiał to i przestał się odzywać, ale w krótkich przerwach między tańcami stawał w wąskim przejściu prowadzącym do drzwi i z zaciętym wyrazem twarzy zagradzał mi drogę, nic już nie mówił, onieśmielony moim milczeniem. Odpychałam go, kiedy mnie przytulał, a raz niespodziewanie przyciągnęłam go do siebie i musnęłam ustami w policzek. „Było to jak dotknięcie Boga” — powiedział. Ja się odsunęłam i poszybowałam do wyjścia. Dogonił mnie i wtedy zgasło światło. Wszystko zniknęło w mroku, nikt nikogo nie widział, gwiazdy na czarnym niebie zapłonęły jaskrawiej.

— Wyjdziemy? — zapytał z determinacją w głosie.

— Tak — potwierdziłam i nie wyrwałam ręki. Szedł przodem trzymając się ściany, ja posłusznie podążałam za nim. Na dworze było jasno.

Księżyc wytrysnął z morza i piał się do góry. Zadrżałam od wieczornego chłodu, a on bez chwili wahania podał mi swoją kurtkę. Podziękowałam wciągając ją na siebie.

— Ty jednak mówisz? — zdziwił się śmiejąc. — To dlaczego milczałaś do tej pory? — Widocznie nie miałam nic do powiedzenia.

— Mogłaś przynajmniej powiedzieć, że dobrze tańczę.

— Przecież wiesz o tym.

— Wiem, a jednak chciałbym to usłyszeć od ciebie.

— Tańczysz wspaniale. Szkoda, że to już koniec. W takich dziurach jak ta wyłączają zazwyczaj światło na kilka godzin — patrzyłam w niebo, urzeczona księżycem, który wznosząc się coraz wyżej wydobywał z mroku skupisko domków kempingowych przyrosnięte do brzegu. W jednym z nich moi rodzice grali w brydża. Za tymi domkami las szumiał kusząco i groźnie. Zapragnęłam tam pójść. Chłopak się sprzeciwił.
— To niebezpieczne — powiedział. — W ubiegłym roku w tym właśnie lesie znaleziono ciało młodej dziewczyny.

Ruszyłam bez słowa w kierunku plaży, tam było bezpiecznie, chociaż mniej romantycznie. Plaża cieszyła się powodzeniem nie tylko w dzień, w nocy przesiadywały w koszach zakochane pary i dziarskie staruszki niezmordowane w podziwianiu widoków. Udało nam się znaleźć wolny kosz. Usiadłam i uśmiechnęłam się do siebie. Fale lizały brzeg i odpływały z pluskiem. Rozcapierzony księżyc niczym żar-ptak z rosyjskich bajek czuwał nad wszystkim i pilnował, żeby nikomu nic złego się nie stało. Wiedziałam, że chłopak mnie kocha i że w tej chwili gotów jest dla mnie wszystko uczynić, ja go też kochałam, jutro pewnie o nim zapomnę, on o mnie też, rozproszymy się po świecie, każde pojedzie w swoją stronę, nie będziemy wymieniać adresów, niech tak zostanie, chłopak jednego wieczoru, kilku tańców i jednej chwili. Poprosiłam, żeby objął mnie i pocałował... To go wprawiło w zakłopotanie. Nie lubi — powiedział — kiedy dziewczyny przejmują inicjatywę, chce pokonywać przeszkody, krok po kroku zmierzać do celu, więc ja powinnam być jak skała, twarda, nieustępliwa, nie do zdobycia.

— Och! Nie zdobędziesz mnie nigdy — roześmiałam się.

Nie wiedział, z czego się śmieję i nie przestawał się oburzać. Powinnam się wstydzić, nigdy nie przypuszczał, że jestem taka zepsuta — zbierało mu się na płacz, a ja śmiejąc się mówiłam:

— Chciałabym być zepsuta, ale nie jestem, nie będę, bardzo żałuję, nie potrafię być kimś innym niż jestem, chcę robić to, co inni, i nie potrafię, to moja największa wada. Nie rób takich okrągłych oczu, nie bądź taki czysty, nieskazitelny, to mnie okropnie złości. Chwila przeszła, minęła i nie powróci. Byłam w tobie śmiertelnie zakochana, a teraz chcę spać.

— Jak na niemowę gadasz stanowczo za dużo. Pozwól i mnie

przeżyć coś podobnego. — Pochylił się i patrzył na mnie świetlistymi oczyma, przysunął nieśmiało rękę i chciał zanurzyć mi palce we włosy, cofnął ją zaskoczony, moje włosy niczym kolczaste krzewy broniły się same, został z rozpląszczoną dłonią nad moją głową.

— Co ty masz za włosy — wykrzykiwał — jakaś wiązka siana, zwoje kolczastego drutu?

Odepchnęłam go mówiąc, żeby się nie kłuł. Próbował się zrehabilitować. Nie słuchałam go. Chwila przeszła, minęła, był mi zupełnie obojętny.

Włókł się za mną grzęznąc w piasku i mówił, mówił do ściany, bo ja go nie słuchałam.

Moje siostry ze wszystkiego robią sensację, ich rozhuśtana wyobraźnia każdą błahą sprawę przeistacza w zdarzenie, chodzą, szpiegują, zadają się z bandą takich samych gnojków jak one, zaśmiecają świetlicę, plac zabaw i pobliski lasek. Mają swoje wojsko, ciężką artylerię, zwiadowców, telegrafistów, spadochroniarzy, jedną lornetkę, sygnalizacyjne lusterko i nieprzebrane ilości gumy do żucia. Szepczą ustawicznie po kątach, robią jakieś głupie miny, kiwając się na krzesłach. Mnie to okropnie złości, karczę je, uspokajam, one mają to gdzieś. Lekceważą mnie demonstracyjnie, mamy się boją, ojca słuchają, a mnie lekceważą.

— Wyjechał — mówią — rannym pociągiem do Łodzi. Kazał ci się kłaniać. Mama nie wytrzymuje i pyta kto, wtedy one na wyścigi, wpadając sobie w słowa, relacjonują: — Tańczył z nią cały wieczór, cały czas z nią. Mama nie potrafi skryć niepokoju, usłużna wyobraźnia podsuwa jej wszystko co najgorsze, co sama kiedyś przeżyła, zna i pamięta, a o czym usiłuje nigdy nie myśleć. Wtedy była okupacja, stan permanentnego zagrożenia wyciskał na wszystkim swe piętno, żyło się w przyspieszeniu, dniem dzisiejszym, bojąc się myśli o przyszłości, a tym pięknym chłopcom, którzy szli na akcje, nie wypadało odmawiać, wtedy ta ich pozorna rozwiązłość była uzasadniona potrzebą chwili, koniecznością i obowiązkiem, a teraz młodzież po prostu jest rozwyzdzona, chce mieć wszystko od razu, na nic nie chce czekać, niczego sobie nie odmawia. Mama chciałaby oszczędzić nam, swoim córkom, złych doświadczeń i przykrych przeżyć, ale nie wie jak to zrobić.

Nikt nie wie. Ja najbardziej ją niepokoję. „Wiem, mówi, że jesteś skryta, nieufna i coraz ładniejsza. Mężczyźni lubią ten typ, niewysoka

blondynka o twarzy dziecka i wyrazistych oczach, które zbyt często popadają w zadumę".

Gdakanie siostr nie milknie ani na chwilę. Mama lekceważącym uśmiechem bagatelizuje sprawę, nie może się jednak powstrzymać od pytania o tego chłopca. Chciałaby wiedzieć, gdzie go poznałam.

— Nigdzie — odpowiadam ze złością. — One konfabulują. — Morduję je spojrzeniem, nareszcie milkną, a mama patrzy z niepokojem na swoje córki tak odmienne i różne, i w duchu dziękuje Bogu, że ten chłopak wyjechał. My też wyjeżdżamy, kończą się wakacje, na które znów przyjdzie czekać cały rok.

Chłopak o szorstkich rękach z pęcherzykami od wioseł nie zniknął z mojego życia. W sobie tylko wiadomy sposób — przypuszczam, że moje siostry maczały w tym palce — zdobył mój adres i przysyłał listy, w których pod wachlarzem słów skrywał swoje prawdziwe uczucia.

Odgadłam to bez trudu. Po cóż by pisał, mając tyle zajęć, piłkę, pływanie, angielski i szkołę techniczną, której nie znosił, musiał ją jednak skończyć, żeby robić to, co naprawdę lubił, to znaczy studiować na AWF-ie w Warszawie, nawet gdyby miał dojeżdżać codziennie pociągiem z Łodzi dwie i pół godziny w jedną i tyleż samo w drugą stronę. Podobał mi się jego upór, jasność, zdecydowanie w dążeniu do celu. Wiedziałam, że wszystkie przeciwności, których nikomu nie szczędzi los, pokona w biegu. Życie takich jak on układa się według znanych schematów, niezależnie od tego, czy towarzyszy im pasja czy wyrozumowany upór w dążeniu do celu. Jemu towarzyszyła pasja i to mnie ujęło.

Odpisałam na Ust, niezbyt wylewnie, kilkoma zdaniem, wiedziałam, że cokolwiek bym napisała, nie ma znaczenia. Znajomość z tym ładnym chłopcem umrze śmiercią naturalną. Już tak nieraz bywało. Wakacyjne przyjaźnie, flirty i zauroczenia trwały najwyżej kilka tygodni, nie podsycany ogień gaśnie nieuchronnie, tym bardziej że w sobie nie czułam żaru, zaciekawienie nim również nie było wielkie i gdyby nie determinacja i upór z jego strony natychmiast zapomniałabym o nim. Zaraz po tym liście przyjechał do Warszawy pod wymyślonym pretekstem. Chodziło o jakieś eliminacje czy mecz, nie pamiętam. W każdym razie trafił jak najgorzej, do mnie przyszło kilka osób, ja podawałam kanapki i napoje, niewiele tańczyłam, z nim wcale, dopiero

w niedzielę miałam dla niego trochę czasu, czytałam mu wiersze, mówiłam o teatrze. On siedział otępiały, ziewał, wreszcie zasnął w fotelu, wypędziłam siostry z pokoju, żeby mu nie przeszkadzały, domyśliłam się, że ostatnią noc spędził na dworcu. O czwartej odprowadziłam go na pociąg. Powiedziałam, żeby nie przyjeżdżał, jeżeli nie ma się gdzie zatrzymać, niech nie przyjeżdża, nie chcę się z nim widywać, nie chcę takich ofiar.

— Są sprawy, które wymagają ofiar — wyszeptał zbielełymi wargami i cmoknął mnie w policzek.

Pociąg gwizdnął przeciągle, po kołach przebiegło drżenie. Ujrzałam go jeszcze, jak przeciskał się przez korytarz, szukając miejsca w zapchanym wagonie. Wracałam pieszo do domu, cieszyłam się, że jest wiatr i pierwsze płatki śniegu kręcą się jak motyle. Wcale nie myślałam o nim, a on przyjeżdżał nadal, z tym że już nie nocował na dworcu. Jeszcze w liście przykazałam, żeby tego nie robił, niech przyjeżdża rannym pociągiem w niedzielę, pójdziemy do muzeum, pokażę mu miasto. Potem miałam kłopot ze spełnieniem tej obietnicy. Nie wiedziałam, co można pokazać chłopakowi z Łodzi, kino miał u siebie, teatr również, zresztą i tak by nie zdążył. Z Pałacu Kultury też nie najciekawszy widok, z zachodniej strony straszyły jeszcze nagie czerepy domów, Wisła była mętna i szara, zwłaszcza że skończyły się pogodne dni i miasto pod ciężką zasłoną jesiennego nieba było puste. Na kawiarnie nie mieliśmy forsy, chodzenie po omszałych, śliskich ulicach z topniejącym śniegiem na twarzy nie należało do przyjemności, zresztą jesień odsłoniła stare i nowe blizny na domach, cuchnące śmietniki, dziury w jezdni zamienione w kałuże, wybite szyby w tramwajach, połamane stopnie przy wejściach do autobusów. Wszystko to nagle odkryłam chodząc z nim po mieście. Męczyły mnie bezsensowne wędrówki, nudziły sprawozdania Darka o pobitych rekordach i strzelonych bramkach.

W domu kochane siostrzyczki tylko czekały na nasz powrót, witały nas już przy furtce, uśmiechnięte, pyzate, strzygły uszami, łowiąc każde słowo. Jutro albo jeszcze dzisiaj powtórzą je mamie, a ona zamiast je skarcić uśmiechnie się z pobażaniem, rada, że i tym razem nic nie umknęło jej uwadze. Zresztą już przestała się o mnie martwić, Darek przypadł jej do serca, polubiła jego ogorzałą twarz, pewne, otwarte

spojrzenie, czysty śmiech, a nawet gadanie o sporcie. Piekła dla niego ciasto drożdżowe z kruszonką, które on połykał w biegu, nie szczędząc jej pochwał. Siostry wieszały się na nim, powierzając mu szeptem jakieś niezwykle tajemnice.

W niedzielę u nas jest zawsze mięso. Choćby nie wiem jak krucho było z forszą, jest pieczeń wołowa lub schab i zupa pomidorowa z ryżem, obowiązkowo kompot czereśniowy, a po krótkiej przerwie, ponieważ Darek musi się spieszyć, ciasto drożdżowe z kruszonką i wodnista herbata. Mama dla siebie parzy kawę w szklance, polskim sposobem, który nazywa tureckim, ojciec wypija kieliszek nalewki z czarnej porzeczki i idzie na górę się zdrzemnąć. Żegna się z Darkiem mocnym uściskiem dłoni, wyrażając nadzieję rychłego zobaczenia się z nim. On też go lubi, wszyscy w naszym domu przepadają za nim, wszyscy prócz mnie i babci, która prawie go nie dostrzega. Darek kończy pić herbatę, zdecydowanym ruchem sięga po serwetkę, wyciera usta, wszystko w nim zgrane, celowe, pozbawione wahań, energia przepływa w określonym kierunku, nie rozłazi się po bokach. Całuje mamę w rękę i chwali obiad, placek, a nawet herbatę. Mama pęcznieje z dumy.

— Dobry z ciebie chłopiec i miły, potrafisz docenić cudze starania — patrzy z ukosa na mnie i ma mi za złe, że ja jestem źle wychowana, jem z nosem w książce, nie zauważając co, spóźniam się na obiad, nigdy niczego nie chwale.

Mama odprowadza Darka do przedpokoju, każe mu się zapiąć, naciągnąć czapkę na uszy i po krótkim wahaniu zaprasza go na następną niedzielę, każe mu przyjechać w sobotę i ofiarowuje nocleg w dużym pokoju, który jest jednocześnie kuchnią, jadalnią, salonem i pokojem gościnnym. W pewnej chwili rzuca mi niepokojące spojrzenie i pyta, co ja na to. Boi się, że powiem coś niestosownego. Kiwam głową, to ją usposabia do mnie życzliwie. Trzeba jechać na dworzec, w autobusie milczę, on mówi, ja nie słucham, puste gadanie, pozbawione cienia refleksji, niekontrolowany strumień wody, w którym jest jakiś kolega, oczywiście sportowiec, biegi popołudniowe, marsze jesienno-zimowe, i najnowsze nagrania. Tłok coraz większy, dużo oddechów i dużo słów, nareszcie dworzec, wysiadamy, cmok, cmok i do widzenia. Ludzi pełno w przedziałach, pociąg gwizdże, nie ma go, skrył się w oddali, mogę opuścić rękę.

Za każdym razem chcę mu to powiedzieć, wypieściłam w sobie te słowa, powtarzam je w myślach i za każdym razem opuszcza mnie odwaga, droga w ścisku na dworzec trwa długo, na przystanku nigdy nie jesteśmy sami, wszędzie pełno ludzi, nie mam nigdy ochoty wziąć go za rękę, powtarzam matematyczne wzory. Boże! Boże! Dlaczego ludzie torturują innych w ten sposób. Jeśli o mnie chodzi, mogę obejść się bez całek, różniczek i funkcji. Będę pisać wiersze. Czy znajomość wyższej matematyki pomaga w pisaniu wierszy? Wolałabym się uczyć łaciny, kupiłam nawet podręcznik w antykwariacie. Łacina i włoski — to języki, które powinien znać każdy cywilizowany człowiek. On optuje za angielskim. Po co komu włoski? Nie przestaje się dziwić. Cały świat mówi po angielsku.

To nie może tak trwać, przyjazdy, odjazdy, jego mocne uściski, parę nieśmiałych pocałunków, jakieś słowa, których się nie pamięta, tańce u Iwony, inne od tamtych nad morzem, kieliszek szampana i jego zgorszone spojrzenie. Gwizd pociągu, ręka idzie w górę. Odjazd. Chciałam być okrutna i nie umiałam. To przyszło samo. Okrucieństwo jest wpisane w nasze życie jak śmierć, można postanawiać zostać aniołem i tak się to nie udaje. Życie wywlecze wszystko, nie oszczędzi nikogo. Po tym wieczorze u Iwony Stefan nie pokazał się, nie przysłał listu, nie mógł zadzwonić, ponieważ nie mieliśmy telefonu. Pierwszy raz żałowałam, że go nie mamy, wieczorem zrobiłam ojcu awanturę. Wszyscy — mówiłam — mają telefony. Iwona, Grażyna, Majka, a my nie, na tym zadupiu, na tych peryferiach gdzie diabeł mówi dobranoc, odcięci od wszystkiego.

Ojciec zdziwiony moim wybuchem zmarszczył brwi: odsapnął i powiedział z poczuciem winy, że złożył podanie, trzy lata już czeka, jak uruchomią nową centralę, dostaniemy telefon w pierwszej kolejności. Tłumaczył się, a ja zachęcona jego skruchą mówiłam dalej:
— Wszystkie dziewczyny mają swoje pokoje, a ja nie mam gdzie się skryć ze swoimi myślami, nie mam gdzie się uczyć, te dwie jędze depczą mi po piętach.

— Coś ty taka nerwowa — zaniepokoiła się mama — dostałaś kartkę od Darka. Co on pisze? Ma jakieś kłopoty?

— On i kłopoty! — odburknęłam niegrzecznie — tacy jak on nie mają żadnych kłopotów. Nic się nie stało. Przyjedzie w sobotę.

Siostrzyczki popatrzyły na mnie znacząco, nic nie powiedziały. Darek przyjechał, mieliśmy iść do teatru, ale ja w tym zamieszaniu i czekaniu na znak od Stefana nie pomyślałam wcześniej o biletach. Zostawało więc kino i jakieś nudne rozmowy przy stole w otoczeniu sióstr. One odczekały aż mama wyjdzie z pokoju i gdy zostaliśmy sami, rzuciły się do Darka:

— Wiesz, wiesz? — przekrzykiwały się, jak to one. — Iga była u Iwony na prywatce w sobotę.

— Tak? — spojrzał na mnie.

Skinęłam potakująco głową, a one nadawały:

— Odprowadził ją chłopak, siedziała z nim bardzo długo, słuchali muzyki.

Darek popatrzył znów na mnie, jakby im nie wierzył.

— Tak — potwierdziłam.

— Ona się zakochała — powiedziała młodsza siostrzyczka, a starsza uszczypnęła ją w pupę. Za późno. Darek odwrócił w moją stronę sztywną głowę.

— Co one mówią? — zapytał. — Co one mówią?

— Powiedziały ci prawdę, chyba się... — nie dokończyłam... Darek zrobił się bledszy od kredy, zbielewały mu nawet włosy, oczy, usta. Przeraziłam się.

— Co ty wyprawiasz?! — Chwyciłam go za rękę, wyrwał ją, odsunął się do ściany, nie mógł złapać tchu, zacisnął usta i stał tak oparty o ścianę, mocując się ze łzami i z tą trupią bladością, wreszcie w ciszy, bo siostry również zamilkły, w ciszy, która zawisła nad nami jak przekleństwo, powiedział:

— Niepotrzebnie przyjechałem. Mogłaś napisać.

— Mogłam, przepraszam, ale ja nie wiedziałam, że to tak, przepraszam, nie wiedziałam jak to zrobić...

— Pojadę do domu.

— Zostań! Mama upiekła ciasto, pójdziemy do kina.

— Nie! — Rzucił się do przedpokoju, złapał swoją kurtkę na misiu

i wyszedł. Całe szczęście, że taty nie było. Nie odprowadziłam go na dworzec. Siostry uciekły do swojego pokoju, a ja pobiegłam do babci i opowiedziałam jej wszystko. Ona jedna mnie rozumiała.

— Nie przejmuj się, dziecko, tak lepiej, lepiej, że on pojechał, nie możesz żyć wbrew sobie, pamiętaj, nie możesz żyć wbrew sobie. Szkoda, to miły chłopiec, żeby sobie tylko czegoś nie zrobił. Jedź na dworzec!

— On nie chciał, babciu, wybiegł bez pożegnania. Nie pojedę na dworzec.

Darek odszedł i ja natychmiast zapomniałam o nim, a Stefana nie mogłam wymazać z pamięci, nie tylko nie mogłam, nie chciałam. Ciągłe był w moich oczach i w sercu. Mówiłam — zasnę i on zniknie, ulotni się jak wszystkie inne obrazy, odejdzie w niepamięć, a on nie odchodził, jego ciepły głos dźwięczał mi w uszach. Mówiłam: zaraz ucichnie, nie, wracał z rogu pokoju... dochodził zza okna. Wreszcie udało mi się zasnąć, ale zaraz się przebudziłam, zdawało mi się, że on tu jest, patrzy, bierze mnie za rękę, ściska ją delikatnie, przesuwa palce wzdłuż dłoni, przesuwa je dalej do moich palców, dotyka paznokci. Zasnęłam nad ranem.

Myślałam, że będę śnić o nim, ale we śnie nie było go. W niedzielę — a była to już druga pusta niedziela - — też się nie zjawił i przez cały tydzień nic o nim nie wiedziałam. Nie chciałam pytać Iwony, bałam się zdradzać z moim niepokojem, ale gdzieś w głębi duszy, intuicyjnie czułam, że on się zjawi, napisze list, przyśle telegram, przyjdzie do szkoły, albo gdy wyjdę na ulicę, to spotkam go gdzieś przypadkiem, bo on też wyjdzie, po to żeby mnie spotkać. Wychodziłam do parku, patrzyłam jak śnieg topnieje, zrobiła się odwilż, wszystko ściemniało, drzewa i ziemia. Z dachów spływała woda, potworzyły się groźne kałuże, błyszcząły niczym oczy w rosale, zasy w naszym ogrodzie przypominały brudne, pożółkłe szmaty. Straciłam apetyt, wydawało mi się, że nie oddycham, czekałam z zapartym tchem. Nagle wieczorem, gdy wkuwałam do głowy jakieś daty, które nic czepiały się mózgu, ujrzałam świecę; za moim oknem płonąła świeca i w jej chybotliwym blasku ujrzałam jakiś cień. Podeszłam bliżej, zgasila światło, płomień chwiał się na wietrze, wiedziałam, że osłania go ręka. Tak, to był on, uśmiechnięty, ze śniegiem we włosach, cały biały, bo właśnie po tej odwilży zaczęło padać. Zrobiło się białe, przytulnie, czysto. Otworzyłam okno, parapety u nas znajdowały się

bardzo nisko i on wszedł do pokoju, położyłam palec na ustach, nakazałam mu być cicho, nie chciałam, żeby ktoś wiedział, że on wszedł, siostry siedziały u babci i pod jej nadzorem odrabiały lekcje. Od razu włączyłam muzykę i rozmawialiśmy szeptem.

— Czekaaś? — zapytał.

— Tak, każdego dnia.

— Przepraszam, przepraszam, wtedy nie mogłem odejść od ciebie, wracałem i stawałem koło twoich drzwi, patrzyłem, jak kładziesz się do snu i jak zasypiasz.

— Na noc zawsze spuszczam zasłony, nic nie widziałeś.

— Nie spuściłaś zasłon i przez firankę w świetle widziałem, jak ścielisz sobie tapczan, jak się przeciągasz leniwie, podeszłaś do okna, jakbyś wiedziała, że ja tam stoję i patrzę, a potem zgasiłaś światło. Chciałem, żebyś się obudziła, czekałem na twoje przebudzenie, ale ty spałaś tak smacznie...

— Dlaczego nie zapukałeś?

— Nie miałem odwagi. Całą noc stałem za oknem. Przeziębilem się.

— Całą noc — powtórzyłam jak echo. — Głupi. Naprawdę jesteś, jesteś...—pocałowałam go w czoło, wstydziłam się pocałować go w usta, złożyłam więc na jego czole siostrzany pocałunek, on chwycił moje ręce, położył je sobie na policzkach i patrzył mi w oczy.

— Niebieskie muszle, niebieskie — powtórzył. Wetknął mi do rąk wiersz i tą samą drogą, przez okno wyszedł, ale przedtem przyrzekł mi, że tym razem pójdzie prosto do domu, a jutro przyjdzie pod szkołę, spotkamy się w dzień, popatrzymy na siebie w dzień, a nie przy tym sztucznym świetle. Rano zobaczyłam go przed domem, złękłam się, że on umrze od tego sterczenia pod moim oknem, znowu się przeziębi, dostanie zapalenia płuc, umrze... O Boże! Nagadałam mu wiele głupstw. Chwyciłam to Tbę i wybiegłam bez śniadania do szkoły. Odprowadził mnie do przystanku i wsiadł ze mną do autobusu, a ja krzyczałam: nienawidzę cię, nie chcę cię znać, nie przychodź więcej, przeziębisz się, umrzesz i co ja zrobię, co ja zrobię? Roześmiał się.

— Nie krzycz — powiedział — przyjechałem do ciebie dziś rano. Jestem zdrowy, nic mi nie jest. Popatrz na mnie, czy tak wygląda chory człowiek? No, przyjrzyj mi się!

Wyglądał jak człowiek, którego dni są policzone, chudy i przezroczysty, jego podkrążone oczy płonęły niezdrowym blaskiem, we włosach miał pełno śniegu. Strząsnęłam mu go i okręciłam jego szyję swoim szalikiem, po lekcjach kupiłam mu czapkę, nosił ją przez całą zimę i już się nie przeziębiał!

Ranki były najlepsze. Budziłam się świeża, pełna jasnych myśli, a za oknem był on, pukał delikatnie w szybę i czekał aż się ubiorę, potem odprowadzał mnie do szkoły i stawał przed moją klasą na wprost okna. Dopiero gdy nauczyciel pojawiał się w drzwiach, odchodził, odprowadzany zazdrosnymi spojrzeniami koleżanek.

— No, ty to masz szczęście — mówiły — taki chłopak. Dziewczyny za nim szaleją, a on, popatrz, zwariował, popatrz, co ty mu zrobiłaś, świata poza tobą nie widzi, co on takiego w tobie zobaczył, wcale nie jesteś ładna.

— Nie jestem ładna? — śmiałam się im w twarz. — Jestem piękna, dla niego jestem najpiękniejsza na świecie. — Spoglądały na mnie z ironią, wzruszały ramionami.

Lustro mówiło, że nic mi nie brakuje, oczy niebieskie, dołeczki w policzkach, lśniaca gładka cera. Mężczyźni oglądali się za mną na ulicy, natomiast dziewczyny nie przestawały mi wmawiać, że jestem szara, nijaka, pozbawiona seksu. Ludzie nie lubią cudzego szczęścia, złości ich, gdy ktoś wygrywa w totolotka, albo gdy komuś dobrze się wiedzie. Moje koleżanki nie różniły się pod tym względem od innych. W ich docinkach i kpinach wyczuwałam gorycz zawiedzionych nadziei, znały go wcześniej, dłużej niż ja, czytały jego wiersze, a teraz widząc go stale ze mną zapragnęły nagle zepsuć coś w naszych uczuciach, które były dopiero przedsmakiem tego, co miało nadejść — podniecającym oczekiwaniem i odkrywaniem siebie.

Jeśli o mnie chodzi, nie miałam w tych sprawach żadnych doświadczeń. Mówi się, że młodzież jest zdemoralizowana, cyniczna, może też tacy byliśmy, ale nie w stosunku do siebie, do innych chyba też nie. Mało o nim wiedziałam, tak się jakoś składało, że nie mówiliśmy

prawie o sobie, rozmawialiśmy o wierszach, o kształcie obłoków i o obrazach, znaliśmy się krótko, zaledwie kilka dni, a już inni wkroczyli brutalnie pomiędzy nas.

— Czy wiesz jaki jest Stefan? — zapytała któregoś dnia Iwona.

— Oczywiście — odparłam naiwnie.

— Tak? — uśmiechnęła się kąśliwie. — Wiesz, że on ma zawsze trzy dziewczyny? Z jedną sypia, z drugą chodzi, a z trzecią tańczy.

— No to ja jestem ta, z którą tańczy. — A nie interesuje cię ta, z którą sypia?

— Ja wiem... — odparłam ponuro.

Umilkła, jakby jej usta zalano gipsem, nic już nie miała do powiedzenia, a mnie zakręciło się w głowie.

Zazdrość jest wymysłem szatana, jego głównym narzędziem, bronią, która go nigdy nie zawodzi. Iwona zepsuła mi cały smak porannych spotkań. Już nie czekałam na niego z takim drzeniem, za każdym razem chciałam coś wyjaśniać, pytać go, badać i bałam się słów. Nie mówiliśmy o tym, że ktoś ze sobą sypia, to było zbyt obcesowe, nieprzyzwoite wręcz, nie mogłam zapytać go wprost, kluczyłam więc niemrawo, pytając go o dziewczyny. On nic nie rozumiał.

— Jakie dziewczyny? — pytał otwierając szeroko oczy.

— No, czy masz kogoś?

— Ty pytasz? Ty nie wiesz? Jak ty możesz o to pytać? Zwariowałaś?...

Oczywiście — uspokoił się — mam dziewczynę.

— Jaka? — zrobiłam zdziwioną minę. — Ty myślisz o mnie?

— A o kim? Czy ktoś poza tobą istnieje? Czy ktoś się poza tobą liczy? O co ty pytasz? Nie bardzo rozumiem — zdziwienie w oczach, w głosie, w całej postaci. Przystanął, gestykulował, on naprawdę nie kłamał, mogłabym przysiąc, dać za to głowę, a jednak słowa Iwony dzwoniły mi w mózgu, nie wierzyłam mu, ta kropla jadu, pastylka ohydy wdarła się w nasz świat i została. Od tego dnia każde spotkanie z nim było nią zatrute, ciągle sprawdzałam, gdzie był, co robił, chciałam koniecznie wiedzieć, kim jest ta trzecia, z którą sypiają byłam tą, z którą chodził. Z półsłówki dziewczyn zorientowałam się, że to była Iwona. Ona nic o tym nie mówiła, lecz jej stosunek do mnie nagle się zmienił. Była moją najbliższą przyjaciółką, siedziałyśmy razem, pomagałyśmy sobie w lekcjach,

bywałam u niej na prywatkach, gadałyśmy o wszystkim... Tak się tylko mówi, ale to wszystko nigdy nie jest zupełne, zawsze są te szuflady, których się nie otwiera, on był tą szufladą, której się nie otwiera. Zajrzałam do niej ukradkiem, niewiele zobaczyłam, więcej się domyślałam, głównie dlatego, że Iwona zaczęła nagle źle o nim mówić. Do tej pory mówiła niewiele, a teraz wieszała na nim psy. „On ma fantazję, nie wierz ani jednemu jego słowu — uśmiechała się pobłaźliwie — co on robi? Zauważyłaś jak schudł? Poślij go do lekarza, może ma coś z płucami, pokasłuje i te jego rumieńce... Nie wydają ci się podejrzane?” — Czy ja wiem? — patrzyłam na nią przerażona.

Stefan rzeczywiście był chudy, długi, z rozwichrzoną czupryną wyglądał oryginalnie, cerę miał świeżą, czerstwą, przebywał dużo na powietrzu. Po lekcjach zawsze czekał na mnie na ulicy, a była zima i śnieg. Prosiłam go, żeby dbał o siebie i on mnie słuchał, nosił czapkę i szalik, ciepłe buty i swetry, więc chyba Iwona nie miała racji. Ostatnio w ogóle gadała za dużo. Wychodząc ze szkoły starałam się ją zgubić, ale nieraz było to niemożliwe. Ona mając jakiś swój cel nie odstępowała mnie na krok. Przed wejściem czekał Stefan. Na mój widok rozpromieniał się, jaśniał, jakby gdzieś za nim zapalały się niewidoczne jupitery i on w ich rwącym blasku ściągał z głowy czapeczkę z pomponem w niebieskie wzory, którą dostał ode mnie, klękał na śniegu. Taki żar bił od niego, że przymykałam oczy. — Wariat! — wykrzykiwała ze złością Iwona. — Skończony idiota! — a on jej w ogóle nie widział, podnosił się z klęczek i uczepiony mojego ramienia szeptał mi do ucha ostatni swój wiersz.

Widywaliśmy się prawie codziennie, ja nadal nic o nim nie wiedziałam prócz tego, że mieszka gdzieś na Poznańskiej, w wielkim starym domu i studiuje na uniwersytecie. Nie mówiliśmy o studiach ani o jego rodzinie, nie było potrzeby, ciągle mieliśmy sobie tyle do powiedzenia na temat wierszy, muzyki i książek, chodziliśmy też na wystawy. Raz poszliśmy do teatru na *Fizyków* Diirrenmatta i siedząc na widowni myśleliśmy tylko o sobie. To, co odbywało się na scenie, było takie długie, okropne, straszne, nie dotyczyło nas, nie miało nic wspólnego z naszym światem, my chcieliśmy widzieć tylko piękno, harmonię, ład, porządek i tak rzeczywiście było, to właśnie widzieliśmy. Warszawa była dla nas najpiękniejszym miastem na świecie, innego nie znaleźliśmy,

to było naprawdę ładne miasto, takie w każdym razie zostało mi w pamięci.

Śniegu było coraz mniej, wiatr pachniał wiosną, a my przemierzaliśmy je pieszo, właściwie to chodziliśmy ciągle tą samą trasą: Piwna, Brzozowa, Góra Gnojna z widokiem na Wisłę... Po obejściu różnych zakątków na Starówce szliśmy na Sadybę, po dotarciu do domu nie mogliśmy się rozstać.

Dochodziliśmy do jednego drzewka, mówiliśmy: to już tu, potem było drugie drzewko i trzeba było się cofać do pierwszego, potem był płot, najpierw on mnie odprowadzał, potem ja jego, potem znowu on mnie i tak w kółko. W sobotę dzień się wydłużał, nie musiałam odrabiać lekcji, co prawda coraz rzadziej je odrabiałam, byłam na ogół spokojna, szczęśliwa. Wystarczyło jednak, bym spędziła z dala od niego kilka godzin, a moje podejrzenia przybierały monstrualne rozmiary, już byłam pewna, że mnie zdradza, już go widziałam w różnych nieprzyzwoitych sytuacjach z koleżankami z uniwersytetu, tylko dlatego, że wspomniał nieopatrznie, iż wpadł do akademika po książkę. Usłużna wyobraźnia podsuwała mi od razu odpowiednie sceny. Wiadomo jak zachowują się studentki, wciągają od razu chłopaków do łóżka i wyrafinowanymi pieścizotami przywiązują ich do siebie... Nie spałam po nocach, w dzień natomiast głowiłam się nad tym, jak go zapytać o dziewczyny z grupy, aby wyglądało to naturalnie. Chętnie o nich mówił, podając mało dla mnie ważne szczegóły, jak te np. że Hanka pisze opowiadania o zwierzętach i drukuje w „Płomyczku”, a mama Joli piecze wspaniałe ciasta, Kaśka zaś prowadzi studencki kabaret. — A która się z tobą kocha?

— Wszystkie. Czy nie zasługuję? — roześmiał się i zaraz spoważniał. — Co mnie to obchodzi, czy kocha się we mnie Kaśka czy Jolka? Jakie to ma znaczenie?... Wiesz co? Chodźmy do kina — szybko zmienił temat i niczego się nie dowiedziałam.

— A może pojedziemy do akademika?

— Po co? — oburzył się — tam jest okropnie, wspólne łazienki, pokoje z piętrowymi łózkami.

Mówił prawdę, nie cierpiał dużych grup, uciekał od ludzi, od moich koleżanek również. One wprowadzały dysonans, śmiały się w nieodpowiednich miejscach, mówiły nie to, co należało, nie pasowały do nas.

My mieliśmy w sobie za dużo liryzmu, poezji, romantyzmu, muzyki, podczas gdy one kurczowo trzymały się ziemi, która dla nas ważna była o tyle, że chodziło się po niej, stanowiła jakiś punkt oparcia, ale to, co było obok, w sklepach, na ulicy poza tomikami wierszy i nowymi płytami, nie interesowało nas wcale. Tak nie można żyć, wiem, ale tak właśnie żyliśmy. Odurzeni sobą chodziliśmy po Warszawie, nieraz jeździliśmy tylko po to do Śródmieścia, żeby z niego uciekać na Sadybę, nad jezioro czerniakowskie, siadaliśmy na oblodzonej ławce i karmiliśmy ptaki. Przylatywały tam kaczki, kruki, wrony, gołębi nie było, tylko dzikie ptactwo. Przynosiliśmy bułki, kruszyliśmy je, a one ucztowały na naszych oczach, ślizgając się po i lodzie.

Tak się złożyło, że nie widziałam się z nim trzy dni, przygotowywał wówczas referat czy gdzieś wyjechał, nie pamiętam. Uprowadził mnie, że nie przyjdzie ani do szkoły, ani do domu. Trudno sobie wyobrazić, co się wtedy działo. Nie spałam, nie jadłam, nie oddychałam chyba, mama była przerażona, ojciec kazał mi iść do lekarza i wziąć coś na apetyt, babcia pokiwała tylko głową, a w korytarzu spytała szeptem;

— Stefan wyjechał?

— Nie.

— Więc co jest, uczy się?

— Nie, wyjechał.

Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, ni to współczująco, ni to sceptycznie, dolewając niejako oliwy do ognia. Wtedy postanowiłam: jeżeli on tego dnia wieczorem nie pojawi się pod moim oknem, nie zapuka cichutko w szybę, nie zapali Sebastiana czyli tej czerwonej świecy, którą tak nazwaliśmy, ponieważ przy niej słuchaliśmy Bacha, jeżeli nie zapali tej świecy, to skończę z nim na zawsze, nie spojrzę na niego, nie odezwę się... Idiotyczne myśli chodziły mi po głowie. Nie mogłam usiedzieć w miejscu, czekałam, niebo było ciemne, bez śladu gwiazd czy księżycy, w dole czarna wilgotna ziemia i świerk sterczący jak groźny sztylet. Nagle w tej czerni rozbłysł płomień, zerwałam się z łóżka, otworzyłam okno i powiedziałam: wejdz, tak czekałam, tęskniłam.

— Mam wejść? — przeraził się — przebudzimy dziewczynki.

— Śpią twardo.

— Nie, nie — wzbraniał się. — Przywarłam do niego w oknie, całowaliśmy się nieprzytomnie, byłam w koszuli, boso, on zimny, mokry. — Wejdz do środka, zostań ze mną — prosiłam, słaniając się z podniecenia.

— Jak to? Nie — szeptał coraz bardziej przerażony. Pocałunki były jak rozżarzone węgle, parzyły dotkliwie, obezwładniały.

Nigdy nikogo nie całowałam tak zajadle, tak agresywnie, z takim oddaniem, z całkowitym przyzwoleniem na wszystko. Nagle on mnie odsunął.

— Nie, tak nie można — powiedział raczej do siebie niż do mnie, siebie przed czymś wstrzymywał, pchnął okno w moją stronę, skrzypnęło z takim wizgiem, jakby chciało rozsadzić dom pogrążony we śnie, zsunął się na mokrą murawę i pobiegł do zwirowanej uliczki, przeskoczył niezbyt wysoki płot i pomknął do przystanku. Stałam rozpalona, przygwożdżona do miejsca, czułam się odtrącona, nie chciana. Gorące łzy ciekły mi po twarzy, jego nie było, szukałam więc pocieszenia w łkaniu, teraz już zupełnie nie mogłam spać. Siostry za parawanem oddychały miarowo, a ja zapalałam światło i gasiłam je, podchodziłam do okna, łudząc się, że on wróci, ale nikogo nie było. Ciszę mącił łagodny szelest wiatru, w górze było bezduszne niebo porysowane czarnymi drzewami i rozżarzona łuna miasta. Świt był wilgotny, mglisty, nieprzytulny, zamknęłam okno, zasnęłam na krótko. Obudziły mnie hałasy, siostry ubierały się do szkoły.

— Iga! Iga! Spóźnisz się! Twój ukochany nie przyszedł. Nikogo nie ma.

— Jestem chyba chora. Mama zajrzała do pokoju.

— Co ci jest? Boże! Masz gorączkę! Trzeba wezwać lekarza. Nie wstawaj! Gdzie termometr? Nigdy nic nie leży na miejscu.

— Znajdę sama, wezmę aspirynę. U nas dziś konferencja. Nie muszę nigdzie iść. Jak będziesz wracała z pracy, kup mi witaminy. Jestem osłabiona.

Mama nie wiedziała w co ręce włożyć, dziewczynki pobiły się w łazience, tatuś je stamtąd przepędził, babcia przewróciła się w przedpokoju, w kuchni wykypiało mleko.

Wstałam, nie mogłam znieść tej wrzawy, nakryłam do stołu, nalałam

dziewczynkom mleka, zrobiłam im kanapki.— Starość nie radość —
usprawiedliwiała się babcia, popijając swoją ulubioną kawę z mlekiem.
— Potłukłaś się? — spytałam.

— Co się miało potłuc — uśmiechnęła się smutno — stare kości i tyle. —
Dopiła swoją kawę i odstawiła szklanę.

— Musisz iść do tego biura? — spytałam. Nie chciało mi się samej
zostawać w domu.

— Muszę i chcę — uśmiechnęła się, już zapomniała o swoich kościach.
Narzuciła pospiesznie na siebie płaszcz i żwawym, młodzieńczym
krokiem popłynęła do furtki, która zatrzasnęła się za nią z piskliwym
chlupnięciem.

Siostry też wyszły i znowu otoczyła mnie cisza. Bałam się, byłam chora,
ubzdurałam sobie, że tym razem tracę go już na zawsze, ale nie
pojmowałam dlaczego. Nigdy do niego nie dzwoniłam, nie było potrzeby,
teraz coś mnie z domu wypchało, ubrałam się i wyszłam do budki. Kiedy
wykręciłam jego numer, usłyszałam szorstki głos, tak niepodobny do
tego, który znałam. Zawahałam się.

— To ja, Iga...

— Ty? Skąd dzwonicz?

— Z budki.

— Ty?

— Przyjedź, mam wolne, konferencja, rozumiesz, jestem sama...

— Tak?

— Tak, tak — powtórzyłam. Wróciłam do domu i czekałam nie wiedząc,
czy on przyjdzie czy nie.

Zjawił się szybciej niż to było możliwe. Wszedł jak wczoraj przez okno,
które zostawiłam nie domknięte, ukląkł i patrzył na mnie wilgotnymi
oczami, wystraszony jakiś, biedny, wycierał czoło wierzchem dłoni i
szeptał drżącym głosem: — Kocham cię tak bardzo, że boję się tego, co
chcemy zrobić. Boję się, tak cię kocham, chyba jednak nie powinniśmy...

— Przytul mnie, ja się nie boję, właśnie dlatego, że cię kocham, nie chcę,
żebyś to robił z innymi, chcę, żebyś był stale przy mnie, żebyś mnie
całował, żebyś mnie dotykał, pieścił, proszę cię, zrób to...

— Nie wiem, nie powinienem.,.

— Nic nie mów, chodź tutaj! — tuliłam się do niego, płakałam, on

zaczął scałowywać łzy z mojej twarzy, wycierał je, byłam całkowicie bezwolna, zamknęłam oczy, czułam jego bliskość, prawdziwą bliskość jego ciała, oplotły mnie jego uda, ramiona, był silny, sprężysty i delikatny...

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że doznałam rozkoszy i że było to najwspanialsze przeżycie... Nic z tych rzeczy... Był ból, lekki — to prawda — i przerażenie, że to już po, już po... Zobaczyłam krew i pomyślałam, że umrę, krew zawsze w moich odczuciach kojarzy się ze śmiercią, nic na to nie poradzę. Jego też przeraziła krew, przeproszał mnie, ubolewał nad tym, co zrobił, zaniósł mnie do łazienki. Umyłam się, krwi było niewiele, a we mnie pustka... czułam się zraniona, zbrukana, bez duszy, chciałam umrzeć. No cóż, samo pragnienie nie wywołuje na szczęście żadnych następstw. Milczałam, on też nic nie mówił, wiedział chyba, co się ze mną dzieje, leżał obok i trzymał mnie za rękę, nic więcej... Potem już było tak jak myślałam, jak to sobie wyobrażałam. Zapytałam go, czy tak samo było z innymi, czy on nadal potrzebuje tych trzech dziewczyn? Czy teraz już będzie ze mną sypiał? A z kim będzie chodził, z kim będzie tańczył?

Zaśmiał się jasno, soczyście i powiedział: „Teraz i zawsze, zawsze już będziesz tylko ty... Od tamtego wieczoru, pamiętasz, kiedy wyszliśmy od Iwony, byłaś tylko ty, nikogo więcej, o nikim nawet nie pomyślałem, żadnej dziewczyny nie chciałem pocałować, z żadną nie chciałem być blisko. Jesteś tylko ty, tylko ty istniejesz i tylko ciebie, ciebie kocham, dla ciebie chcę żyć. Teraz już zawsze będę się budził obok ciebie, będę patrzył w niebieskie muszle, będę czesał twoje włosy"... Wtedy na poczekaniu ułożył wiersz, taki prosty, niewymyślny, wiersz, który był najczystsza miłością.

Nie wiedzieliśmy, że wokół nas zbierają się chmury. Tyle rzeczy się działo, o których nie myśleliśmy. Byli przecież jego rodzice i moi, lecz nikt się nie liczył, nikt nie istniał, byliśmy tylko my, tak nam się zdawało, tymczasem świat dokąds pędził, niszczył ludzi i nam zagrażał, nie wiedzieliśmy jeszcze o tym.

Któregoś wieczoru mój ojciec poprosił go do siebie na rozmowę. Poszłam za nim na górę. Ojciec kazał mi zejść na dół. Powiedziałam, że ja chcę być przy tym.

— Idź stąd! — podniósł głos i zaniknął przede mną drzwi. Obrażona zeszałam na dół. Stefan wrócił po kilku minutach.

— Co on, co on ci powiedział? — rzuciłam się do niego.

— Nic, nic, prosił, żebyśmy zmądrzeli. Mówił, że najważniejsza jest nauka, o której my nie myślimy wcale, więc może powinniśmy pomyśleć. To była tylko prośba, niczego nam nie zabraniał. Zapytałam: „Czy pan zabrania mi tu przychodzić? Czy pan zabrania mi spotykać się z Iga?” Powiedział, że nie, ale skąd ci to przyszło do głowy? Prosił jednak, żebyśmy spotykali się rzadziej, to się odbija na szkole. Iga ma dwóje. Masz dwóje? — Mam. Obchodzi cię szkoła?

— No właśnie, właśnie, co zrobimy?

— Nic, obchodzi cię szkoła?

— Tak, twoja szkoła mnie obchodzi.

— A mnie wcale, wcale, ja chcę być z tobą, chcę... to mnie tylko obchodzi.

— Jak to zrobić?

— Nie wiem, chcę być z tobą.

— Ale masz dwóje i mnie to gnębi. Musimy coś z tym zrobić, może będziemy po prostu widywać się rzadziej?

To była czysta teoria. Jak tu widywać się rzadziej, kiedy każdy dzień bez niego tak niepomierne się dłużył, był pusty, szary, umykał z życia, nie przynosił niczego, zamieniał się w noc. Musieliśmy jednak liczyć się ze zdaniem rodziców, stwarzać pozory, więc zamiast u mnie zaczęliśmy się spotykać u niego. Rodzice Stefana byli przyzwyczajeni, że odwiedzają go dziewczyny, przychodzą, odchodzą, zostawiając swój śmiech. Nie przywiązywali do tego żadnej wagi, odnosili się do mnie grzecznie, uprzejmie, nie okazując specjalnego zainteresowania. Dzień dobry, dzień dobry. Stefan mnie przedstawił, miło, miło. Kolacje czasem jedliśmy u niego w pokoju. Ojca przeważnie nie było, pracował w filharmonii, matka uczyła się języków, miała poza tym mnóstwo znajomych, wieczorami nikt tam nie siedział w domu. Wychodziło na to, że to my właśnie jesteśmy domatorami i siedzimy w domu. Stefan już nie miał żadnych oporów, kochaliśmy się, wykorzystując na to każdą dogodną chwilę. Jeżeli wiedzieliśmy, że jego rodzice wrócą późno, ojciec po dziesiątej wieczór,

matka około ósmej, to ponad dwie godziny byliśmy sami w jego dużym, wysokim pokoju, z szerokim tapczanem. Moim rodzicom mówiłam, że uczę się u koleżanki. Nie wiem, czy wierzyli, ale nie sprawdzali, nie kontrolowali mnie. Nie mieli jak.

Była wiosna i my jak zaczarowani brodziliśmy wśród drzew na Sadybie, tam nad naszym jeziorkiem był jeszcze drewniany most, dużo krzewów, cisza charakterystyczna dla wody, szum drzew, pierwsze listki, zapach ziemi, ptaki, żaby i cały ten koncert, przyroda jak chór grecki.

Spędzaliśmy tam długie godziny, czasem nawet usiłowałam się uczyć, przeważnie nic z tego nie wychodziło. Kiedy on był przy mnie, nie mogłam się skupić, kiedy go nie było — tym bardziej. Prosiłam, żeby mnie przepytał z polskiego. Byłam pewna, że z literaturą sobie poradzę, czytałam więcej niż trzeba, mogłam pisać wypracowania na każdy temat, natomiast z gramatyką byłam na bakier. Ci wszyscy mądrale, co piszą podręczniki, nie potrafią nazwać rzeczy prostych zwyczajnie, komplikują je pseudonaukowymi określeniami i pokraccznymi definicjami, których nie rozumiałam, o wykuciu ich na pamięć nie mogło być mowy, kończyło się na postawieniu pytania. Wiedziałam, że obleję z gramatyki, ale się nie przejmowałam. Stefan też nic nie robił, nosił ze sobą grube książki i do nich nie zaglądał. Mówił, że nie jest w stanie

o niczym myśleć. Byliśmy nienormalni, chorzy...

W filharmonii, słuchając muzyki, myślimy tylko o sobie, siedzimy w pierwszym rzędzie, patrząc jak palce pianisty tańczą po klawiaturze, gonią się, przewracają, by oszołomić nas kaskadą dźwięków.

Stefan porusza ustami wyśpiewując melodię, jakby chciał pomóc pianiście. Dyrygent wbity w przyciasny frak wyraźnie się poci, tłum wstaje, nagradza go oklaskami. Nasze ręce nie chcą się rozplątać, trzymając się za nie pierwsi wybiegamy z sali, szukamy jakiegoś miejsca, żeby się skryć. Tłum jest potężny jak żywioł, brawa nie milkną, chociaż jest przerwa. Dopiero po chwili ludzie wysypują się do holu. A my w tym czasie zaglądamy za ciężką kotarę odgradzającą część korytarza, nikogo tu nie ma, są jakieś krzesła i szafa, wtulamy się za nią i całujemy. Nie możemy wytrzymać, kochamy się w pośpiechu, podnieceni tym i rozpaleni do granic wytrzymałości. W każdej chwili może ktoś nadejść,

skrzyczeć nas, wypędzić, napiętnować publicznie, to nas jeszcze bardziej podnieca. Garniemy się do siebie z rozpaczą, omotani straszliwym požądaniem, jesteśmy w jego mocy i nic nas nie obchodzi, że za kotarą, tuż obok rozlegają się głosy, pokasływania i kroki są coraz bliższe, zaraz tu wejdą, odkryją nas. To będzie dopiero wstyd. Rozgorączkowani, wczepieni w siebie nic już nie słyszymy, niech się dzieje co chce, za chwilę umrę. Za każdym razem jest to bliskie śmierci. Śmierć też będzie wyzwoleniem, rozkoszą, tym strasznym spadaniem i wzlatywaniem do nieba w takt najpiękniejszej z melodii... Kroki są coraz słabsze, oddalają się, cichną, można wyjść.

Wracamy na miejsca, Stefan z jasnością w oczach, ja wtulona w jego ramię, spoglądamy na podium, gdzie słynny pianista zajmuje miejsce. Uśmiechamy się do siebie łagodnie, ze zrozumieniem. Ja jednak się wstydzę, jeszcze się go boję, jeszcze nie jestem z nim oswojona, trwa to tak długo, a ja jeszcze jestem oddzielona od niego niewidoczną linią. Niejasno zaczynam sobie uświadamiać, co się na nią składa, ale jeszcze nie wiem, nie umiem sprecyzować, określić tej bariery. Na razie jest Chopin, słuchamy popatrując na siebie spod przymkniętych powiek. Ja kiwam nieznacznie głową, Stefan porusza ustami, tutaj porozumiewamy się bez słów, pianista wziął ten pasaż tak jak lubimy, tu zrobił przerwę, właśnie w tym miejscu, a teraz mocniej, mocniej, właśnie tak, ocean dźwięków, łoskot fal, tak, tak, chcę pędzić gdzieś lecieć...

Nie można opisać muzyki, ja nie potrafię, wiem jedno, że odkąd chodzę z nim na koncerty, stałam się lepsza, wrażliwsza i o wiele bogatsza, a ten koncert, salę warszawskiej filharmonii, wyraz twarzy pianisty, jego niezwykle skupienie aż do symbiozy z instrumentem i każdy ruch ręki, nasze wzruszenie nie zmaćcone jednym ziarnkiem piasku, ciągle jeszcze pamiętam, będę o nim myśleć przed śmiercią.

To musiało nastąpić, przeczuwałam, że tak się stanie, ale nie myślałam, że to już, już. Serce we mnie zamarło, gdy przed naszym domem ujrzałam jego mamę. Przyjechała taksówką. Z parasolką i w przekrzywionym kapeluszu, w modnych pantoflach na cienkich

szpilkach zmierzała do furtki z taką pewnością siebie, jakby już tu była kilka razy, nie miała najmniejszych wątpliwości, że tu mieszkamy. Zobaczyłam ją przez okno i wybiegłam przed dom. To był niewybaczalny błąd, należało raczej uciec przez okno, schować się w piwnicy i nie pokazywać na oczy. Otworzyłam drzwi. Jej ściągnięte brwi, zdawkowe „dzień dobry” nie wróżyły nic dobrego, spod modnego kapelusza i długich umalowanych rzęs powitało mnie chłodne spojrzenie.

— Ojciec w domu?

— Tak. Proszę tędy — usunęłam się z drogi i wskazałam jej nasz pokój-kuchnię.

Ojciec czytał gazetę siedząc przy stole.

— Dzwoniłam do pana do pracy — rzuciła od progu — jestem matką Stefana.

— Tak, wiem, bardzo mi przyjemnie — ojciec próbował rozbroić ją swoim uśmiechem, lecz ona zmroziła go chłodem. — Idź na górę po mamę — zwrócił się do mnie.

Pocałował ją w rękę i podsunął jej wytarty fotel. Mama zostawiła prasowanie bielizny, której z oszczędności nie oddawaliśmy do magła, i przyczesła włosy.

— Jak ja wyglądam? — spytała.

— Dobrze, mamó — potwierdziłam. — Co było zgodne z prawdą. Wtedy jeszcze się nie roztyła, miała piękne długie nogi, które nawet w domowych kapciach wyglądały ponętnie. Niestety, była ubrana w przyciasną spódnicę i bladoniebieski golf, który wyciągał na jej twarz straszliwe zmęczenie.

— Musimy porozmawiać — zaczęła matka Stefana — ale może bez niej.

— Wskazała na mnie.

— Dlaczego? — oburzyłam się — przecież będziecie mówić o mnie i o Stefanie. Taki jest chyba cel pani wizyty? Byłoby lepiej, gdybyśmy rozmawiali razem. Zadzwoń po Stefana.

— Najpierw porozmawiamy osobno — zdecydowała, nie pozwalając wtrącić słowa moim rodzicom. — A ty możesz po niego zadzwonić...

Tak, idź, dzwoń. — Proszę pani, to raczej my powinniśmy — mama gubiła się w słowach — nasza córka jest jeszcze taka młoda.

— Proszę państwa, ja nie mam pretensji do córki ani tym bardziej

do państwa. Proszę wybaczyć, jeżeli zachowałam się niestosownie, chodzi o to, że oni źle na siebie wpływają i chyba nie zdają sobie z tego sprawy — ciągnęła łagodnie, z uśmiechem. Ja stałam przy drzwiach i nikt mnie już nie wypraszał.

Matka Stefana miała świetne maniery, siedziała wyprostowana, z królewskim spojrzeniem, dostojna, opanowana i zimna jak góra lodowa. — Tak, źle na siebie działają — powtórzyła.

Moja mama skinęła głową.

— Mój syn oblał jeden egzamin, dwa przeniósł na sesję jesienną, jeżeli nie zda ich we wrześniu, wyrzucą go z uniwerku, państwo wiedzą, jakie są konsekwencje, jest na pierwszym roku... A jak córka się uczy?

— No, uczyła się do tej pory nie najgorzej — odpowiedziała niepewnie mama i zerknęła z niepokojem w moją stronę.

— No, no, nie najgorzej, a kiedy ostatnio byli państwo w szkole? Mama z pytaniem w oczach spojrzała na matkę Stefana.

— W szkole? Po co do szkoły? Kto by chodził? Przecież to dorosła dziewczyna? Uczy się dla siebie, nie dla nas.

Mama Stefana słuchając tych wywodów kiwała głową.

— Tak, oczywiście, ja bym jednak radziła państwu sprawdzić, co się tam dzieje. Przecież ona w tym roku zdaje maturę.

— Och! Na pewno zda — odpowiedziała z przekonaniem mama. Ojciec milczał. Zawsze gdy chodziło o mnie i o siostry bliźniaczki, wołał się nie wypowiadać, gdyby miał syna, to co innego, sprawy córek były mu nie tyle obojętne, ile obce, nie rozumiał nas, dlatego wołał nie zabierać głosu. Poszłam do budki i zadzwoniłam do Stefana. Przyjechał taksówką, tak jak mu kazałam. Już nie przysłuchiwałam się rozmowie. Czekałam na niego przed domem. — Jest tu twoja matka — powiedziałam. Zdaje się, że się trochę przestraszył.

— Ico?

— Nic. Rozmawiają.

— O nas?

— Jasne.

— Powiedziała ci coś przykrego?

— Nie, skąd? Jest przecież dobrze wychowana. W ogóle nic takiego nie mówiła, stwierdziła tylko, że źle na siebie wpływamy.

— My — wybuchnął srebrzystym śmiechem i przestał się bać spotkania z matką. — My źle wpływamy na siebie? A to dobre, to dobre — śmiał się, a w jego oczach płonęło ogromne światło południowego nieba. — No, a do czego ja jestem potrzebny?

— Zdaje się, że będą chcieli coś nam powiedzieć.

— Och! Nietrudno się domyślić co. Chodźmy! — wziął mnie za rękę i w tym momencie ja też przestałam się bać nie tylko jego matki, ale i swojej. Nic nam nie mogły zrobić, nie mogły nas rozłączyć, rozdzielić, nikt nie był w stanie tego uczynić.

Zapukałam do pokoju i powiedziałam:

— Jest Stefan.

— No to wejdźcie, siadajcie — powiedziała jego mama. — Mamy wam coś ważnego do powiedzenia. Sytuacja jest taka, że powinniście na jakiś czas przerwać wasze spotkania. Oboje musicie ostro zabrać się do nauki, nadrobić zaległości, a potem zobaczymy! To będzie sprawdzian! Jeżeli wasze uczucia są dostatecznie mocne, prawdziwe i takie wielkie, i tak gorące jak w tej chwili — powiedziała to bez ironii, bez żadnego mrugnięcia — jeżeli to prawdziwa miłość, to nie będziemy się sprzeciwiać. Ale tak jak jest, dalej nie może być... To są nasze warunki, jeżeli ty zdasz maturę, a Stefan wszystkie egzaminy w sesji jesiennej, bo teraz już za późno, będziecie mogli się spotykać. Oczywiście Stefan idzie na trzy miesiące do wojska, lipiec sierpień, wrzesień. Całe wakacje go nie będzie, nie wiem, co tobie rodzice zorganizują, chodzi o to, żebyście teraz, póki jeszcze jest czas, zabrali się do nauki.

Spojrzeliliśmy po sobie.

— Nie możemy się nie widywać — powiedział Stefan — nie możecie nam tego zabronić. Nie można nam zabronić oddychać, nie można nam zabronić jeść, pić, to jest to samo. Jak my możemy się nie widywać, kiedy jesteśmy dla siebie stworzeni, nie możemy bez siebie żyć.

— Ty też tak uważasz? — zwróciła się do mnie mama Stefana.

— Tak. ...Jeżeli go nie widzę dwa dni, jestem chora, dostaję gorączki, boli mnie głowa. Popatrzyła na mnie z przerażeniem.

— Co ty mówisz, dziecko? Jakiej gorączki?

— Tak było, nie widziałam go kiedyś przez trzy dni i dostałam gorączki, nie spałam, po prostu nie mogłam spać, dusiłam się...

— Oni powariowali! Co za histerie, dusi się, gorączkuje — prze-
krzykiwały się obie mamy. — To przecież istne wariactwo, no proszę, do
czego już doszło. Z normalnych dzieci zrobiło się dwoje histeryków. A
nie możecie tak zrobić, żeby się widywać i uczyć, co?

Znowu spojrzeliśmy na siebie, było to niewykonalne prawie, ale
powiedzieliśmy: tak, możemy, postaramy się w każdym razie, na pewno,
ale nie wiedzieliśmy, jak to zrobić, skąd wziąć siły, jak oczyścić pamięć,
przefiltrować uwagę i w jaki sposób uwolnić się od siebie na tyle godzin;
to było trudniejsze niż zmiana biegu rzeki.

Niebo za oknem przypominało wielki, świetlisty namiot, zewsząd
bombardowały nas zapachy, bujna zieleń po szarej zimie oszołomiła nas,
jak można było od tego uciec, dać się wsadzić do klatki? To tyle co nie
żyć. Oczywiście, siedzieliśmy w tych klatkach, ja i on.

Nasza zdecydowana postawa i zwodne obietnice złamały ich opór,
pozwolono nam się widywać, najwyżej raz dziennie, uściśliła mama
Stefana. To było śmieszne. Nigdy niczego nie umieliśmy mierzyć.

Naszycy reakcji sami nie byliśmy w stanie przewidzieć, czasem Stefan
wracając z uniwersytetu po prostu musiał pojawić się w moim oknie.

Nigdy nie wiedzieliśmy, ile razy dziennie i gdzie się spotkamy, jeżeli
jemu udało się wcześniej wyskoczyć z domu i zbudzić mnie rano, był
szczęśliwy, jeżeli zasnął i nie zastukał w moje okno, to czekał z niecier-
pliwością na koniec lekcji przed szkołą, nie zważając na deszcze i wiatr.
Woźne nie wpuszczały go do środka, mówiły, że pełno złodziei kręci się
przy szatniach, więc on stał przed drzwiami i czekał na mnie.

Naszym spotkaniom towarzyszył nieodmiennie lęk, wypełzał spod
tapczanu, czaił się po kątach, był w szybkich krokach na schodach i w
bolesnym obrocie klucza. Działał paraliżująco, wymuszał ostrożność,
zaostrzał czujność. Byliśmy jak psy gończe, wyczuleni na szelest traw, na
mowę liści i oddechy za ścianą.

Dzieliłam pokój z siostrami, które cierpiały na alergię. To było zrzędzenie
losu, gdyż właśnie na wiosnę, kiedy choroba najbardziej im dokuczała,
musiały wyjechać do Rabki. Byłam w siódmym niebie. Mój

pokój, który dotąd z nimi dzieliłam, wychodzi na drogę, nazywaliśmy ją szumnie ulicą, biegła półkolem i jak urwana podkowa ginęła w polu, wśród bylin i jałowców. Matka miała zwyczaj zaglądać do mnie wieczorem.

— Jak się czujesz?—pytała zdawkowo i nie oczekiwała odpowiedzi. Mówiłam, że dobrze, a ona machała ręką w drzwiach i szła do siebie. Była zmęczona i nie miała ochoty na czułości, ale w tych dniach, jakby coś podejrzewając, zaglądała do mnie częściej niż zwykle, siadała na brzegu tapczana i milczała, rzadko o coś pytała, nie było między nami bliskości, dzieliła nas jakaś bariera. Nie wiem, czy mój wiek to sprawiał, czy jej, że nie mówiłyśmy nigdy o naszych uczuciach; czasem o szkole, a przeważnie o tym, co trzeba zrobić w kuchni. Teraz zapytała, co czytam, i widząc Norwida skrzywiła się: Znowu wiersze? Nie siedź za długo! Mizernie wyglądasz.

— Tak, tak, już gaszę. — Zanim wyszła, wyłączyłam lampkę i wtulona do poduszki liczyłam jej kroki. Raz, dwa, trzy..., zajrzała do kuchni, sprawdziła, czy gaz się nie pali, po chwili usłyszałam skrzypienie schodów. Nosila miękkie kapcie i jej stapania tłumiło sukno, ale schody pojękiwały niezadowolone, że ktoś burzy im spokój, jeszcze drzwi pisnęły na górze i światło zgasło. Wtedy rozległo się delikatne pukanie w szybę, zerwałam się i siłą woli powstrzymując skrzypienie ram uchyliłam okno. Stefan zeskoczył z parapetu już bez butów, żeby nie robić hałasu, rozebrał się w ciemności, ubranie i buty schował przezornie za tapczan i trzęsąc się z zimna wsunął pod kołdrę. Ogrzewałam go własnym ciałem. Zdawało się nam, że jesteśmy sami, nie było moich rodziców, babci za ścianą. Nie widzieliśmy się tylko jeden dzień, a wydawało się nam, że to lata całe, tak gorąco chcieliśmy być razem, tak pragnęliśmy siebie... Wtedy usłyszałam skrzypienie drzwi i szelest kroków na schodach. Zamarłam, Stefan nakrył się z głową, kroki były coraz bliższe, zatrzymały się, ich szelest wtopił się w drzwi, klamka pisnęła skrzekliwie i opadła w dół, jej pisk powstrzymał mamę od dalszych działań, nie chciała mnie budzić, miękkie tąpnięcia oddaliły się, westchnęły drewniane schody i drzwi na górze warknęły nieprzyjemnie. Nasze serca tykały w przyspieszonym rytmie niczym liczniki bomb zegarowych, leżeliśmy wtuleni w siebie, sparaliżowani.

— Co by było, gdyby mnie tu zastała? — zapytał Stefan.

— Umarłabym ze wstydu. Gdy pomyślę, że ona mogła wejść i zobaczyć ciebie, robi mi się zimno, jestem chora.

Zasnęliśmy wklejeni w siebie i zespoleni mocno jak nigdy. Przed świtem, kiedy Stefan poruszył zdrętwiałą ręką, zerwałam się przestraszona. Śniły mi się te kroki, słyszałam je wszędzie, na ulicy, w pokoju, rozdeptywały mi mózg, na szczęście nic się nie działo, dom oddychał jednostajną ciszą, przerywaną rytmicznym pochrapywaniem babci. Koncertowała wyjątkowo głośno, to mnie uspokoiło, wszyscy spali, chrapanie babci było tego najlepszym dowodem. Wtedy obudziło się w nas zgaszone strachem pożądanie, odnaleźliśmy się w mroku, w głębokiej ciszy, starając się nie wydać żadnego dźwięku, ale ten tapczan był strasznie stary, skrzypiał, zapadał się, jęczał przy każdym ruchu, przenieśliśmy się na podłogę, ale i tu deski trzeszczały pod naszymi ciałami, nie można się było przesunąć, ten dom gadał wzmocnionymi głosami. Zbudowany był z drzewa. To dlatego.

O świcie budzą się ptaki, lecz nie śpiewają, skrzeczą, rozdrażnione wilgotnym zimnem. Zgłodniałe przylatują pod okno szukać pożywienia, skaczą po czarnych gałęziach, całe chmary gołębi, gawrony, kruki i najodważniejsze z nich wróble, te już są na parapecie. Wieczorem pokruszyłam im bułkę, rzucają się na nią żarłocznie, chwytają w dziobki okruchy i ulatują z nimi w bezpieczne miejsca.

— Musisz iść, oni się zaraz obudzą. Boże! Co by to było. — Ciągłe ten strach, co to będzie jeżeli... Wymyślmy coś innego, nie można żyć w ciągłym lęku... to psuje radość bycia z tobą.

— Znajdziemy wyjście, znajdziemy, nie martw się — patrzył z tym jaśniejącym zachwytem, który rozbudzał we mnie wszystko co najlepsze.

— Więc idź, idź. — Jeszcze muszę objąć go, przytulić, poczuć jego oddech, szczupłość ramion, ich sprężystość i siłę.

Mama ciągle niespokojna o mnie zajrzała do pokoju.

— Śpisz? Spóźnisz się do szkoły!

— Tak mi się nie chce wstawać.

— Nie spałaś? Co robiłaś w nocy? — Ostra nagana w głosie, stłumiony krzyk, wyrzut, o co? — Nie mogłam spać.

— Dlaczego? Piłaś mocną herbatę?

— Źle sypiam, po prostu źle sypiam.

— To wszystko przez niego, zawrócił ci w głowie, zamiast się uczyć myślisz o nim. Czy ja tego nie widzę? — obrzuciła mnie złym spojrzeniem. — Wstawaj! Wstawaj! Nie ma co się pieścić — popędzała. Oczywiście poszłam do szkoły, przed wejściem już czekał on.

— Niewiele brakowało — powiedział — a nie zobaczyłabyś mnie dziś.

— Co się stało?

— Nic nie widziałaś? Gdy wyszedłem od ciebie przez okno i biegłem do przystanku, jakiś człowiek rzucił się za mną z krzykiem: Złodziej! Złodziej! Łapać złodzieja! Dogonił mnie, złapał za kołnierz. Co ukradłeś draniu? — zamierzył się, żeby mnie uderzyć. Pojęcia nie mam, co go powstrzymało. — Widziałem jak uciekałeś przez okno!

— Nie domyśla się pan?

— Co się mam domyślać, łobuzie. Wywróc kieszenie! Wywróciłem. Było w nich kilka monet.

— Pójdziemy na komisariat — zdecydował.

— Proszę pana, nie jestem złodziejem. Byłem u swojej dziewczyny, proszę, tu jest mój dowód. Niech pan czyta, imiona rodziców, adres... Mieszkam w Warszawie, na Poznańskiej.

— Pewnie, że mieszkasz, każdy mieszka, to o niczym nie świadczy — orzekł zwracając mi dowód. — Ale dlaczego uciekałeś przez okno? Nie mogłeś jak człowiek drzwiami?

— Mąż wrócił niespodziewanie, nie miałem wyjścia.

— Cha, cha — zaśmiał się zadowolony i spojrzał na mnie z sympatią — a to ci heca! Nie wyglądasz na amanta... Zauważył coś? — dopytywał się oblizując.

— Nie wiem, narobił pan takiego wrzasku...

— Rzeczywiście, cholera! Przepraszam. Na drugi raz, niech pan uważa, taki mąż może panu kości połamać, albo nie daj Boże, władować kulę w łeb. Co to dla nich, wie pan, to wojskowe osiedle. A pan nie stąd? — spytałem. — Coś pan! Ja przyjezdny, też byłem u takiej jednej, kobitka jak marzenie, mąż na manewrach, ale trzeba uważać! Trzeba uważać — klepał mnie po ramieniu, nie przestając się śmiać z mojej przygody. Na szczęście od dalszych zwierzeń wybawił mnie autobus, wsiałem akurat nie w ten, co trzeba.

— Może sąsiedzi też widzieli, powiedzą mamie. Co ja teraz zrobię? — przeraziłam się.

— Nikt nic nie widział, wszyscy spali, tylko ten facet, rozumiesz, z tych samych powodów co ja musiał się zerwać o brzasku. W domu powiedziałem, że zasiedziałem się u kolegi na Żoliborzu, dobrze nam się gadało przy lampce wina i tak dalej... Mama nie uwierzyła, kazała mi kłaść się do łóżka. Nie chciało mi się spać. Napisałem wiersz, przeczytasz go, gdy będziesz sama, nie czytaj go w klasie i nie pokazuj nikomu. Wsunął mi kartkę papieru do kieszeni i znikł tak samo szybko, jak zniknął sprzed moich okien.

Moja rodzina była trochę dziwna, a może źle ją sądzę, może wszystkie są takie. U nas nikt nie okazywał sobie uczuć. Wiadomo było, że się kochamy, siostry siebie nawzajem, rodzice dzieci, dzieci rodziców, babcia wnuki, a wnuki babcie. Taki był schemat, nikt jednak nikomu nie zwierzał się z uczuć, nikt o nich nie mówił. Czułość była rzeczą wstydliwą, ojcu nigdy nie przyszło do głowy, żeby mnie przytulić, pocałować. Kiedy byłam mała, pamiętam, że nieraz prowadził mnie za rękę, ale nie pamiętam smaku jego pocałunków. Kiedy wyjeżdżał gdzieś na dłużej, pochylał się nad moim czołem, zostawiając po sobie zapach lawendy, dlatego tylko zapach pamiętam. Mama czasem mnie przytulała, robiła to bardzo rzadko i tylko wtedy, gdy — jej zdaniem — wyglądałam jakoś specjalnie ładnie albo gdy na występach w przedszkolu recytowałam bezbłędnie długi wiersz, podczas gdy inne dzieciaki potrafiły wyklepać najwyżej jedną zwrotkę.

Mama była szorstka, wymagająca, ojciec powściągliwy, zatopiony w swoich chemicznych wzorach, które nie tyle mnie przerażały, ile ustawiały względem niego w pozycji leżącej, podziwiałam go, ale z daleka. Ojciec nigdy ze mną nie rozmawiał o takich sprawach jak miłość, pytał kim chciałabym być, czy już wybrałam kierunek, wiadomo było, że pójdę na studia. Rodzicom zależało, żebym zdobyła wyższe wykształcenie, mama nic nie skończyła i czuła, że coś ważnego umknęło

z jej życia, dlatego chciała, żebym ja zakosztowała rozkoszy zdobywania wiedzy. Też pytała, co będę robić, jak zdam maturę, a kiedy usłyszała, że się wybieram na polonistykę, zaprotestowała stanowczo.

— Po co ci polonistyka? — oburzyła się, ubolewając nad moją głupotą — chcesz całe życie pracować za grosze? Ja się na to nie zgadzam. Musisz mieć konkretny zawód, taki który da ci chleb, czy tu czy tam.

— Gdzie tam?

— Wszystko jedno. Nie wiadomo, jak się potoczą losy. Człowiek powinien umieć robić coś konkretnego.

— O jakim zawodzie myślisz?

— Idź na medycynę.

— Nie mogę patrzeć na krew.

— Więc na politechnikę.

— Wyobrażasz sobie mnie jako inżyniera?

— Tak, wyobrażam sobie. Inżynier to zawsze inżynier, wszędzie potrzebny.

Mnie to nie obchodziło.

— Może one pójdą — powiedziałam o siostrach — uczą się dobrze i nie mają za grosz wrażliwości. — Mama popatrzyła na mnie z dezaprobatą, nic już nie powiedziała.

Między mną a siostrami nie było również tej więzi, jaka powinna być pomiędzy rodzeństwem, one były dużo młodsze. To chyba dlatego, że ja z powodu wieku stawałam się dla nich kimś obcym, osobą z innego świata. Dla dorosłych nadal byłam dzieckiem, dziwna pozycja, dzieci mnie odrzucały, dorośli nie chcieli uznać mej dorosłości...

Atmosfera w domu była dość zimna, niedzielne obiady — często bez ojca — jakieś puste, nijakie, każdy zjadał szybko co miał na talerzu i biegł do swoich zajęć. Jedyńm człowiekiem, który to wszystko kleił i łątał, była babcia. Ona jedna umiała wziąć za rękę, przytulić czy pocałować, a kiedy było trzeba — wytargać za uszy, a nawet przyłożyć klapsa. Miała w sobie wiele młodzieńczej werwy, żywiołowej energii i pogody ducha. Była po prostu inna, siostry przepadały za nią, nie mówiąc o mnie, natomiast mama traktowała ją z góry jak zdziecinniałą staruszkę. Mówiła: ty tego nie rozumiesz, to dla ciebie za trudne, nie znasz się na tym. A przecież ona najwięcej rozumiała.

Myślę, że wszyscy mają jakieś żale do swoich rodziców, ja też je miałam, moje dziecko będzie mnie osądzać ze swojego punktu widzenia, inaczej niż ja siebie widzę, chociaż ja swojemu dziecku postaram się dać to ciepło i czułość, których nie zaznałam. Źle się chyba wyrażam, ja wiedziałam, że rodzice mnie kochają, ale tego nie czułam. Owszem, martwili się, kiedy byłam chora, zabiegali o to, żebym miała odpowiednie buty, co jeść, żebym się uczyła, chodziła do szkoły, żebym się nie spóźniała. Sprawy czysto zewnętrzne były przedmiotem ich troski, o nich się mówiło, natomiast nigdy, nawet w chorobie, nie okazywali mi serca. Mama nie umiała się zdobyć na to, żeby z uśmiechem, jak robił to Stefan, zajrzeć mi w oczy, żeby nasze spojrzenia połączyły się ze sobą. Tego nie było, nie wiem, może to wina warunków, naprawdę żyło nam się niełatwo, teraz widzę, że żyło się ciężko, wszystko u nas należało zdobywać, niczego nie kupowało się normalnie.

Moi rodzice nigdy nie mieli żadnych oszczędności. Meble kupowali na raty, telewizor na raty, radio na raty, zdaje się, że ciepłe palta też kupowali na raty. Potem je spłacali co miesiąc, z tych dwóch niewielkich pensji. Pod koniec miesiąca nie zostawało nic, wszystko szło najedzenie, na światło, na opał. Mama sama zajmowała się praniem, sprzątałyśmy razem, babcia też pracowała na pół etatu i społecznie w klubie seniora. Miała tam swoje towarzystwo. No, a taki duży dom, troje dorosłych i ja z siostrami wszystko na głowie mamy, więc nic dziwnego, że nie miała czasu ani ochoty okazywać mi serca. Może gdyby wiedziała, że to dla mnie ważne, znalazłaby czas. Nie musiała spędzać ze mną całych godzin, nie musiała nawet rozmawiać, przecież jednym spojrzeniem można przekazać więcej niż wieloma słowami.

Wieczorem zerwała się pierwsza wiosenna burza, uciekliśmy do bramy pod jakiś dach, stamtąd pod ścianami domów dotarliśmy na Poznańską. On tam mieszkał, w starym ciemnym domu, z podwórkiem studnią. Okna jego pokoju wychodziły na to podwórze. Mokrzy, zziębnięci, wyskoczyliśmy z windy na czwartym piętrze. Słyszeć było jak grzmi, błyskawice rozświetlały okna, przecinały niebo. Stefan zadzwonił do drzwi.

— Ich nie ma. Znowu będziemy sami, mama ma angielski, a ojciec w teatrze.

Wpadamy do jego pokoju, rozbieramy się, zostawiając na podłodze kałuże, suszymy rzeczy w kuchni nad gazem, potem ja ubrana w jego szlafrok prasuję bluzkę.

— Nie, nie! — Odpycham go od siebie. — Zaraz wróci twoja matka. Boję się jej, po wizycie w naszym domu drzę przed spotkaniem z nią. To przejdzie, wiem, ale na razie jestem spłoszona i bojaźliwa, ranią mnie jej spojrzenia. Ma takie oczy, które potrafią zadawać ból, a ja jestem utkana z bardzo kruchej materii, więc jeszcze raz mówię stanowczo „nie” i suszę włosy, przebieram się szybko i niszczę ślady swojej bytności, zacieram je jak przestępca. Nie chcę, żeby cień podejrzenia wśliznął się do jej duszy. Deszcz ciągle pada, ulewa się wzmacnia. Jak ja wrócę do domu?

— Zostaniesz tutaj na noc.

— U ciebie? Och! Nie.

— Kogo się boisz? Ojca?

— Nie, nie jego się lękam.

Wiem, przed nim nie muszę się chować. Jeżeli mnie nawet spotka w środku nocy w pokoju Stefana, uśmiechnie się tylko, przeprosi i nic nie powie, ale jego matka, która strzeże cnoty syna jakby był dziewczicą, zrobi na pewno coś strasznego.

— Zostaniesz tutaj — upiera się Stefan — zamkniemy się w pokoju. Nikt o niczym nie będzie wiedział, mama wróci późno, nawet do mnie nie zajrzy.

Mam szaloną ochotę być z nim podczas burzy, wśród tych groźnych błyskawic, w mroku, to będzie cudowne. Dzwonię więc do naszych sąsiadów i proszę, żeby ich syn zechciał przekazać mojej mamie wiadomość, że jestem u koleżanki, zostanę u niej na noc, będziemy się razem uczyć. Nie ma sensu wracać w taką ulewę z Ochoty do domu.

Jedna przeszkoda została usunięta, moi rodzice niczego nie podejrzewają, uczę się, za kilka dni matura, dopuścili mnie z łaski, a oni się cieszą, że wreszcie wzięłam się do nauki. Deszcz ciągle pada i robi się późno.

Stefan przekręcił klucz w zamku, zjedliśmy już kolację, przyszła jego mama i krząta się w kuchni, coś zjadła, naraz puka do drzwi, ja zamieram, jestem jeszcze w spódnicy i w bluzce, nie zdążyłam się rozebrać.

— Co, ty się zamykasz we własnym domu? — złości się szarpiąc za klamkę.

— Bo się rozbieram, chwileczkę — Stefan ściągnął spodnie, a ja wskoczyłam na parapet i przylgnęłam do szyby. Stefan bez pośpiechu przekręcił klucz w zamku. Wskoczyłam na okno z torebką przy piersi i stałam przyczajona na czwartym piętrze. Parapet był wąski, ledwie się tam zmieściłam. Jego matka weszła do pokoju, od razu zapaliła górną lampę i podeszła do okna, a ja wstrzymałam oddech.

— Czuję, że Iga jest tutaj.

Stefan nie odpowiedział, prawdopodobnie wzruszył ramionami i wskazał pusty pokój. Matce to nie wystarczyło, zajrzała do szafy, przesunęła ubranie. Słyszałam, jak wieszaki uderzają o siebie. Coś spadło z hukiem. Zamknęła szafę, nie było już gdzie zaglądać, podeszła do biurka, zajrzała za fotel. Pokój był duży, ale brakowało w nim sprzętów, za którymi można się było ukryć. Teraz szarpnie za zasłonę — pomyślałam — i zobaczy mnie na parapecie, zawieszoną między niebem a ziemią, skuloną, drżącą ze strachu.

Cały czas bałam się, że szyba, do której przylgnęłam, za chwilę pęknie, a ja wylecę przez okno, pokrwawię się, mniejsza o krew, roztrzaskam się na betonie. Tak skończy się moja miłość i moje krótkie życie. I oto usłyszałam, jak jego matka uchyla drzwi. Stefan zapytał:

— A teraz mogę się zamknąć? Nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał. Będę się uczył.

— Tak, możesz, czemu nie — powiedziała łagodnym głosem. Już go o nic nie podejrzewała. Stefan przekręcił klucz w zamku, a ja cała mokra od potu, zeskoczyłam na podłogę na miękkich nogach. Powiedziałam:

— Już nigdy, nigdy tu nie zostanę. Co ja teraz zrobię, jak pójdę do łazienki? Muszę się umyć.

— Poczekaj! Oni śpią twardo, nic nie usłyszą, posłuchają „Wolnej Europy” i zasną.

Rzeczywiście, słuchali „Wolnej Europy”, nie trwało to długo, widocznie zmorzył ich sen. W pokoju u nich zgasło światło, wtedy oboje na palcach powędrowaliśmy do łazienki, tam wzięliśmy prysznic i znowu na palcach cichutko wróciliśmy do pokoju. Zamknęliśmy drzwi i z niewypowiedzianą radością spadliśmy na jego olbrzymi tapczan.

Zawsze był pośpiech, lęk, że ktoś nadejdzie, nakryje nas, spłoszy, zawstydzi. Czego myśmy się bali? Nie wiem, to co robiliśmy, było ganione i potępiane, mama uważała pewnie, że nasza miłość jest czysto platoniczna, kończy się na pocałunkach.

Zadzwoiłam i powiedziałam:

— Jest tak, jak myślałam. — Jego zatkało, nie mógł wydobyć z siebie słowa.

— To co, co zrobimy?

— Nie wiem.

— Przyjdź do „Gwiazdeczki”. Rozplakałam się i odłożyłam słuchawkę. Zamiast do „Gwiazdeczki” przyjechał do domu nieludzko zmartwiony i starał się to ukryć, nadrabiał miną, uśmiechem, ale na jego oczy padał cień. Przytulił mnie, objął gorąco, od razu przestałam się bać.

— Jak myślisz, który to miesiąc?

— Miesiąc? Co ty opowiadasz? Kilka tygodni.

— To dobrze. Co chcesz zrobić?

— To chyba jasne. Masz coś przeciwko temu?

— Ja? Jak ja mogę mieć coś przeciwko temu? Iguś, kochanie, to moja wina, moja, jestem starszy, powinienem był uważać, czegoś ciebie nauczyć, a przede wszystkim uważać. O Boże! Co ja narobiłem! — chwycił się za głowę i biegał wokół stołu. — Nigdy sobie tego nie wybaczę. Iguś! Kochanie moje! — ukląkł przede mną. — Co robić? Co robić? — powtarzał przybity. W jego słonecznych oczach szklily się łzy. — Nie wiem, nie wiem, zastanowię się po maturze, a teraz pomóż mi rozwiązać kilka zadań, nic mi nie idzie.

Razem też nic nam nie szło. Stefan bardzo się starał, jedno zadanie rozwiązaliśmy wspólnymi siłami, on zdał matkę na piątkę, ale już zapomniał, zresztą nie chodziło o wiedzę, byliśmy w jakiś irracjonalny sposób pozbawieni zdolności logicznego rozumowania, oboje w równym stopniu.

Odesłałam go do domu, ponieważ nie chciałam, żeby rodzice zastali

go u nas, powiedzieliby, że wykorzystujemy sytuację i zamiast się uczyć... wiadomo co by mówili, co by myśleli.

Po wyjściu Stefana zrobiło mi się lżej, jeszcze nie lekko i nie beztrasko, ale znacznie lżej. Odtąd oboje mieliśmy koszmarne sny i Stefan przyjechał następnego dnia rano i był ze mną, był ze mną przez kilka godzin i tym razem udało nam się rozwiązać aż dwa zadania. I tak już było do końca, zasłanialiśmy okna, radio grało rifi, fifi, wtedy ciągle, pamiętam, nadawano tę melodię, a my nad zeszytem jak dwoje skazańców...

Poszłam ubrana w białą bluzkę, granatową spódniczkę, zgodnie z regulaminem. Przed szkołą czekał Stefan i obgryzał paznokcie. Włosy sterczały mu jak u czapli, był siny, z cieniami pod oczami. Nie spał całą noc, tak bardzo się denerwował. Ja byłam spokojna.

Zdam ten egzamin, postanowiłam i zdam, nie ma się co denerwować. Pod drzwiami rodzice, szepty, ogólne podniecenie, przewidywanie tematów. To wszystko toczyło się wokół mnie, ja to widziałam, ale nie mogłam w tym uczestniczyć. Po prostu był to spektakl, aktorzy na scenie grali swoje role, ja sobie patrzyłam, sztuka nie była na tyle ciekawa, żeby mnie wciągnąć. Usiadłam w sali gimnastycznej na wyznaczonym miejscu, podpisałam arkusz papieru z pieczętką szkoły, czekałam aż polonistka rozerwie kopertę. Wśród tematów, tak jak przewidywano, był: Żeromski, romantyzm i Młoda Polska, w żadnym nie czułam się mocna, chyba o romantyzmie jeszcze mogłam coś napisać i wreszcie ostatni temat, dowolny: „Rozwiń słowa poety na podstawie znanych ci utworów...”, słów już nie pamiętam, ale ten właśnie temat wybrałam. Nie spieszyłam się, miałam czas. Dostaliśmy kanapki, herbatę, było nawet przyjemnie, mniejsze napięcie, uśmiechy, szepty. A ty co piszesz, a ty co, a ty? Pracę oddałam przed czasem i wyszłam. Oczywiście Stefan czekał błądy, skurczony, wraz z tłumem rodziców na boisku.

— No i jak, jak?

— Napisałam świetne wypracowanie, naprawdę świetne, jeżeli nie narobiłam błędów, a sądzę, że nie, piątka murowana.

— Jesteś za pewna siebie.

— Nie jestem, wiem, co potrafię, na co mnie stać, wiem, jak napisałam, przeczytałam spokojnie całość i dobrze ją oceniłam.

Miałam rację, z polskiego mi się udało, dostałam piątkę, a ponieważ przez cały rok też miałam piątki, (dwóje były z innych przedmiotów), zostałam zwolniona z ustnego.

Na matmę też poszłam spokojnie, nie denerwowałam się wcale. Nie zależało mi chyba na tej maturze. Rozwiązałam jedno tylko zadanie, od razu wiedziałam, że źle. Sama przekreśliłam wynik i taki arkusz, prawie czysty, oddałam nauczycielowi, który zachęcał mnie do wysiłku. Muszę przyznać, że był w porządku, mówił: stać cię na wiele, postaraj się skupić, zastanów się, coś mi nawet usiłował podpowiedzieć. Nie słuchałam, nie mogłam. Kiedy weszłam na salę, powiedziałam sobie: tego egzaminu nie zdam. Autosugestia? Brak wiadomości? Nie wiem. Stefan nie przypuszczał, że tak się stanie, rodzice też. Przez całą szkołę uczyłam się dobrze i nagle ta matma, zaskoczyłam ich, właściwie to było mi przykro, nie chciałam nikogo martwić.

Ociepliło się, ziemia i trawa pachną natrętnie. W ogrodzie botanicznym kwitną bzy, ptaki drą się niestrudzenie.

Ja milczę, Stefan też nic nie mówi, po raz pierwszy nie mamy sobie nic do powiedzenia, idę i patrzę pod nogi, bzykają pszczoły, przyroda zalewa nas falą dźwięków, zieleń gęsta i pełna, liście dzwonią cichutko, a my ponurzy, skurczeni i mali, w tej przyrodzie, która rani każdym oddechem. Milczymy uparcie.

Stefan ma mi za złe, po raz pierwszy ma mi coś za złe, że nie stanęłam na wysokości zadania, nie dorosłam, jestem zerem, które udawało kogoś ważnego, trzycyfrową liczbę lub nawet tysiąc. Nad wodą staruszki w ciepłych płaszcach, w szalach, chustach pachnących naftaliną karmią łabędzie, a jeden pan, średnio młody, rozmawia z ptakami; hej, hej, chodźcie tutaj, hej, hej. One wyciągają długie szyje i poruszają skrzydłami, rozumieją, co do nich mówi, i bez pośpiechu z istic królewską godnością jak małe parostatki suną w jego stronę. Stefan bierze mnie za rękę.

— Słuchaj — w jego oczach znowu jest słońce — to przecież nie koniec, dopuszczają cię do ustnego, miałaś trójki?

— Miałam dwójki i trójki.

— Nie szkodzi, masz jeszcze szansę, jeszcze czas. Masz szansę. Idziemy do domu, nie będę ci przeszkadzał, zdążysz się poduczyć.

Miałam dużo czasu, całe dwa tygodnie, w domu było spokojnie, cicho, siostry na wczasach, rodzice w pracy, babcia w klubie seniora. Stefan dotrzymał słowa, nie przyjeżdżał, nie zostawiał wierszy za oknem i nie przysyłał ich pocztą, nikt mnie nie odwiedzał, żadna z koleżanek, wszystkie się uczyły. Dni były pogodne, z rzadka padały deszcze, przeważnie nocą, nic mi nie dolegało, żadna niestrawność czy ból głowy, nie byłam zmęczona, spałam normalnie, czułam się dobrze i chciałam zdać maturę, chciałam mieć to za sobą ze względu na rodziców, na niego. On by się cieszył, gdybym zdała, wiedziałam, ale mój mózg był zatruty, pozbawiony właściwych składników, nie funkcjonował normalnie, nie byłam w stanie zmusić go do wysiłku.

Siedziałam nad otwartym zeszytem, przepisywałam wzory, uczyłam się ich na pamięć. To wszystko. Pamięć działała sprawnie, poza tym nic, inne funkcje były w zaniku, nie rozwiązałam żadnego zadania przez dwa tygodnie. Siedziałam przy biurku, patrzyłam na ścianę, czasem w okno. Z jabłoni sfruwały białe płatki ścigając się z pszczołami, widziałam białe obłoki, puchate jak bita śmietana, nadęte i ważne. Przetaczały się jeden po drugim, zakrywając niewielkie skrawki błękitu, było ich coraz więcej.

Patrzyłam na wzory, przepisywałam je mechanicznie, uczyłam się definicji, też je przepisywałam, chciałam wyrwać się z labiryntu, z tego zaklętego kręgu, pokonać własną indolencję i niemoc, udowodnić chociażby sobie, że jestem coś warta i nic, nic... Byłam pusta, bezwolna, nie umiałam walczyć ani o siebie, ani o swoje miejsce na ziemi. O niego też nie umiałam walczyć, może gdybym była bardziej stanowcza, energiczna, zaborcza, nasze życie potoczyłoby się inaczej. Nie narzekam, broń Boże! I tak nic już nie zmienię... To nie była tępota, lecz przerażenie, straszne, obezwładniające przerażenie i strach, i tworzenie złudzeń, omotywanie się nimi i nieporadność wypływająca z niewiedzy, i lęk, że jest już za późno, i co powie mama. Nie, ona nie może się dowiedzieć, wolę się raczej zabić, taki wstyd.

Iwona... tak, ona jedna będzie w stanie mi pomóc, ona jedna ma doświadczenie, wie, co w takich wypadkach robić. Teraz się uczy, wszyscy się uczą, nikt nie ma czasu. Przede mną ściana, długie puste noce i wzory, definicje, wzory...

Jeżeli dwie linie... Alfa plus beta..., a w nocy niedobre sny, ciągłe ucieczki i strzelanina, byłam w niebezpieczeństwie, na dryfującej krze, na łódce bez dna, skakałam z wieży, dom, w którym miałam zamieszkać ze Stefanem, rozpadał się nagle, jak gdyby był z kart. Mama umierała w jakiejś nędznej sali bez okien, Stefan odjeżdżał zapchanym autobusem, do którego ja już nie zdołałam się wcisnąć, szłam przez pole, a wokół mnie padały bomby...

Miłość wymaga ofiar. Taką ofiarą była matura. Nie zdałam. I co gorsza, wcale się tym nie zmartwiłam. Stefan był przy mnie, kochał mnie, to było ważne, a matura to coś z innego świata, coś nierzeczywistego i nierealnego, co oczywiście należało mieć za sobą, ale skoro się nie udało, to trudno. Rodzice jednak byli innego zdania. Mama prosto z pracy poszła do szkoły i wszystkiego się dowiedziała. Nie omieszkała jej powiedzieć, że z pisemnego wyszłam wcześniej i że na ustnym nie odpowiedziałam na żadne pytanie.

Przybiegła do domu, nie zastała mnie. Siedziałam sobie ze Stefanem jak gdyby nic nad jeziorkiem czerniakowskim. Mama myślała, że ja sobie coś zrobię, że się załamalam, że mi wstyd. Takie straszne przeżycie. Wyszła sprawdzić, czy się nie utopiłam. No i zobaczyła mnie ze Stefanem, jak siedzieliśmy całując się nad tym jeziorkiem i powiedziała:

— Nigdy więcej! Dostyc tego! Dostyc tych amorów, dostyc tego włóczenia się, dostyc tracenia czasu, dostyc, dostyc... — Rozwrzeszczała się straszliwie. Złękłam się, że dostanie zawału.

— Cicho — powiedziałam — ja żyję, nic się nie stało.

— Nic się nie stało? A matura, taki wstyd, jak ty będziesz żyła, co będziesz robić?

— Tyle ludzi żyje bez matury, to i ja będę. Zresztą nie ma się czym przejmować. Zdam tę cholerną maturę jak nie za rok, to za dwa. Przecież

nie umieram... — Nie, lepiej było już nic nie mówić. Stefan to rozumiał i po prostu się nie odzywał.

— Marsz do domu! — wrzasnęła mama. — Marsz do domu! I ty też, ty też, odejdz stąd! Zejdź mi z oczu, bo cię zabiję! — rzuciła się na niego, chciała go uderzyć, zrobiło się jej wstyd.

— Przepraszam — powiedziała — przepraszam. Idź już stąd! — rozplakała się.

Przyszłam zaraz za nią do domu i nastawiłam Bacha w swoim pokoju. To znowu spowodowało u niej wybuch wściekłości.

— Nic tylko ta muzyka, godzinami siedzisz przy tych płytach, wszystkie powyrzucam, porozbijam — skoczyła do moich płyt.

Zasłoniłam je sobą, wyrwałam parę z jej rąk, ale kilka udało jej się przełamać, zniszczyć. Najukochańsze moje płyty. Krzyczała, ja nic nie słyszałam, wiedziałam tylko jedno, ona jest moim wrogiem, chce mnie rozdzielić ze Stefanem.

— Nienawidzę cię — wychrypiałam — nienawidzę. Chcesz mnie rozłączyć ze Stefanem, chcesz mnie uczynić nieszczęśliwą, chcesz mojej śmierci. Wiesz, że bez niego nie potrafię żyć, chcesz mnie zabić. Dobrze, to zabij mnie, jego też zabij, on też nie może beze mnie żyć...

Na szczęście ojciec wrócił wcześniej z pracy, awantura gdzieś się rozwiązała, zawisła w powietrzu. Utulił mamę, mnie nic nie powiedział, zachował się tak, jakby się nic nie stało.

Tego dnia nie było obiadu, mama gdzieś pojechała, myślałam, że do rodziców Stefana. Dopiero kiedy babcia wróciła z pracy, usmażyła omlety i robiła wszystko, żeby było normalnie. Piekla swoje kruche ciasteczka, stała przy kuchni, słuchała radia, czytała «Exprès».

Mama wróciła wieczorem i już spokojnie bez krzyku i łez oznajmiła, że nie pojedę nigdzie na wakacje, będę siedzieć w domu i uczyć się. Muszę to zrobić, dla niej i dla ojca. Powiedziałam, że nie chcę nic dla niej robić. Miłość jest egoistyczna, miłości nie można dzielić, nie można objąć nią całego świata. Kochałam tylko Stefana i nie zdawałam sobie sprawy z cierpienia rodziców, z udręki mojej matki, która sama z wielkim trudem, ucząc się i pracując, zrobiła maturę, a ja zmarnowałam szansę, zlekceważyłam jej trud, zignorowałam życzenia ich obojga, prośby, błagania. Bez żadnego powodu traciłam czas, przecież nie zabraniała

mi się z nim widywać, niczego mi nie broniła, a ja okazałam się niezdolna do miłości i do życia. Mówiłam, że miłość to życie, a nie potrafiłam żyć jak wszyscy. On też nie potrafił.

Rano nikt mnie nie budził, a ja spałam i spałam, nawet kiedy przyszedł Stefan, nie chciało mi się wstawać, kazałam mu zadzwonić do Iwony.

— Powiedz, że mam ważną sprawę. Muszę z nią pogadać, wyśpię się i wtedy...

Wieczorem, kiedy rodzice wrócili z pracy, jakoś później niż zwykle, nie udało się uniknąć rozmowy, na którą nikt z nas nie miał ochoty. Przyszli do mojego pokoju, gdzie ja ciągle tkwiłam w błogim lenistwie, chociaż już nie spałam. Mama oznajmiła, że była w szkole. Wszyscy z mojej klasy zdali, tylko ja jedna, tylko... — rozplakała się. Ojciec już nie był łagodny i cichy, raczej zrezygnowany i zły.

— Czy ty myślisz — powiedział — że ja mam siłę pracować na taki dom. Myślałam, że pójdziesz na studia, dostaniesz stypendium, a tu jeszcze tyle lat nauki, tyle lat. One dorastają, też je trzeba wykształcić — mówił o siostrach — czy ja mam na to siły, czy mama ma siły?

— Pójdę do pracy — oświadczyłam skruszona.

— Oczywiście, że pójdziesz, ale ty nic nie umiesz, przyjmą cię najwyżej na gońca.

— Umiem pisać bez błędów. W wypracowaniu z polskiego nie zrobiłam ani jednego błędu. Znam się trochę na literaturze. Może by mnie przyjęli do biblioteki?

— Nie przyjmą cię bez matury, może gdzieś na prowincji, to tak, ale w Warszawie raczej nie — podsumowała mama, wycierając łzy.

Te łzy były jakby na pokaz, szybko przestały płynąć, zastygły na rzesach. Ręka matki starła je niezdarnie z zapadniętych policzków. Poprawiła się na krześle.

— Załatwię ci pracę, rozmawiałam z jedną z moich koleżanek, to bardzo mądra osoba, przedtem jednak nauczysz się pisać na maszynie...

— To dobry pomysł — zgodziłam się.

— Maszynę się pożyczę — poinformowała mnie mama, chociaż ja o nic nie pytałam. Zastanawiałam się, czy nie wykorzystać rzadkiej okazji, gdy byli razem i nie powiedzieć im prawdy. Nigdy! — w porę się powstrzymałam. Doszłam do wniosku, że ich dobiję. Wczoraj jeden cios, dzisiaj drugi. Nie, nie powiem im, umarłabym ze wstydu. Zresztą nie wiedziałam, jakich słów użyć, żeby ich nie zranić. Żadne słowa nie chciały przejść mi przez gardło. Do oczu napłynęły łzy.

— Przestań się dręczyć — skarciła mnie szorstko matka. — Teraz już za późno, co się stało, to się nie odstanie. Wyjdź na powietrze, zjedz coś. Zobacz w lustrze, jak ty wyglądasz? Chuda, blada, włosy potargane. Wstawaj! — podała mi rękę, zaprowadziła do stołu, a ja zamiast się uspokoić rozplakałam się głośno, tuliłam się do niej z całym oddaniem, potrzebowałam jej ciepłych piersi, rąk pachnących pietruszką, jej miękkich uspokajających słów, których mi ciągle skąpiła.

Mama łagodnie uwalniła się z moich objęć, zdziwił ją mój wybuch i rozżość. Czego ja właściwie chcę! Nie robią mi żadnych wymówek, nie łają, nie krzyczą, starają się znaleźć wyjście. Pojdę do pracy, a w przyszłym roku na pewno zdam, wezmą mi korepetycje, gdyby było trzeba, a teraz... Mama postawiła przede mną kotlet mielony z górą ziemniaków, kompot.

— Lubisz przecież kotlety?

— Tak, lubię — pochyliłam głowę.

Kotlet był słony jak łzy... Mama również straciła apetyt, jadła z wysiłkiem, małymi kęsami, zachęcając mnie swoim przykładem. Ojciec oświadczył, że jadł w pracy. Wypił kompot i poszedł do siebie. Moje łzy zdenerwowały go, za dużo mazgajstwa, roztkliwiania się nad sobą, i to teraz, kiedy jest już za późno.

Nie musiałam niczego wyjaśniać, bawić się w subtelne podchody, Iwona od razu wiedziała, o co chodzi.

— Potrzebujesz lekarza? — spytała bez wstępów.

— Stefan ci mówił?

— Nic mi nie mówił, powiedział tylko, że masz do mnie ważną sprawę, domyśliłam się. Dziewczyny korzystają z mojego pośrednictwa. Nie myśl, że prowadzę tu jakieś biuro, nie, niektórym zdarza się wpadka, wszystkie wiedzą, że mam w rodzinie lekarza, który... no wiesz...

— Właśnie. Mogłabyś z nim porozmawiać?

— Umówię cię, on nie zdiera skóry, ale sama rozumiesz, nie robi tego bezinteresownie.

— Będę miała pieniądze, muszę mieć. Wymieniła, jak na moje możliwości, zawrotną sumę.

— Powiedz Stefanowi, ty nie dasz rady, chyba że rodzice wiedzą i chcą ci pomóc.

— Nic nie wiedzą, na szczęście wyjeżdżają na trzy dni do Rabki, siostry są tam na wczasach dziecięcych, tak to się chyba nazywa...

— W takim razie trzeba się spieszyć, musisz mieć jakieś badania, morfologię, krzepliwość, dokładnie nie wiem... Zaraz do niego zadzwonię, a ty się rozchmurz i nie miej takiej pogrzebowej miny, nie jesteś pierwsza i nie ostatnia...

— Ty też?

— Nie, ja nigdy, jakoś mi się nie przytrafiło... — uśmiechnęła się ciepło.

— Wiesz, ja uważam, mama mi powiedziała, kiedy nie należy, przy okazji zrobię ci wykład, a teraz zadzwonię...

— Zaczekaj! — chwyciłam ją za rękę. — Czy ty się kochasz w Stefanie?

— wreszcie wyrzuciłam to z siebie.

Iwona spoważniała, machinalnym ruchem ręki starła z twarzy rumieniec.

— Nie — odpowiedziała patrząc mi w oczy. — Nie — potrząsnęła głową, ale ta odpowiedz zabrzmiała mało przekonywająco.

— Ale kochałaś się? Zastanowiła się chwilę.

— Chyba nie, chociaż zdawało mi się... to było dawno, strasznie dawno...

Nie ma to już żadnego znaczenia... Ważne co jest, starajmy się żyć teraźniejszością i przyszłością, przeszłość istnieje tylko w nas, ale tak naprawdę to jej nie ma. Zresztą jesteśmy za młode, żeby karmić się wspomnieniami.

— Wykręcasz się?

— Możliwe, chociaż nie — zawahała się — chcę być szczerą. Bardzo

cię lubię, przyjaźnimy się tyle lat i nagle stosunki między nami stały się jakieś fałszywe, nienaturalne... Może się wydawać, że między nami stanął chłopak, ale to nieprawda, on jest przy tobie, nie między nami...

— Ale byliście razem? — bąknęłam niepewnie.

— Och! Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Przestań się tym dręczyć! On ma zbyt wielkie serce, za wielkie jak na moje wymagania... Ja jestem bardzo zajęta, nie mam czasu na miłość, chcę coś osiągnąć w życiu... dostać się na studia, zrobić karierę, miłość mogłaby mi w tym przeszkodzić, tego się lękam. Wasz przykład nauczył mnie wiele, wy się po prostu niszczyacie nawzajem... ale to wasza sprawa. Nie chcę ci prawić morałów, wiesz przecież, jak jest. Przykro mi z powodu matury, zawsze szłyśmy łeb w łeb, teraz zostałaś w tyle, to mnie przeraża, to nie jest normalne, może byś poszła do psychologa, zaczęła się leczyć.

— Uważasz mnie za nienormalną?

— Nie, ale wypadłaś z szyn i ktoś cię musi ustawić na nich z powrotem...

— On mi pomoże.

— Nie da rady, on sam potrzebuje pomocy... To poeta, buja w obłokach, on się nie zmieni, już taki będzie, przy wielkiej inteligencji zostanie wielkim dzieckiem. Dawno chciałam ci to powiedzieć, ale nie było okazji... A o forszę się nie martw...

— Jak to mam się nie martwić?

— Ja mam — roześmiała się dźwięcznie. — Widzisz, o co, jak o co, ale o forszę nie musiałam się nigdy martwić. Chyba powinnam się cieszyć, że moi staruszkowie się rozeszli, urządzili się całkiem dobrze, każde z kim innym, ale... Widzisz wolałabym mimo wszystko, żeby byli razem.

— Dawno nie widziałam twojej mamy.

— Ja też... Żartuję, oczywiście. Wczoraj tu była zobaczyć jak żyję.

Przyniosła ciasto, schab pieczony, no i pieniądze, ojciec to samo, dzwoni, zagląda i zostawia mi forszę. Oboje spać po nocach nie mogą, tak się boją, żebym nie zeszła na złą drogę... Ciągle słyszę upomnienia, przestrogi.

Sądzą, że jak mi nie patrzą na ręce, to ja puszczam się, piję. Na szczęście nie jestem głupia. To ważne powiedzieć sobie: nie jestem głupia i nie będę, i żaden chłopak, żaden mężczyzna nie sprowadzi mnie na złą drogę.

— Uważasz, że ja jestem na złej drodze?

— Nic nie uważani, nie mam recepty na twoje życie, mam ją na swoje. Jeżeli ty sądzisz, że można żyć samą miłością, to sobie żyj, nie mam zamiaru cię od tego odwodzić...

— Ale nie pochwalasz tego, co robię?

— Nie jestem twoim sędzią. Przykro mi, że nie zdałaś matury. Szkoda, że nie przyszłaś do mnie wcześniej, może i w tym byłabym ci w stanie pomóc...

— Już mi pomogłaś, dziękuję — schowałam pieniądze do kieszeni. — Patrzę na ciebie z podziwem. Jesteś strasznie stara i mądra.

— Nie, po prostu wiem, czego chcę, a to wnosi trochę ładu w ten chaos, który nazywa się życiem.

Następnego dnia zrobiłam badania w prywatnym laboratorium i siedząc w kawiarni czekałam na wynik. Tam znalazł mnie Stefan. Przyszedł i bez słowa położył pieniądze na stole, znacznie więcej niż dostałam od Iwony.

— Skąd masz? Ukradłeś? — przeraziłam się.

— Sprzedałem aparat fotograficzny.

— Co powiesz w domu?

— Och! Powiem, że zostawiłem w tramwaju. Wiedzą, że jestem roztargniony, uwierzą.

Moi rodzice wyjechali w piątek rano, po południu poszłam do lekarza. Stefan czekał na dole. Nie chcę mówić, co przeżywałam. Jestem nieśmiała, wstydliva, to było pierwszy raz, umierałam ze wstydu. Nie przypuszczałam, że to takie straszne, nie chodzi wcale o ból czy o cierpienia fizyczne, byłam przejęta, stremowana, napięta do granic wytrzymałości. Myślałam, że pęknę od tej wewnętrznej duszności. Myślałam, że każde naczynie trzaśnie, dostałam zastrzyk, lekarz zapewnił mnie, że nie będzie bolało.

— Nie boję się bólu — powiedziałam — nie o to chodzi.

— Rozumiem — pokiwał głową — nie możesz się zdecydować. Jeżeli się wahasz, przyjdź za kilka dni, jeszcze nie jest za późno.

— Nie mogę czekać, niech pan to zrobi jak najszybciej.

Zamknęłam oczy, nie było żadnych komplikacji, zabieg nie trwał długo. Stefan przywiózł mnie do domu, nikogo nie było. Babcia jeszcze tkwiła w klubie seniora.

— Nie zostawiaj mnie samej — poprosiłam go — nie zostawiaj! Ja zwariuję, zwariuję, a może już zwariowałam?

Po tym zastrzyku, który dostałam u lekarza, szybko zasnęłam. Obudziłam się w nocy, on siedział przy świecy. Powiedział, że babcia już śpi, zjedli razem kolację, nie chcieli mnie budzić. Babci nagadał jakichś głupstw. Pewnie nie uwierzyła w nie, jej nie można okłamać.

— Która godzina? Jest późno! Idź do domu... Nie chcę awantur, wizyt twojej matki, nie chcę, żeby tu przychodziła i robiła mi wymówki. Nie zniosę tej ciągłej kontroli, tych strasznych podejrzeń, nawymyślam jej albo sobie coś zrobię.

— Przestań! Ona tu nie przyjdzie, nie pozwolę! Śpij, proszę! Zrobię ci kolację.

Nie chciałam jeść, wypiłam szklankę herbaty i odprawiłam go do domu, prosiłam, żeby nie przychodził przez kilka dni, chciałam być sama, w samotności przemyśleć to wszystko.

Zacieram ślady naszej zbrodni, właściwie mojej. On nie brał w niej udziału, poddał się biernie mojej decyzji. To zawsze wygodniej, jeżeli ktoś za nas coś postanowi, zamknie jakieś drzwi, zatrzaśnie bramę, a my, trzymając ręce przy sobie, możemy z czystym sumieniem stwierdzić, że nie maczaliśmy w tym palców. Jestem niesprawiedliwa, wiem, ale to rozpacz podsuwa mi gorzkie słowa, on nigdy nie przerzucił ciężaru odpowiedzialności na mnie, zawsze czuł się tak samo winny i tak jak ja przeżywał utratę naszego dziecka.

Do mnie żal przyszedł z opóźnieniem, wszystko w moim życiu przychodziło za późno, pierwsza miłość też, dziewczyny kochały się w siódmej klasie, a ja nie. Byłam stanowczo za stara na pierwszą miłość, prawie dorosła. W dawnych czasach kobiety w moim wieku miały liczne potomstwo. Decyzję podjęłam z lęku, co powiem mamie i ojcu, jak

zniosę ich pełne wyrzutu spojrzenia, co będzie ze szkołą, co stanie się z nami. Myślałam: kiedy oni się dowiedzą, że my od dawna tak jak mąż z żoną, rozłączą nas, kto wie, czy nie zabiją. Bardziej niż śmierci bałam się rozłąki, dlatego zdecydowałam się pójść do lekarza. Chyba nie zdawałam sobie sprawy z tego, co czynię. Zgroza i przerażenie przyszły, jak to często bywa, po fakcie. Byłam sama wśród nocy, babcia pochrapywała za ścianą, a ja nie spałam, nie mogłam, leżałam na tym tapczanie, ciemność kłuła mnie w oczy, biel parapetu odcinała się wyraźną linią od podłogi, w okna wciskała się noc, czarna, nieprzyjazna, pełna przerażających głosów. Oblewałam się potem, wstawałam, zapalałam światło i usiłowałam się modlić, nie mogłam. Nie dlatego, że nie wierzyłam w Boga, nigdy nie przestałam wierzyć, że On istnieje, przestałam natomiast wierzyć w jego obraz podawany przez księdza, przestałam wierzyć w jego narodzenie, wiedziałam, że Jezus żył, ale czy był Bogiem, czy to możliwe, żeby był Bogiem? Tyle pytań dręczyło mnie po nocach. Istnienie Boga nie było najważniejsze, bardziej dręczyło mnie to, co zrobiłam. Popełniłam zbrodnię i chciałam ponieść karę, wiedziałam, że los mi ją wymierzy. Byłam gotowa przyjąć ją bez szemrania, ponieważ zasłużyłam na nią. Straciłam chęć do życia, nawet czerwony płomień Sebastiana nie rozpałił we mnie radości, płonął czerwonym blaskiem przez kilka minut, a ja siedziałam zgębiona tym strasznym zdarzeniem, bez sił.

W końcu, bojąc się, że on odejdzie, podeszłam do okna i wpuściłam go do pokoju. Przespał się na tapczanie siostry, a rano odszedł bez słowa.

Babcia ma w oczach promienie Roentgena, przebija nimi duszę. Gdzieś koło dziesiątej rano, sądząc, że się już wyspałam, wtargnęła z ogromną tacą do mojego pokoju. Zerwałam się zaskoczona. Nikt mi nigdy nie podawał śniadań do łóżka, mama uznałaby to za zbrodnię, a babcia uśmiechała się figlarnie i postawiła tacę.

— Kto rano wstaje... — zaczęła podnosząc kołdrę.

— Temu Pan Bóg daje — dokończyłam wtulając się w poduszkę. Babcia pokręciła głową.

— Temu się cały dzień chce spać — prysnęła we mnie śmiechem. — Jak się czujesz? Nie masz gorączki? — położyła mi dłoń na czole. — Masz, tak przypuszczałam, zaraz przyniosę termometr.

Nie odzywam się, babcia o nic nie pyta, siedzi przy mnie ze skupionym uśmiechem, lekka, wiotka, z twarzą jak wodne lustro muśnięte skrzydłem fali, jest siwa i srebrna i nie chce farbować włosów, Duży, męski zegarek po dziadku, który zawsze nosi na lewej ręce, cyka głośno. Strumień światła niczym złoty pręt przecina pokój, skupiając uwagę babci na sobie.

— Odsłonić okno? Taki piękny dzień, ptaszki śpiewają.

— Nie, nie, a zresztą jak chcesz — naciągam kołdrę pod szyję, jest mi zimno i strasznie. Mam gorączkę.

— Trzydzieści osiem — stwierdza bez zdziwienia babcia. — Nie jest źle. Teraz zjedz coś, nie za dużo, proszę, twarożek, bułeczka, a przede wszystkim herbata, pij! Nie ma lepszego napoju niż herbata — odsłania skrawek okna — ciemność pogłębia zły nastrój. Teraz dobrze? Nie będzie razić cię w oczy? Lekarz nie zapisał ci żadnych antybiotyków?

Zachłysnęłam się herbatą, kaszlę i ręką wskazuję szufladę biurka. Ona wyjmuje bez pośpiechu fiolkę z lekarstwem, kładzie przede mną.

— Dwie tabletki?

Kiwam głową, nie wiem co z sobą zrobić, zapaść się pod ziemię, walić głową o ścianę, uderzyć się w piersi?

— Stefan ci powiedział? — spojrzałam na nią zaskoczona.

— Co mi miał mówić? Leż, o dwunastej zmierzymy temperaturę. Chcesz jakąś książkę? Czy nastawić ci płytę?

— Babciu! Posiedź przy mnie! Jesteś dobra, wspaniała, najlepsza na świecie i najmądrzejsza — całujemy się mocno, czule. Babcia uśmiecha się oczami.

— Musisz się wyleżeć. Posiedzę przy tobie. Nie pójdę dzisiaj do klubu, denerwują mnie te staruchy, ciągle gadają o polityce, a taki piękny maj... Taki piękny... Mamy kurczaka, ugotuję ci rosół z makaronem domowym, upiekę ciasto... Kiedy człowiekowi jest smutno, powinien zjeść coś dobrego.

— Babciu! Nie potępiasz mnie?

— O czym ty mówisz, dziecko? — pokręciła głową z tym swoim łagodnym spojrzeniem, — Nie jestem sędzią. A Pan Bóg, Pan Bóg

wybacza nie takim grzesznikom jak ty. Postaraj się zasnąć, tak będzie najlepiej, a ja posiedzę, posiedzę...

Zasypiam z jej ręką przy twarzy i nic mi się nie śni. W nocy znów wracają koszmary, błądzą po pustym lesie, gonią mnie dzikie zwierzęta, uciekam raniąc się, gubię pantofle, biegnę powoli, niezdarnie, ponieważ nie mam sił, usiłuję wdrapać się na drzewo, ale oślizły pień broni dostępu do górnych pięter, dzikie bestie są już przy mnie i słyszę ich groźne sapanie, piersi rozrywa mi krzyk.

Leżę w pościeli, mokra od potu, strach przed śmiercią miesza się z lękiem przed bólem. Zaczynam lubić noc, oswajam się z mrokiem.

Rzeczywistość przerażająca za dnia w nocy staje się upragnionym azylem, bezpiecznym schronieniem, ciemność jest pożądana, przyjazna tak samo jak te dziwne pomruki, szelesty, trzaski, westchnienia. Oswajam się z mrokiem, przebijam go oczami, muszę pokonać w sobie strach, inaczej zwariuję. Wiem, podpowiada mi to instynkt życia, nie dam się zniszczyć, nie pozwolę zapanować nad sobą tej strasznej sile, która paraliżuje mi ruchy, tamuje oddech. Zduszę ją, zdławię nadludzkim wysiłkiem woli, inaczej rozsypię się, stanę się garścią piasku i nikt mnie nie poskleja, nawet on.

Za oknem migoce czerwony płomień świecy.

— Wracaj do domu — szepczę przez uchylone okno — zmarzniesz, noce są jeszcze chłodne.

— Jak się czujesz? Nie mogłem zasnąć, musiałem przyjechać. Co myśmy zrobili? Nie zasługuję na twoją miłość, ty mnie odepchniesz, znieńawidzisz, odtrącis. Dlaczego ty mi się nigdy nie śnisz? Tak pragnę być z tobą nawet we śnie, a ciebie nie ma, uciekasz, znikasz, a ja cię szukam i wołam. — Ty w moich snach też odjeżdżasz, przeważnie autobusem, drzwi zatrząskują się ze świstem, a ja stoję zamieniona w słup soli jak żona Lotha. Jestem sama na pustyni pod niebem białym od słońca, wypełniona goryczą, smutkiem i rozpaczą, a ciebie nie ma, nie ma...

Wiesz, co to jest? Lęk przed utratą. Kocham cię i nie chcę cię stracić.

Słuchaj! Musimy bardziej ufać sobie, wierzyć. Nie mam do ciebie żalu.

Wracaj do domu i myśl o mnie! Czuję się dobrze, nie mam gorączki...

Jutro przyjadą rodzice, wpadnij na chwilę.

Całujemy się przez okno. Gaśnie płomień świecy i on odchodzi.

Nadal tkwię w łóżku, nie chce mi się wstawać. Rodzice bez podejrzeń przyjęli wersję o grypie, o objawach mówiła babcia. Ja milczałam, znudziły mi się drobne kłamstwa, wybiegi, lepsze było milczenie. Nadal codziennie przychodzi Stefan, zjawia się wieczorem jak duch, wpuszczam go do pokoju przez okno. Siadamy na podłodze naprzeciw siebie.

— O czym myślisz? — pyta z niepokojem.

— O nim.

— Przestań, jego nie było, ono nie istniało.

— Ono istnieje tu, w moim sercu, napęnia je bólem.

— Jego nie ma, ja jestem, nic już nie poradzimy.

— Ale ja nie mogę się z tym pogodzić.

— Musisz, nie ma innego wyjścia.

— Spotka nas za to kara.

— Co mogliśmy zrobić?

— Mogłam urodzić to dziecko. I tak nie zdałam matury, ty poszedłbyś do pracy.

— A gdzie byśmy mieszkali?

Właśnie, pytania jak uderzenia młotka, wałą w głowę.

— Dlaczego nie uważaliśmy, lepiej by było gdybyśmy... To się już nie powtórzy, rozchmurz się, pójdziemy na koncert. Kiedy? Jutro. Jutro?

Może?

Mama uchyla drzwi.

— Co tak siedzicie po ciemku? — Strząsnęła na nas snop światła. — Czy ty na uniwersytecie nie masz żadnych obowiązków?

— Właśnie wracam z biblioteki.

— A nie musisz uczyć się, coś czytać? Ciągłe masz czas?

— Właściwie nie mam czasu. Przyniosłem Idze płytę i zaraz idę, już idę.

— Mam nadzieję, mam nadzieję... Iga jest chora, musi odpoczywać.

— Ja jej nie przeszkadzam, wpadłem tylko na chwilę.

— Nie dyskutuj z nią, ona nic nie rozumie.

— Co ty tam mamrociesz? — Mama robi krok w moją stronę.

— Nic, mówię, żeby jeszcze został chwilę, lubię, kiedy on tu jest.

— Ja myślę, ja myślę — wychodzi niezadowolona. Wraca prawie natychmiast. — Którędy wszedłeś, nie słyszałam dzwonka?

— Zobaczyłam go przez okno i otworzyłam mu drzwi.

— Aha!

— Ona ciągle tu przychodzi, w środku nocy słyszę jej kroki, zapala na korytarzu światło, w żółtej smudze wchodzi tu rozczochrana i sprawdza, czy jestem sama. Nie możesz tu zostać, a ja nie mogę, nie mogę bez ciebie spać...

— Może gdzieś wyjedziemy?

— Za co? Ja nie mogę, ty też nie...

Latem miasto jest jak rozpustna kobieta, odsłonięte do intymności i rozpalone. Kusi namiętnym szeptem i rozpala zmysły, działa z tą samą siłą na mnie i na niego. Nie możemy usiedzieć w domu. Stefan z blokiem rysunkowym w ręku utrwała ołówkiem to, czego nie ma. Do szkiców Placu Teatralnego z maniackim uporem dorysowuje nie istniejący gmach ratusza i Pałac Briihla, w którym przed wojną mieściło się MSZ. Jego znajomość miasta przewyższa w znacznym stopniu moją wiedzę, bo i cóż ja wiem, że odbudowano Starówkę, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i kościoły w ich dawnym kształcie? Że miejsca, po których chodzimy trzymając się za ręce, jeszcze nie tak dawno pokrywał ocean gruzów, pod nim starte na proszek, zwęglone i zamienione w popiół życie miliona ludzi. Najlepsi padli. Tak mówią, lecz skąd ta pewność? Kule nie wybierały, granaty i pociski rozrywały się wszędzie. Moi rodzice ocaleli, co nie oznacza wcale, że byli gorsi. Mama z babcią przeszły obóz w Pruszkowie, uciekły z bydłowych wagonów, którymi wieziono ich do Oświęcimia. Końca wojny doczekały w jakiejś zapadłej wsi, żywiąc się ziemniakami. Ojca wzięto na Lubelszczyźnie do II Armii, dotarł aż do Berlina. Mamę poznał przy odgruzowywaniu Warszawy. Mieszkała wówczas z babcią w Świdrze, w jednym niewielkim pokoju w starej willi, chylącej się ku ziemi, pozbawionej nie tylko wygod, ale i właścicieli, którzy podzielili los trzech milionów polskich Żydów. Ogrodnik, zajmujący domek w zdziczałym parku, pokrytym zagonami ziemniaków, odgrażał się po pijanemu, że jak wróci właściciel krzywej willi, oblepionej gniazdami werand, ganków i przybudówek, to hołota, gnieźdząca się teraz całymi rodzinami w nie ogrzewanych pokojach,

będzie musiała bulić czynsz za wszystkie wojenne lata. On zaświadczy w sądzie, kto i gdzie mieszkał, co zniszczył. Był cały czas na miejscu i pilnował dobytku, by nic nie zginęło, żaden mebel, dopóki ta hołota nie poczuła się bezkarnie przy nowej władzy... To długo nie potrwa — mawiał — zrobi się porządek z tą zbieraniną, wszystkich na bruk albo do pudła...

Nikt się nie przejmował jego gadaniem. Ogród ginął pod naporem grządek warzywnych i buraczanych, w końcu ogrodnik machnął ręką i poszedł do pracy na kolei, a jego żona została woźną w szkole.

Moi rodzice zamieszkali na Pradze. Tam urodził się mój brat, który w tych ciężkich powojennych czasach złapał jakąś zarazę i zmarł mając zaledwie kilka miesięcy. Ja się urodziłam już na Sadybie w czasach, które wcale nie były łatwe. Brakowało odzieży, butów i innych podstawowych rzeczy, ale ludzi nie opuściła nadzieja. Wierzyli, że będzie lepiej. Mama bardzo chciała mieć syna, a rodziła już jak na złość same córki... — Moi rodzice mają wielki sentyment do tego miasta — mówię do Stefana. — Poznali się gdzieś tu w pobliżu, kiedy Warszawa nie istniała, były same gruzy, ludzie wygrzebywali w nich jamy, wstawiali piecyki zwane kozami. A teraz, popatrz, są kawiarnie, ulice, domy, kościoły, kina, sklepy, i my jesteśmy, ty i ja, to najważniejsze, prawda? On kiwa głową, zgadza się ze wszystkim, co mówię. Pod wpływem jego uśmiechu topnieje mi serce.

Rysunki Stefana są niewiele większe od pocztówek, nie ma na nich krzyczących kolorów, wszystkie są czarno-białe. On lubi w sztuce ascetyzm, chce jak najwięcej wyrazić używając minimum środków, jest fenomenalnie zdolny i szybki, kilkoma kreskami wyczarowuje kościoły. Pałac Jabłonkowskich wymaga większego wysiłku, ponieważ go nie ma, istnieje tylko na starych widokówkach i zdjęciach. Plac, po którym krążymy w słońcu, jest otwarty, dziurawy jak cały nasz kraj, nie wykończony i popękany, wystawiony na bicze wiatru ze wschodu i z zachodu, nie zamierzony przez planistów symbol polskiego losu i polskiego ducha. Nie lubię tego placu, a zwłaszcza pomnika, tłustej baby, nie wiadomo dlaczego nazwanej Nike. Nic tu, poza jedną ścianą, nie przypomina placu ze starych widokówek i z rysunków Stefana, tego który starto w proch, spalono i splugawiono. Po jednym z piękniejszych

miast świata w samym sercu Europy została kupa gruzów. Czy po tym można mieć jeszcze szacunek dla rodzaju ludzkiego i wierzyć, że każdy człowiek jest niepowtarzalną istotą, za którą Syn Boży oddał swe życie? Czy można jeszcze miłować bliźniego swego jak siebie samego? Wątpię, nie wierzę w ludzkość tak samo jak moja mama. Ona nie lubi tego placu i tego miasta, które stało się inne, nowe i obce. Dla niej jest obce, a dla mnie nie. Tamta Warszawa, w której spędziła dzieciństwo i młodość, nie istnieje, nigdy jej już nie będzie, w gruzach leży warszawskie ulice, kabarety, kawiarnie, sklepy, dziwaczne reklamy, kolej wiedeńska i niepowtarzalna dzielnica żydowska, mieszkania

O wysokich sufitach i dużych, obszernych pokojach, o jakich teraz nikt już nie ma pojęcia. Zostały jeszcze kikuty domów gdzieś na zapleczach Pałacu Kultury. Wyglądają okropnie. Nie lubię tam chodzić. Zmurszałe podwórka pachną pleśnią i błotem...

Stefan bawi się w przewodnika, imponuje mi wiedzą i czytaniem, trochę się popisuje. Mnie to wzrusza, lubię go nawet, kiedy się popisuje, bo jest autentyczny i szczery, lubię błysk światła w jego szarych oczach, nagle zachwyty, zamyślenie i śmiech, od którego trzęsą się domy, a ludzie przystają i spoglądają na nas zdziwieni. Strasznie dużo gadamy o Corrazim i o Fontanie, wciąż coś odkrywamy w tym mieście, w którym urodziliśmy się, on nieco wcześniej, dlatego może wie więcej o arkach, absydach i o hełmach na wieżach kościelnych. Patrząc na świat jego oczami, przechodziłam wtedy wiele razy i nie widziałam tych domów, nie zauważałam ich piękna. Kocham to miasto. Dzięki Stefanowi odkrywam jego uroki, i tak już zostanie. Miasto, on, gorące popołudnia, rząd kamieniczek z nędznymi sklepami, cech krawców z wciśniętą w okno staroświecką maszyną do szycia, i pamiątkowa tablica, poświęcona laureatowi nagrody Nobla, i Plac Zamkowy z pustym miejscem po zamku, z ulatującym do nieba królem Zygmuntem, który chcąc być bliżej Szwecji, przeniósł stolicę Polski z Krakowa do Warszawy, żeby w razie czego szybko przepłynąć morze i wskoczyć na tamten wymarzony tron. Zygmunt III Waza, król największego państwa w Europie, marnotrawiący potęgę Jagiellonów, król z kompleksem szwedzkim, zżerany ambicjami, bigot, niezadowolony z wielkiej fortuny, jaką go obdarzył los. W tym jednym był bardzo polski, w tym jednym...

I na tym placu, otwartym na Wisłę, z wyrwą po zamku, z nagim, bolącym miejscem, na wyślizganych kamieniach siedziało prawdziwe słońce i grzało upiornie, kpiąc sobie z kalendarza. Od prawdziwego lata dzieliło nas dziesięć dni, a miasto dyszało żarem, umierało z pragnienia jak kobieta oczekująca kochanka.

Stefan rysował nie istniejący zamek. Wierzył w magiczne działanie swoich tworów. „Zobaczysz — mówił — ten zamek odżyje, wybudują go w końcu, muszą kiedyś wreszcie zrealizować uchwałę sejmu, muszą się wywiązać z obietnicy danej narodowi.”

Roześmiałam się. Och! Nikt tych obietnic nie traktuje poważnie, ani naród, ani oni. Ojciec mówi, że to taka gra. Oni kłamią z ponurymi twarzami, a my śmiejemy się z nich w ciszy, we własnych domach, a kiedy stajemy z nimi twarzą w twarz, udajemy, że im wierzymy, ufamy. To taka gra, sprzężenie zwrotne. Zamek może być, może go nie być, ale my jesteśmy, jesteśmy razem, i to jest ważne, tylko to. — Och! Jesteś cudowna, kocham cię, słyszysz? Kocham — przylgnął do mnie ustami, a ja zdrętwiałam z przerażenia, przede wszystkim ze wstydu. Ujrzałam jego ojca, jak zbliżał się do nas z dziecięcounaiwnym uśmiechem i wyciągał rękę na powitanie. Odsunęłam się gwałtownie od Stefana i pokonując nieśmiałość i ten cholerny wstyd, że zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku oraz na kłamstwie (Stefan powiedział, że idzie do czytelni), podałam mu swoją. W oczach jego ojca nie widzę nagany, uśmiecha się czysto, serdecznie, bez żadnych podtekstów, obejmuje nas czule ciepłymi rękami, o nic nie pyta. Nie istnieje szkoła, moja oblana matura, egzaminy. Nie należy mówić o przykrych sprawach, spotkaliśmy się przypadkiem, idziemy na lody. Zjadamy po dwie porcje, jego ojciec mówi o muzyce. To dla mnie wciąż nie znana świątynia, dopiero do niej wchodzę. Gotyckie sklepienia i mrok kryją w sobie tyle tajemnic, światło drzemie w rozetkach, sączy się z witraży wraz zdźwiękiem organów, jest tchnieniem Boga, jego boskim kaprysem. Czy ktoś w ogóle rozumie do końca muzykę? Sądzę, że nie. Zbyt wiele w niej boskiego pierwiastka, a Bóg jest niepojęty, tak jak niepojęte są twory geniuszu. To właśnie mówię, zbyt chyba prosto i zbyt zawile, brakuje mi wiedzy, którą musi zastąpić żarliwa wiara w rzeczy przerastające człowieczy wymiar. Ojciec Stefana kiwa w zamyśleniu głową.

— Tajemnica tkwi nie tylko w muzyce, lecz w każdym z nas — mówi cicho, jakby nie był pewien swych racji. Miłość jest również tajemniczym zjawiskiem, którego istoty do końca nie rozumiemy. Znamy jego objawy: rozpacz, ból, radość, chociaż prawdę mówiąc znamy przede wszystkim ból. — Jego szare oczy, w których przebijają nagle krążki błękitu, przesłania mgła, żegna się spieszenie i odchodzi, po chwili zawraca od drzwi z niepewnym uśmiechem.

— Lepiej nie mówcie mamie o naszym spotkaniu — spogląda wyczekująco na Stefana.

On potwierdza skwapliwie, ja spuszcza oczy. Jego matka podobnie jak moja ciągle jest przeciw. Ojcowie się nie liczą, żyją w innych planach, dzieci nie wypełniają im całej przestrzeni życiowej, zostaje w niej miejsce na naszą tożsamość i autonomię. Zachłanna miłość matek jest okrutna w swej zaborczości. One chcą nam urządzić życie za wszelką cenę.

Są dni, kiedy jego matka zjawia się niespodziewanie w domu. Pracuje w jednym z renomowanych wydawnictw jako redaktorka. Po nocach czyta rękopisy, pisze recenzje, często spotyka się z autorami w kawiarniach, niektórych odwiedza w ich w domach, nie ma normowanego czasu pracy, więc trudno nam przewidzieć kiedy się zjawi, zawsze ma jakiś powód niecierpiący zwłoki, żeby przyjść do domu, zawsze się przy tym usprawiedliwia, jakby to, co robiła, było czymś zdrożnym i niestosownym, z kolei my demonstrujemy przed nią obszerny repertuar kłamstw, mających usprawiedliwić nasz pobyt w domu. Stefan mówi: przyszliśmy coś przekąsić, Iga interesuje się dramaturgią współczesną. Masz coś o Kruczkowskim?

Ona uśmiecha się krzywo, ale daje nam książkę i zamyka się w swoim pokoju, ma rzeczywiście dużo pracy, jest przy tym cholernie ambitna i musi wszystko robić najlepiej. Z naszych kłamstw można by ułożyć wielką księgę, z jej usprawiedliwień również. Ona chciała nas przyłapać *in flagranti*, nie wiem po co, ale jak mi Bóg miły, chciała. I nic. Miała pecha. Zastawała mnie zawsze skromnie uczesaną, bez makijażu, w białej sportowej bluzce, z lekka spłoszoną i zawstydzoną, jak przystało młodej, niewinnej dziewczynie, zapiętą skromnie pod szyję. Zawsze pamiętałam, żeby się szczerze pozapinać. Ratował nas ciężki staroświecki łańcuch przy drzwiach wejściowych. Stefan otwierając je zawsze miał

jakieś problemy z tym łańcuchem i z drzwiami, w tym czasie ja, z cyrkową zręcznością, wciągałam na gołe ciało spódniczkę i bluzkę, bieliznę wcześniej chowałam do torby i siadałam w kuchni nad rozłożonym zeszytem lub książką, zawsze jeszcze udawało mi się przygładzić ręką niesforne włosy, które stawiały opór wszystkim grzebieniom.

Moja matura, studia, wszystko odbywało się jakby na drugim planie, w innym krajobrazie, mgła, postacie zmniejszone, odległe, nie odróżnia się twarzy. Tak było, nie pamiętam twarzy profesorów, koleżanek, byłam z nimi w jednej klasie, rozmawialiśmy na przerwach, paliłyśmy papierosy, chodziłyśmy gdzieś na kawę, może nawet chodziłam do nich? Nie wiem, do kina chyba nie, do kina zawsze chodziłam ze Stefanem. Pamiętam, że po kinie były spacer, gorące dyskusje o bohaterach, czy postąpili słusznie i jak by należało...

O tym, czy my postępujemy słusznie, nie rozmawialiśmy wcale, nie pamiętam, żebyśmy się zastanawiali nad tym chociaż przez chwilę. To było oczywiste, wszystko co robiliśmy, robiliśmy dobrze, najważniejsza była nasza miłość, ona musiała usprawiedliwić wszystko i w naszych oczach usprawiedliwiała. Studia i matura były wymuszone, wyduszone z nas siłą, nie mogłam słuchać ustawicznych uwag i pytań, kiedy ty wreszcie wydorosłejesz? Kiedy ty wreszcie zmądrzejesz i zaczniesz poważnie myśleć o przyszłości?

Przyszłość? Jaka przyszłość? Nie widziałam nic przed sobą. Przyszłość była odległa i mgławicowa, jakiś abstrakcyjny obraz, w którym wszyscy na siłę doszukują się sensu. Chciałam być z nim, ale jak to zrobić, nie wiedziałam, ciągle za mało czasu spędzaliśmy razem. Kusił nas świat. Mimo wszystko byliśmy nim zachwyceni, miasto było piękne i przyjazne, ludzie życzliwi, jedynie z forszą było krucho. Kieszonkowe, które otrzymywaliśmy od rodziców (jego znacznie większe niż moje), nie wystarczało. Byliśmy zachłanni na kina, koncerty, teatr, wystawy... Nie rozmawialiśmy o przyszłości, zbyt była odległa, niejasna, miałam prawie osiemnaście lat, on prawie dwadzieścia, więc teoretycznie mogliśmy się pobrać. W Polsce jednak teoria zawsze odbiegała od

praktyki we wszystkich dziedzinach życia, także i w tej. Teraz wiem, że w innych krajach młodzi ludzie tacy jak my, mogą się pobrać, mogą — pracując — wynająć mieszkanie, studiować wieczorem albo na kursach, i żyć. U nas było to niemożliwe, gdybyśmy zaczęli oboje pracować, nie mając w dodatku żadnego zawodu, nie mielibyśmy gdzie mieszkać, nie zarobilibyśmy na wynajęcie nawet skromnego pokoiku przy rodzinie. Forsa to jednak nie wszystko, chociaż odgrywa zasadniczą rolę. Mieszkań nie było. Ludzie gnieździli się po kilka osób w jednym pokoju, Warszawa odbudowywała się ciągle, ale jeszcze nie była odbudowana, jeszcze za Pałacem Kultury straszyły zburzone szkielety domów, odarte z tynku do nagich wnętrzności.

I wtedy Stefan dostał powołanie na ćwiczenia. To było jak śmierć, trzy miesiące bez niego, ja za karę miałam zostać w domu, chodzić na kurs. Wiedziałam jednak, że jeżeli uda mu się urwać z ćwiczeń, zjawi się z tym rozbijającym uśmiechem, z kwiatami, z radosnym okrzykiem, uniesie ręce, a bukiet wyląduje na podłodze.

Najdłuższe wakacje w moim życiu trwały trzy miesiące, czas się zatrzymał, nic się nie działo, lato było suche, upalne, z rzadka przelatywały gwałtowne burze, błyskawice przecinały zmęczone niebo. Ludzie oddychali swobodniej, powietrze napełniało się ozonem, odżywały listki, zieleniła się na krótko trawa, by po paru dniach zamienić się w suche siano. Chodziłam na kurs, pisałam na maszynie i czekałam. Codziennie przychodziły listy, wiersze pełne miłości, słowa takie, które tylko on znał. Nikt inny nie używał tych słów co on. Opisywał mi każdy swój dzień, ćwiczenia, marsze, zajęcia polityczne, na których wbijano im do głowy marksizm, leninizm, jakiś polityczny nikomu niepotrzebny kit. On ostatnio nie brał udziału w tych zajęciach. Od kiedy zagrał na jakimś instrumencie, kazano mu przygotować 22 Lipca, więc teraz głównie gra na pianinie, a kiedy gra, myśli o mnie, uczy żołnierzy śpiewać i recytować wiersze, co nie jest wcale miłe, te wiersze są na wysoki połysk, od wielkiego dzwonu, nie dla nas... Patos nie mieścił się w naszym świecie. W wojsku śpiewano piosenki o zwycięstwie i zabijaniu, on je musiał grać, musiał wybijać rytm, stawać na baczność, ale nie narzekał. Pisał, że nawet w tym tłumie brudnych, spoconych mężczyzn można znaleźć coś, co człowieka uwzniośla i czyni go lepszym... Tęskniliśmy za sobą

niewypowiedzianie, ale każdy dzień przybliżał mnie do niego, wiedziałam, że wróci, musi wrócić. W szufladzie leżało jego zdjęcie, którego nie oglądałam, nie było mi potrzebne, on był stale ze mną, słyszałam jego śmiech, widziałam jego oczy, włosy, chmurę gęstych włosów nieokreślonego koloru, jakiś odcień palonej kawy, z połyskliwą jasnością brązu, którego moje były pozbawione.

Po zajęciach na kursie miałam mnóstwo wolnego czasu. Chodziłam nad jeziorko czerniakowskie, opalałam się, pływałam, czytałam wiersze. Dzięki Stefanowi sięgnęłam po Mickiewicza, to było odkrycie. Nie, to zupełnie nie to, co w szkole, inaczej czytałam te wiersze, Mickiewicz był mi zawsze bliższy niż Słowacki. Nie wiem, nie umiem tego określić, przemawiał do mnie jakoś głębiej, było w nim więcej jasności, mniej tajemnicy, mniej tego szalonego romantycznego rozbiegania, które u Słowackiego przytłaczało. Skończyłam kurs z wynikiem bardzo dobrym, wreszcie coś umiałam, mama była zadowolona, siostry wróciły z kolonii wyrosnięte, opalone i brudne, dom zaczął żyć zwykłym życiem.

Wieczorem za oknem błysnęło światło.

Tak czekałam, wiedziałam, że kiedy wreszcie przyjedzie, to albo zapali świeczkę za oknem albo rankiem zastuka w szybę. Siostry przerwały opowieści o swoich przygodach. Ja pobiegłam otworzyć drzwi, przy nich nie mogłam go wpuszczać przez okno, one chciały dalej opowiadać. Takie były radosne, rozkrzyczane, rozweselone, a ja ich nie słyszałam, Stefan też nie, siedzieliśmy obok siebie, trzymaliśmy się za ręce, spoglądaliśmy na siebie z pewnym zdziwieniem, ja mówiłam: „Jesteś, to dobrze. Wydoroślałeś.”

— A ty wypiękniałaś, nigdy nie widziałem cię opalonej, a teraz jesteś czarna, wyglądasz jak Indianka, czy ci ściemniały, dlaczego?

— Z tęsknoty za tobą.

— Naprawdę? Z tęsknoty ciemnieją oczy? Nie wiedziałem o tym.

— Ty też się opaliłeś, zmęźniałeś, jak to się stało, że nie jesteś już taki chudy? Mama nie będzie już mówić, że chorujesz na gruźlicę.

Wyprzystojniałeś, wiesz, twoje włosy nabrały światła, tylko ręce stały się chropowate. Jak ty nimi grałeś?

— Och! Pianino było w takim samym stanie. Dziś dla ciebie zagram Brahmsa albo Chopina, ciągle źle gram Chopina, jestem zły, że byłem

leniwy i nie nauczyłem się grać, strasznie byłem leniwy, a przecież wiedziałem, że cię spotkam, zawsze wiedziałem, że kiedyś ten dzień nadejdzie.

Siostry popatrzyły na niego obrażone i popukały się w czoło.

— O czym ty mówisz, Stefan, znowu jakaś poezja? Znowu jakieś fantazje? Chodźmy stąd! — wyszły.

Podobno zarówno cierpienie, jak i szczęście mają swój kres. Szczęście tak, na pewno go ma, ale cierpienie jest zawsze, nie kończy się nigdy, nie ma kresu, dopóki człowiek żyje. Wtedy nie powinnam była cierpieć, jednego wszakże byłam pewna — miłości Stefana, tak jak on mojej. Z niedawnych dusznych napadów zazdrości rozrywających serce wyleczyłam się szybko, zapomniałam o nich, nie byłam zazdrosna, ale ich miejsce zajął niepokój o niego, czy się nie przeziębi, czy chodząc po ulicach i recytując wiersze nie wpadnie pod tramwaj, czy go ktoś nie potrąci, czy mu ktoś nie powie czegoś przykrego, czy on nie wplącze się w jakąś awanturę, nie wiem, takie myśli dręczyły mnie w snach, drżałam o niego jakby był dzieckiem.

Mama była nieustępliwa. Po tym popisie nad jeziorkiem nie robiła więcej awantur, przez jakiś czas obserwowała nas z ponurą uwagą, nie odzywała się do niego. Ze mną, kiedy on był, też nie rozmawiała. Wymuszonym skinieniem głowy odpowiadała na jego pozdrowienia i znikwała w kuchni albo w swoim pokoju.

Kiedyś jednak weszła do nas z twarzą groźnej Temidy i powiedziała:

— Nie przychodź tutaj! Jesteś niemile widziany.

— Coś ty powiedziała? — rzuciłam się ku niej z rozpaczą.

— To co słyszałaś. Nie życzę sobie, żeby on tu przychodził. Mogę mieć takie życzenie?

— Nie, nie możesz! — wybuchnęłam. — Jesteś potworem, jesteś...

Stefan ścisnął mnie za rękę, inaczej nie wiem, co by się stało. Wyszedł w pośpiechu, żegnany zdziwionymi okrzykami sióstr.

— Dlaczego tak wcześnie, miałeś się z nami pobawić, nie opowiedziałeś żadnego dowcipu.

— Już wam nie opowie, dajcie mu spokój.

— Dlaczego?

— Wyjeżdżam — uściskał je, jakby rzeczywiście mieli się długo nie widzieć.

Stefan był bardzo wrażliwy, a przy tym absolutnie pozbawiony agresji. Nigdy się z mamą nie kłócił, z ojcem też nie, nie odpierał ataków, przyjmował je i ustępował. Oczywiście, nie chciał do nas przychodzić, nawet kiedy nikogo nie było w domu. Żądania mamy były i głupie i śmieszne, jak można było zabronić mu oddychać, patrzeć na światło czy przestać żyć. Widywaliśmy się nadal, prawie codziennie, spotykaliśmy się poza domem, nad jeziorkiem, nieraz o świcie. Jesień była mglista, zimna, kochaliśmy się na trawie, nie czując chłodu. Jednak doprowadziłam w końcu do tego, że mama zadzwoniła do niego, przeprosiła go, pozwoliła mu do nas przychodzić.

Od najmłodszych lat chodziłam do teatru, nie pamiętam jednak, żeby jakaś sztuka zrobiła na mnie takie wrażenie. To było objawienie, akt twórczy tak chyba wygląda, wielki gigantyczny instrument, w którym wszystkie struny brzmiały wyraźnie i czysto, nikt lepiej i trafniej nie odczytał poety, nie związał go z dniem dzisiejszym, z naszą niedolą. Spektakl uderzył we właściwą strunę, stał się zarzewiem buntu, gwiazdą betlejemską, jutrzeńką swobody. Czekaliśmy nań jak na Mesjasza. Porwał nas, poraził i zmiążdżył straszliwą prawdą. Końcowa scena była jednym wielkim protestem i bólem.

Rozproszyli się goście po balu u Senatora, została pusta wielka scena i mrok, spowijający wszystko dokoła. Naraz z głębin ciemności, w smudze upiornego światła pojawił się Konrad. Szedł ku widowni, skuty kajdanami, szedł bardzo wolno z rękami skrzyżowanymi przed sobą, a towarzyszył mu śpiew niewidzialnego chóru, błagającego Boga o zmiłowanie, ale Bóg był niemy i Konrad był niemy, i nikt się nie chciał nad nami zmiłować.

Straszliwa cisza zaległa na sali. Wszyscy nagle uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy w kajdankach, skuci, ubezwłasnowolnieni, a wokół

nas mrok. Większość jednak zdała sobie sprawę, że prócz kajdan ma również duszę, i że ta dusza nie jest jeszcze skuta i ujarzmiona, w tym tylko tkwi nasza siła i moc.

Burza oklasków wstrząsnęła salą, ktoś płakał, ktoś śpiewał, "Jeszcze Polska nie zginęła". Oklaski głużyły słowa, zdawało się, że nigdy nie umilkną.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, Warszawa układała się do snu. Padał śnieg. Nike na pomniku również zrywała pęta i unosiła miecz, lecz ten miecz nie przerażał nikogo, był zbędnym rekwizytem, nie pasującym do jej nagiego ciała i odsłoniętych ramion. Warszawska Nike była bezbronna. Szpetne bryły wieżowców od strony Bielańskiej nacierały na nią jak barbarzyńskie wojska. Śnieg okręcał ją białym bandażem.

Taksówki i autobusy porywały ludzi z przystanków. Pojedynczy uczestnicy wielkiego misterium ginęli w śnieżnej zadymce, plac zmieniał się w pustynię. Po chwili nie było nikogo prócz nas.

Stefan ścisnął mnie za rękę i bez słowa, nie uzgadniając niczego, poszliśmy na Krakowskie Przedmieście, gdzie na niewielkim skwerku, wpatrzony w okna Prokuratury Generalnej stał na cokole sprawca naszych uniesień i wzruszeń, które ze łzą w oku wspominam nawet teraz, po latach.

Wieszcz w tej bieli był opuszczony, smutny, biedny, spod śniegu wystawały grube ogniwa łańcuchów, podobne do tych, które przygniatały Konrada. Płatki śniegu jak srebrniki Judasza kładły mu się do stóp, inne w górze, wirujące na wietrze tworzyły nad jego głową lotną koronę.

Nie mieliśmy kwiatów, a żaden gest, żadne słowo nie mogło wyrazić tego, co czuliśmy, staliśmy więc w milczeniu, za nami zebrało się kilka osób, też przyszli tak jak my po przedstawieniu wiedzeni przemożną siłą wzruszeń. I też milczeli. Niebo, szczelnym kloszem przykrywające miasto stwarzało złudne wrażenie bezpieczeństwa i ciepła.

Stoję wciśnięta w tłum, przepycham się do przodu łokciami, nikt nie reaguje na moje „przepraszam”, wreszcie jakimś cudem udaje mi się przebić do pierwszego rzędu akurat w chwili, gdy spod pomnika

wieszczą milicjanci wrzucają do bud pobitych studentów, niektórzy wyrrywają się krzycząc:

— Ludzie! Nie stójcie! Brońcie nas, ludzie!

Nikt się nie rusza, tłum jak zahipnotyzowany słucha tych krzyków i nic, ja też stoję sparaliżowana strachem, słyszę raczej, gdyż nie wszystko udaje mi się dojrzeć, jak kogoś okładają pałami. Nagle zza granatowych pleców milicjanta wyłania się ręka, którą wykręcają do tyłu.

— O Boże! — rzucam się na jednego z oprawców, odpycham go od Stefana i padam pod ciosem milicyjnej pałki. Czyjeś ręce pomagają mi się podnieść, płaczę z wściekłości, bólu jeszcze nie czuję. Stefana już nie ma, buda milicyjna odjeżdża na sygnale, tłum groźnie faluje zanosząc się krzykiem: Oprawcy! Gestapo! Biją dzieci. Gestapo! Z opóźnieniem, dopiero po godzinie udało mi się dotrzeć do wydawnictwa, w którym pracowała jego matka. Szłam pieszo bocznymi uliczkami, omijając Krakowskie Przedmieście niebieskie od mundurów. Gaz, którego milicja użyła do rozpędzania studenckich demonstracji, szczypał w oczy.

Autobusy nie kursowały, ulice były wymiecione z ludzi, a dzień ciepły, pogodny, czuło się wiosnę. Jego matka wiedziała już, co się stało. Kolega Stefana, któremu udało się schronić w kawiarni „Telimena”, zadzwonił i powiedział, że studenci z polonistyki przyszli złożyć kwiaty pod pomnikiem wieszczą. Zaatakowała ich milicja. Matka Stefana nie wpadła w panikę, martwiła się jednak, że będą relegować ze studiów.

— Trzeba coś zrobić — sięgnęła po papierosa i wertując notes zastanawiała się do kogo zadzwonić. — Ozimek może pomóc, to nasz autor, członek KC. Ciekawe, czy zechce coś zrobić, czy się wykreści? Zadzwoniła do niego na zastrzeżony numer i cierpliwie objaśniała mu, co zaszło. Członek KC nie wiedział o niczym, pojęcia nie miał, że zdjęto *Dziady*— sztukę, która liczyła sobie prawie sto czterdzieści lat i była lekturą szkolną. „To nie do wiary, nie do wiary” — oburzał się głośno, aż ja słyszałam. O demonstracjach studenckich dowiedział się od mamy Stefana, „Wolna Europa” jeszcze nic nie podała. Obiecał wyciągnąć Stefana z paki.

Lubił młodzię, pisał o niej rzewne, słodkie rozprawki, układał okolicznościowe hasła w rodzaju: „Młodzię dumą i przyszłością narodu”.

Teraz te przyszłość pałowała milicja. Nie chciał wierzyć, musiałam wziąć słuchawkę i jako naoczny świadek opowiedziałam mu o biciu, o suce i o gazach, on nadal miał wątpliwości i pytał: Nie było wywrotowych haseł? Dobrze widziałaś? „Precz z...” bał się wymówić z kim. Owszem było: „Precz z cenzurą...” „My chcemy *Dziadów*, „Ręce precz od wieszcza”. Studenci nieśli biało-czerwone wieńce kwiatów.

— No, no — stękał i rzeził, jakby mu piłowano gardło. — A ty stałaś z boku i nic ci nie zrobili?

— Nie stałam, rzuciłam się na gliniarzy, jak bili Stefana. Dostałam pałą po grzebienie aż mnie skręciło.

— Biją kobiety? — przeraziła się matka Stefana.

— I aresztują — uzupełniłam. — Kilka studentek wrzucili do suki. Sama widziałam.

— To niemożliwe — zaprzeczył członek KC i obiecał zadzwonić do matki Stefana.

Nie zadzwonił. Nakładli mu pewnie do głowy jakichś kłamstw o stanie wyższej konieczności, to zawsze bierze, zwłaszcza członków KC łatwo do tych urojonych prawd przekonać.

— Chodźmy — jego matka zgarnęła papiery do szuflady. — Poczekamy na niego w domu — ale pamiętaj, ojcu ani słowa, jego serce nie jest w najlepszym stanie.

Zostałam u nich na noc i spałam na jego tapczanie. Nie chciałam wracać do domu, nie wiedząc co się z nim dzieje. Wieczór spędziłam z jego matką, oglądając zdjęcia. Mówiła o nim z dumą, że był wyjątkowym dzieckiem, bardzo poważny, nad wiek rozwinięty, nauczył się czytać, gdy miał pięć lat, od małego kochał wiersze i chciał zostać poetą.

Wypuścili go rano, w komisariacie już go nie bili, ale męczyli przesłuchaniami. Koniecznie chcieli wiedzieć, kto organizował pochód, kto zbierał pieniądze na kwiaty, kto przemawiał. Stefan odpowiedział, że nie wie i rzeczywiście tak było. Kiedy przyszedł na zajęcia, wszyscy stali na dziedzińcu gotowi do wyjścia, nikt nie przemawiał, nikt po prostu nie zdążył. On sam chciał powiedzieć jakiś wiersz pod pomnikiem, ale milicja im przeszkodziła. Grozili mu sprawą sądową, więzieniem.

Manifestacja była nielegalna.

— Sprawa na pewno będzie, grzywna też — stwierdziła ponuro jego matka — to nic, damy sobie radę, weźmie się pożyczkę, zapłaci, boję się, żeby cię tylko nie wyrzucili ze studiów.

Stefan uważał, że nic mu nie zrobią, za dużo studentów musieliby wyrzucić, prawie wszyscy brali udział w wiecu na dziedzińcu i w pochodzie. Umył się, ogolił i poszedł na uniwersytet.

Po dwóch godzinach zjawił się u mnie na Sadybie. Nie zapukał w okno, jak to miał w zwyczaju, ale zadzwonił do drzwi. Twarz miał ściągniętą, bladą, oczy zgaszone, szare.

— Co oni ci zrobili? — ujęłam go za rękę, ucałowałam.

— Nic — mruknął z bolesnym grymasem wokół ust.

Wprowadziłam go do kuchni, napiłam babciną nalewką z czarnej porzeczki. Po długiej rozmowie dowiedziałam się wreszcie prawdy. Kiedy Stefan przyszedł na zajęcia, studenci z jego grupy siedzieli w niewielkiej salce i rozprawiali o wczorajszych zajściach, był z nimi asystent, dobrze zapowiadający się krytyk, który drukował drapieżne artykuły w tygodnikach literackich. Po wstępnych obliczeniach okazało się, że kilku studentów brakuje, ktoś nawet przyniósł listę aresztowanych. Asystent uważał, że trzeba zorganizować wiec i żądać ich uwolnienia. Radził działać szybko, żeby kapusie nie zdążyli sprowadzić milicji. Wtedy ktoś wpadł z ulotkami, wręczył je Stefanowi i krzyknął: Rozrzucić je na innych wydziałach. Stefan schował ulotki i wyszedł, asystent dogonił go na korytarzu.

— Niech pan da te ulotki! — zażądał kategorycznie.

— Dlaczego? — zdziwił się Stefan.

— Niech pan się w to nie miesza, to nie pańska sprawa. Proszę iść do domu!

— Nie rozumiem — nie przestawał dziwić się Stefan — jestem studentem jak inni. Ja też uważam zdjęcie *Dziadów* za zamach na polską kulturę, zresztą moich kolegów gnoją w areszcie. Dlaczego mam się nie mieszać?

— Mam to panu tłumaczyć?

— Tak, proszę mi wytłumaczyć.

— Powiem wprost: to nie jest pańska kultura.

— Nie moja? Jak to nie moja? Urodziłem się na tej ziemi, mieszkam

tu, mówię tym samym językiem co pan, piszę w tym języku wiersze, a pan mi mówi, że to nie moja kultura?

— Zdawało mi się, że pan jest, przepraszam, Żydem?

— Niech pan nie przeprasza, nie czuję się obrażony, wiem kim jestem — odwrócił się i pobiegł na ekonomię i rozdał te ulotki.

— To jakiś faszysta! — wykrzyknęłam oburzona. Uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

— Nie, to bardzo przyzwoity człowiek. Jest po stronie studentów, był z nami pod pomnikiem, też dostał pałą... Nie, on po prostu przypomniał mi, gdzie moje miejsce. Numerus clausus...

— Co to znaczy? Co się tu dzieje? Gdzie ja jestem? W jakim kraju? Nie twoja sprawa? A czyja?

— Polaków, a ja jestem Żydem. Nie wiedziałaś o tym?

— Wiedziałam, nie wiedziałam, co to ma do rzeczy? Dla mnie możesz być Ukraińcem, Białorusinem czy Szwedem. Nie ma to żadnego znaczenia, dla mnie liczy się człowiek.

— Narodowość nie ma dla ciebie znaczenia?

— Och! Jakies tam ma, aleja nie myślę tak jak ten asystent, uważam, że człowiek jest tym, kim chce być, kim się czuje. Jesteśmy obywatelami tego samego kraju, tutaj żyjemy, wszystko, co się tu dzieje, dotyczy w równym stopniu ciebie i mnie, mamy takie same obowiązki, takie same prawa...

Długo mówiłam w tym stylu, Stefan słuchał i kiwał z politowaniem głową. Od tego dnia zaczęło się piekło, pojawiły się antysemickie hasła, wymachiwano nimi, grając w ten sposób na najniższych instynktach działaczy partyjnych, którym obiecywano stanowiska i przywileje, pod warunkiem, że się z kimś rozprawia, kogoś wyrzuca. Wyrzucano osoby pochodzenia żydowskiego, chociaż nie tylko, na razie nic nie wiedzieliśmy o mechanizmach całej sprawy, na uczelniach zaczęły się czystki. Stefana wezwano do dziekanatu na rozmowę, zresztą nie tylko jego, innych też wzywano, zwłaszcza tych, którym nie udało się uciec spod milicyjnych pałek, ci pobici byli najbardziej winni i właśnie im należała się surowa kara. W kraju, gdzie wszystko było obwarowane zarządzeniami i zakazami, gdzie wszyscy z żywiołowym entuzjazmem budowali najszcześniejszy ustrój na świecie pełni ufności i wiary,

intelektualiści i studenci przerwali zakłęty krąg, zaczęli się domagać wolności słowa, prawa do swojej kultury, zniesienia cenzury, i robili to z podniesionym czołem, jawnie oddając hołd jednemu z największych polskich poetów, który nienawidził caratu, przemocy i despotyzmu. Dlatego po stu czterdziestu latach naraził się polskim władzom, godził bowiem w carską tyranie i carski despotyzm. Sowiecka Rosja była nadal państwem carów, a mała Polska jej wiernym wasalem i niewolnikiem. Po stu czterdziestu latach tak samo cenzurowano wieszczą, zakuwano go w kajdany, wywożono na zesłanie.

Pieć było wszędzie, a my siedzieliśmy w samym jego środku unurzani po uszy w smole i nic nie mogliśmy zrobić. Stefan zachowywał się tak, jakby odjęto mu mowę, nie odzywał się prawie, on zwykle taki rozmowny, błyskotliwy, dowcipny milczał jak ktoś pogrążony w ciężkiej chorobie, a kiedy się odzywał, powtarzał jedynie słowa asystenta: „To nie moja sprawa”. Na uniwersytecie zawieszono zajęcia, strajkowała politechnika, chciałam tam pójść ze Stefanem, ale on odmówił. Poszłam więc z Iwoną, dźwigając ogromną siatkę z jedzeniem. Wielu ludzi przyszło z koszami pełnymi kurczaków, ciastek, jabłek, owoców, przekupki z Polnej oddały chłopakom cały swój towar. Nastrój był podniosły. Kobiety stojąc na Placu Jedności Robotniczej śpiewały „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki” i „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...” Tłum zbierał się coraz większy, przyłączyłyśmy się z Iwoną do śpiewających „...polski my naród, polski lud, królewski szczep piastowy” — mocne, zdeterminowane głosy bombardowały niebo. Nagle przez tłum przeleciał okrzyk: Idą. — Myślałam, że to milicja, ale nie, z Polnej i z Nowowiejskiej wysypały się grupy robotników z Woli z transparentami: Zakłady Kasprzaka, Róża Luxemburg. Wklinowały się w tłum Później okazało się, że to funkcjonariusze służby bezpieczeństwa poprzebierani za robotników. Jeden z nich, dobrze odżywiony, wysoki człowiek w średnim wieku zaczął krzyczeć w okna politechniki do studentów: — Hej wy, darmozjady! Wiecie co powiedział Lenin? Uczyć się, uczyć i jeszcze raz uczyć! Brać się do książek, uczyć się! Nie będziemy na was pracować! Darmozjady! Wichrzyciele!

Jakaś starsza kobieta powiedziała do niego:

— Jak panu nie wstyd? Czy pan nie wie, że ci chłopcy narażają się

za nas? Walczą o prawa, które nam zabrano, walczą o swobodę słowa,
O naszą kulturę?

Ktoś ją potrafił brutalnie, zachwiała się, Iwona natychmiast znalazła się przy niej i osłoniła ją swoim ciałem.

— Chamy! Brutale! Gestapo! — krzyknęła.

Przez tłum przeszedł echem okrzyk mrożący krew w żyłach: Gestapo!

Gestapo! — zagrzmiął powtórzony wieloma głosami. Mężczyźni udający robotników rozpierzchli się nagle, wmieszali się w tłum. Z dala, od strony Marszałkowskiej odezwały się milicyjne gwizdki, nikt na nie nie zareagował, nikt się nie ruszał, nie uciekał. Znowu ktoś zaśpiewał: „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki, otaczał blaskiem potęgi i chwały, coś ją osłaniał tarczą swej opieki, od nieszczęść, które pograżyć ją miały. Przed twe ołtarze zanosim błaganie, ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!”

Wiele osób płakało, ja również. Milicja nie śmiała atakować.

Do późnej nocy staliśmy na placu, solidaryzując się ze studentami. Nikt nie wznosił haseł, był śpiew i radość z tej chwili, że nadeszła i trwa, oczyszcza nas, jednoczy, pozwala być sobą, u siebie, na naszej ziemi, w naszym mieście. Kochaliśmy ten biedny kraj i siebie nawzajem. Oczy zamglone łzami tchnęły nowym blaskiem wiary, nadziei. Wspomnienie tej chwili jest we mnie święte, widzę dotąd skupione, jasne twarze tych ludzi i wiem, że wielu z nich nie doczeka wolności, byli już starzy, wielu z nich umrze, mając przed oczami kraj pograżony w rozpacz.

Stojąc pod drzwiami, słyszałam jak on rozmawiał przez telefon, i krzyczał straszliwie głośno:

— Ja stąd wyjadę na koniec świata, wyniosę się stąd! Wszystko jedno dokąd, do samego Lucyfera, byle gdzie. Nie mogę, zrozumię, to ponad moje siły! — Czekałam aż wykrzyczy złość, oburzenie i swoją bezradność. Wreszcie skończył i ja zadzwoniłam. Powitał mnie roztarzonym uśmiechem.

— To ty, Iguś! Dobrze, że przyszedłeś — przytulił się i długo trzymał mnie w uścisku. — Jestem taki sam, taki sam.

— Co ty opowiadasz? Wszyscy cię kochają. Ja bardziej niż siebie, jestem gotowa wszystko zrobić dla ciebie, Iwona cię lubi, moi rodzice, mimo że mają żal o tę matkę, zaakceptowali cię wreszcie, mama nie robi już tych głupich uwag...

— Nie rozumiesz! Jestem tu obcy, obcy, mimo wszystko to nie jest moje, nie jestem u siebie...

— Jesteś, o czym ty mówisz? Jesteś tak jak wszyscy... — powtarzałam same banały, żeby go przekonać, tu się urodził tak jak ja, jego pradziadowie żyli tu od wieków, wrosli w ten kraj, dziadkowie zginęli w getcie, jego rodzicom cudem udało się uratować, przeszli piekło obozów, ojciec walczył w partyzantce, wyzwalał Polskę. Więc dlaczego twierdzi, że nie jest u siebie? Może zdołałabym go przekonać, ale mój długi wywód o tym, kto ma większe prawo nazywać siebie Polakiem, przerwała jego matka. Weszła do kuchni z ziemistą twarzą, skurczona nagle, mała. Stefan rzucił się ku niej.

— Mamo? Jesteś chora? Co ci jest?

— Daj mi nerwosolu! — Stefan szybko odmierzył na cukier czterdzieści kropel. — Nie macie papierosa?

— Mamo! Ty znowu palisz?

— Nie, ale teraz zapalę.

Stefan podał jej papierosa, podsunął krzesło, opadła na nie bez sił i siedziała w tęym milczeniu oddzielona od nas czasem i przestrzenią. Dopiero po chwili powiodła po ścianach nie widzącymi oczami i westchnęła:

— Wyrzucili mnie z pracy.

— Ciebie? Mamo! Za co? Przecież dopiero co dostałaś nagrodę, a twój dyrektor twierdził, że jesteś niezastąpiona, nie ma drugiej takiej redaktorki, inne wydawnictwa zazdroszczą mu ciebie. I nagle jesteś im niepotrzebna?

— U nas nie ceni się kwalifikacji — uśmiechnęła się, widocznie papieros i nerwosol zrobiły swoje. — Trzy dni temu dwie moje koleżanki — jedna jest zastępczynią naczelnego, druga kierowniczką redakcji — rozmawiały ze mną na wpół prywatnie, radząc mi, żebym zrezygnowała z pracy i ze stanowiska, rzekomo moja redakcja ma najwięcej książek zatrzymanych przez cenzurę.

— Co to ma do rzeczy?

— Widzisz, powinnam była zatrzymać te książki, to znaczy odrzucić, ale nie ze względów politycznych, tylko że są słabe artystycznie, źle skonstruowane itp., a ponieważ tego nie zrobiłam, nie nadaję się do tej pracy.

— Nie jesteś cenzorem, nie możesz odbierać innym chleba.

— Okazuje się, że powinnam być. Powiedziałam: nie, nie złożę rezygnacji, lubię tę pracę, dobrze się tu czuję, znam się na tej robocie, pracuję tu dwadzieścia lat... Moich argumentów nikt nie wziął pod uwagę, dzisiaj wręczono mi wymówienie, oczywiście z trzymiesięcznym wypowiedzeniem pracy, ale kierowniczka kadr oświadczyła kategorycznie, żebym więcej nie przychodziła do wydawnictwa. Nie przedstawiono mi następcy ani nie powiedziano komu przekazać redakcję. Nikogo to nie obchodzi, świat się od tego nie zawali, tak powiedziała.

— Czy dlatego mam, że jesteś Żydówką? Skinęła głową.

— I twoja partia nie wzięła cię w obronę?

— Mówię ci przecież, towarzyszeki z mojej partii radziły mi wcześniej złożyć wymówienie.

— To znaczy, że twoja partia rozprawia się z Żydami? To znaczy, że to nie są komuniści, ale faszyci.

— Cicho! — spojrzała na niego z przestachem. — Co za porównania przychodzą ci do głowy?

— Sądzę, że właściwe — odpowiedział z zaciętą twarzą. — Mnie też wylali ze studiów.

— Ciebie? O Boże! Tego się obawiałam. Wiedziałałam, że na tobie wszystko się skupi. Po co pchałeś palce między drzwi? Dlaczego oni tobie wpychali te ulotki, to była prowokacja! Chcieli cię skompromitować. Muszą przecież zwalić na kogoś winę za wszystkie niepowodzenia. W kraju narasta niezadowolenie. To zostało ukar-towane, teraz za wszystkie niepowodzenia oskarży się Żydów. Nie mogłeś oddać im tych ulotek?

— Nie chodzi o ulotki, mam, o nich nie było nawet mowy, żaden z moich kolegów nie doniósł, nawet ten asystent. Jestem syjonistą, rozumiesz? Syjonistą. Brałem udział w zamieszkach, namawiałem polską młodzież do wyjścia na ulicę... Ja namawiałem, chociaż wtedy

spóźniłem się na zajęcia. Kiedy przyszedłem, wszyscy stali na dziedzińcu, ale oni wiedzą lepiej. Ja jestem winien, że studenci protestują i domagają się wolności słowa, ja jestem inspiratorem zajść, a inni to potulne owce, ja im zrobiłem wodę z mózgu. Jestem syjonistą, agentem FBI, CIA i cholera wie kim.

Jego matka wypła następną łyżkę nerwosolu.

— Może lepszy byłby koniak? — zapytał Stefan biorąc ją za rękę.

— Nie, nie, to przejdzie — znowu sięgnęła po papierosa.

W oczach Stefana pojawiły się łzy. Nigdy nie widział matki w takim stanie. Mnie też zbierało się na płacz.

— Co zrobimy, mamó? — zapytał cicho. — Ja uważam, że powinniśmy wyjechać.

Zbladła.

— Wyjechać? Dokąd? Co ty mówisz? Dokąd?

— Do Izraela.

— Do Izraela? — powtórzyła jak echo — ale my tam nikogo nie mamy, ani przyjaciół, ani rodziny, nikogo nawet nie znamy.

— To poznamy, poznamy — powtórzył twardo.

To było zaskakujące. On, zawsze taki miękki i delikatny, stał się nagle stanowczy, zdecydowany. Rozkazywał własnej matce, której jeszcze wczoraj się bał. Mówił grubym obcym głosem i wcale na mnie nie patrzył. Poczulałam się niepotrzebna.

— Przepraszam — wstałam — przykro mi z powodu tego zwolnienia, ale będzie lepiej, jak pójdę — starłam wilgoć z powiek i odwróciłam twarz.

— Iga! Zostań! Nie pozwolę ci odejść, zostań!... Widzisz, nie miałem zamiaru wyjeżdżać, nawet mi to nigdy nie przyszło do głowy, lecz teraz sama rozumiesz... Chcę wyjechać i gdyby nie ty wyjechałbym już dziś.

— Nie zważając na rodziców? — spytała kąśliwie jego matka.

— No, wy chyba też wyjedziecie. Po tym, co z tobą zrobili, nie powinnaś tu zostać.

— Nie wiem, co na to ojciec, nic nie wiem.

— Słuchaj! Trzeba coś zrobić — przekonywał ją. — Nie można biernie przyglądać się temu, co się dzieje. Jesteś w partii, masz kolegów. Dzwon do nich!

— Przecież to oni wyrzucili mnie z pracy, to partia mnie wyrzuciła.

— No, a Kwiatkowski? To miły, uczciwy człowiek i dużo może...
Zadzwoń do niego!

— Kwiatkowski? — zawahała się, ale zadzwoniła. Kwiatkowski oburzył się szczerze i obiecał zatelefonować do Sitkiewicza, z kolei Sitkiewicz jeszcze bardziej oburzony i zły do Krupowej, Krupowa zaś po paru minutach oddzwoniła do matki Stefana. Była wstrząśnięta, szczerze jej współczuła, ale w niczym nie mogła pomóc. Wszyscy byli bezsilni, nie mieli wpływu na to, co się działo.

W domu Stefana trwały nieustanne narady, na jedną z nich poproszono nawet moich rodziców. Chodziło przecież o mnie i o Stefana.

Moja matka powiedziała:

— Nigdzie nie wyjeżdżajcie, tu od wielu lat stale się kogoś prześladowuje. To już taki kraj, prześladowano akowców, obszarników, kapitalistów i księży. Oni nawet swoich prześladowają, zarzucając im różne odchylenia. Teraz przyczepili się do Żydów, jutro na ich liście znajdą się garbaci, pojutrze kulawi, trzeba to przeczekać, ten obłęd nie może trwać wiecznie. Tatuś uśmiechnął się krzywo.

— Zapominasz, moja miła — powiedział — że ten obłęd liczy sobie dwadzieścia cztery lata, to dorosły człowiek...

— Tak — podsumowała mama Stefana, wyjmując legitymację partyjną — jutro im to odniosę.

— Niech im pani napisze, że nie chce pani być w partii faszystowskiej — powiedział ojciec.

— A pan tak zrobił?

— Ja nie jestem w partii.

— A pani? — spojrzała ze zdziwieniem na moją mamę.

— Ja? Ja jestem sekretarką w Urzędzie Wodnym. Po co mi partia albo ja partii. Haruję za grosze.

— Myśli pani, że wstąpiłam do partii z powodów finansowych?

— Nie. Byli ludzie, którzy wstępowali do partii z pobudek ideo-

wych, wierzyli w piękne hasła, dziwię się, że im to nie przeszło, kiedy te hasła zbrzydły i pokryły się szlamem.

— Myślę, że teraz wielu ludzi wystąpi — wtrąciła mama Stefana.

— Paru intelektualistów — skwitował z goryczą tatuś. — Reszta będzie zadowolona, że tępi się Żydów... Widzi pani, ten naród jest przekonany, że krajem rządzą Żydzi, żydokomuna, jak twierdzą, komuna kojarzy im się z Żydami... — Tak—potwierdziła słabym głosem matka Stefana—coś w tym jest, wśród Żydów było wielu komunistów, bardzo wielu. A wie pan dlaczego? Tatuś skinął głową, ale ona nie zwróciła na to uwagi i ciągnęła dalej.

— Uwierzyli w te piękne hasła i w to, że skończą się pogromy, antysemityzm, uwierzyli, że wszyscy będą sobie równi, że będą mogli pracować, uczyć się, studiować. Nie sprawdziło się, te hasła już dawno się nie sprawdziły, ale nie sądziłam, że tu, w tym kraju, tak doświadczonym, tak straszliwie okaleczonym, zboczonym krwią Żydów i Polaków, że tu antysemityzm podniesie głowę, że będzie się mówić o zbiorowej odpowiedzialności Żydów za stalinizm. Słyszę już te głosy..., ale nie powiedział pan swojego zdania, co robić? Jechać, nie jechać? — spojrzała ze znużeniem na ojca. — Cóż ja mogę powiedzieć — wzruszył ramionami — każdy sam dźwiga swój los, każdy sam decyduje o sobie. Nie potrafię nic państwu doradzić i nie chcę, ale będzie mi niezmiernie przykro, jeżeli stąd wyjedziecie, będę to uważał za swoją osobistą klęskę... Widzi pani, my Polacy mamy usta pełne frazesów, lubimy mówić o tolerancji Polski, o naszych złotych kartach w historii, o naszej wolności, nic takiego nigdy nie było i co gorsza niczego takiego nie ma. Jesteśmy nietolerancyjni i głupi. Głupota to nasza główna cecha. Głupcy wszędzie są nietolerancyjni, ludzie mądrzy szanują siebie i innych, szanują poglądy innych, inne religie i inne narody. A my widzimy tylko swoje długie nosy, bo to nie Żydzi mają długie nosy, myje mamy. Niech pani spojrzy dokoła, długie nosy to polska specjalność. Długie, zadufane, zadarte do góry... Nie mam słów oburzenia na to, co się dzieje, ale podejrzewam, że jestem w mniejszości... Gdyby państwo potrzebowali naszej pomocy, jesteśmy w każdej chwili do waszej dyspozycji, a co do naszych dzieci, to niech one same decydują o sobie, są już dorosłe, Iga nie ma wprawdzie matury, ale jest już dorosła.

Stefan zapytał patrząc mi w oczy:

— Mam zostać? Chcesz, żebym został? Co mam robić, decyduj!

— Nie, ty już zdecydowałeś, decyzję podjąłeś szybko, w jednej chwili, działałeś spontanicznie, wiem, ale spontaniczne reakcje są zawsze najszczerze. Jedź! Jedź! Tu będziesz nieszczęśliwy, zresztą już jesteś, cały czas będzie cię prześladować zdanie asystenta. Ono jest jak wyrok tępego sędziego. Już się nie poczujesz u siebie. Zresztą nie wiem. Jeżeli możesz przejść do porządku dziennego nie tylko nad tym zdaniem, ale i nad tym, co się dzieje, jeżeli chcesz wytrzymać tę próbę i przez nią przejść, nie ze względu na mnie, ale na siebie, to zostań! Jeżeli nie — wyjedź! Czas jest najlepszym sprawdzianem. Jeżeli okaże się, że nie możemy bez siebie żyć, przyjadę, jeżeli nie, to nie.

— Potrafisz zostawić kraj, rodzinę?

— Nie wiem, jeżeli nie będę mogła bez ciebie żyć, zostawię. Zobaczymy. Nie umieram przecież. — Uśmiechałam się pogodnie, bez troski i żartowałam, a pękało mi serce, bez żadnych przenośni. Czułam, że ziemia się rozwarła, a ja zapadam się coraz głębiej. Wróciliśmy do domu. Rano zadzwoniłam. Rodzice Stefana nadal nie mogli się zdecydować. Matka płakała. Nie była już młoda. Jak w tym wieku zmieniać skórę? Przyzwyczajać się do innego klimatu, do innych warunków, obyczajów, odejść od swojego języka i uczyć się języka przodków? Najtrudniejszego języka na świecie? Co ona będzie tam robić? Wykwalifikowana redaktorka polskiego wydawnictwa. Co będzie robić bez polskich książek, bez polskich maszynopisów?

Przypadek rozwiązał sprawę. Przypadek! Łatwo powiedzieć, to nie był przypadek, lecz prawidłowość. Koło puszczone w ruch toczyło się dalej. Przyjaciółka matki Stefana, jej mąż i syn, wszyscy troje w ciągu jednego tygodnia stracili pracę. Każde z innego powodu. Mężowi zarzucono publicznie na zebraniu, że codziennie rano jadąc do pracy wstępnie do przedstawicielstwa Izraela, znajdującego się w ambasadzie holenderskiej przy ulicy Rakowieckiej.

Roześmiał się, zarzut był absurdalny.

— Po cóż ja bym codziennie tam chodził? — wzruszył ramionami. — Gdybym miał jakąś sprawę, poszedłbym raz czy dwa, ale

codziennie, co za bzdura! Nic innego nie możecie wymyśleć? To pocałujcie mnie w dupę — wyszedł z zebrania, trzasnąwszy drzwiami. Przyjaciółkę mamy Stefana oskarżono, również publicznie, o to, że poszła z kwiatami do ambasady Izraela w dniu zwycięstwa nad Arabami. Może i poszła. Nie wiem. To nie przestępstwo. Wolno dawać kwiaty komu się podoba — milicjantowi, żołnierzom, kuzynce, sąsiadce czy ambasadorowi. Wywalono ją za to z MSZ, chociaż znała perfekta kilka języków. Syn został skreślony z listy studentów, bo był raczkującym rewizjonistą. I sprawa rozwiązała się sama. Matka Stefana przestała płakać, zacisnęła zęby i powiedziała:

— Jedziemy z ojcem. Wyjeżdżamy, ty możesz zostać, nikt cię nie ciągnie na siłę, chcesz to zostać.

— Nie! Nie zostanę. Za nic w świecie — oświadczył Stefan. — Mnie też wyrzucono, pobito. Ja jestem całkowicie apolityczny, nie należę do żadnej organizacji, nie organizowałem niczego, żadnych manifestacji, żadnych wieców, po prostu poszedłem oddać hołd największemu polskiemu poecie. Innych też pobito, ale ich nie wyrzucono tak jak mnie, oskarżając o rewizjonizm, syjonizm i diabli wiedzą o co... Nie mam tu nic do roboty. Jadę z wami.

Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Rodzice Stefana złożyli podanie o wyjazd. I wtedy okazało się, że biurokratyczna machina działa sprawnie. Jakby z obawy, żeby się nie rozmyślili, wydział paszportowy przysłał im błyskawiczną odpowiedź oraz potrzebne dokumenty i wyznaczył termin wyjazdu za dwa tygodnie.

— Dwa tygodnie — powtarzałam zdrętwiałymi wargami. To był wyrok śmierci. Straciłam zdolność odczuwania czegokolwiek, stałam się martwa i już nie mogłam się cieszyć jego bliskością, wszystko było naznaczone tym wyrokiem, wszystko we mnie zastygło, jakby się film zatrzymał. Nie rozstawaliśmy się prawie, rodzice przestali zapędzać mnie do nauki. Cały czas byłam z nim i nic nie pamiętam.

Wiem, że pomagałam pakować rzeczy, wkładałam do skrzyń obrazy zdjęte ze ścian, naczynia, sztucce, bieliznę pościelową. Jego matka

kupowała jakieś drobiazgi na drogę, a my oboje blakaliśmy się po tym dużym mieszkaniu, unikając zderzeń i rozmów. Jemu wszystko leciało z rąk, nastawiał płyty zamiast je pakować, czytał ulubionych poetów. Jego miękki głos przechodził przez pokoje jak światło, zamierał, by zaraz odezwać się niezdecydowaniem i rozterką. Patrzył mi w oczy i czekał... Czekał, że ja powiem: nie jedź, zostań ze mną, prosił o to gestem, oczami, nigdy słowem. Chciał, żebym to ja wzięła ster w moje ręce, ciężar tej decyzji i jej następstwa dobre czy złe, żebym to ja strzegła naszej miłości i naszego życia, co na jedno wychodzi... Nie mogłam tego zrobić, chociaż pragnęłam go zatrzymać, pragnęłam tego bardziej niż kiedykolwiek.

Coraz częściej nawiedzały mnie myśli

O samobójstwie i nie mogłam się zdobyć na wypowiedzenie tego jednego słowa „Zostań”! Ono nie tylko nie chciało mi przejść przez gardło, ono nie chciało nawet we mnie zaistnieć, po prostu wypadło ze słownika.

Pakuję za niego książki, on nie jest w stanie, rzuca się na nie jak człowiek wygłodzony na chleb, gorączkowo przewraca kartki:

— O, właśnie, posłuchaj, to jest ten fragment, wczoraj o nim myślałem, to ten wiersz!

Nie może się zdecydować, co wziąć na drogę: Gałczyńskiego czy Tuwima. *Kwiaty polskie* będą mu towarzyszyć przez długie lata wygnania. Będzie je czytał na trasie, skąd widać góry Judei spowite słonecznym deszczem. Goździki, bez, leszczyna brzmią dziwnie w Jerozolimie i nie przystają do biblijnych nazw roślin, które tu pną się wysoko i pachną oszołamiąjąco, mają ostre barwy i egzotyczne imiona. Stefan nie może ich zapamiętać.

Bał się tej podróży. Zdawało mu się, że będzie ona trwać wiele dni. Nasze przyzwyczajenia i sposób życia czyniły nas groteskowymi, tkwiliśmy jeszcze obydwoma nogami w dziewiętnastym wieku. Podróże znaleźliśmy tylko z tamtej literatury i nasza wiedza pochodziła również z owej epoki. A świat się kurczył i malał, nikt już nie mierzył odległości na dni i tygodnie, teraz była to kwestia godzin. Dla nas żyjących w centrum Europy marzenia o podróżach musiały zastąpić rzeczywistość. Podróże były nadal wydarzeniami najważniejszymi w życiu. Należało się do nich przygotowywać latami, trwały długo, kosztowały majątek i często były równoznaczne ze zmianą miejsca stałego pobytu.

Drgnęłam na dźwięk dzwonka u drzwi. Stefan chyba nie słyszał, bo nie przerwał czytania, pobiegłam otworzyć. W drzwiach stali dwaj mężczyźni o wyglądzie bazarowych cwaniaczków, przyglądali mi się ciekawie.

— Chcieliśmy zapytać, czy nie ma czegoś do sprzedania — z pewnym zażenowaniem uśmiechnął się starszy. — Podobno państwo wyjeżdżają, chętnie kupimy meble, jakiś sprzęt...

— My nie wyjeżdżamy — odpowiedziałam ze złością.

— A nie wie pani przypadkiem, kto wyjeżdża?

— Przekładem wiem, ale to daleko, ulica Podleśna na Bielanych — podałam im wymyślony numer i zatrzasnęłam drzwi.

— Szmalcownicy już czekają na pożydowskie mienie — warknęłam ze złością.

— Gdzie ty ich posłałaś? — Stefan odłożył wreszcie książkę.

— Na Bielany, niech tam szukają.

— Daj spokój, nie ma się co oburzać. W tym kraju ludzie ciągle polują na rzeczy.

— Nie tylko na rzeczy, nie udawaj głupiego, na ludzi też i robią to nie najgorzej. Byłam rozwścieczona, zła, byłam w takim stanie, że mogłabym zabijać. Gdybym miała broń, strzelałabym do milicjantów i do tych spasionych telewizyjnych mądrali, którzy mełli jęzorami bez przerwy, pouczali nas, ustawiali, urządzali i wszystko wiedzieli lepiej. Pakowałam rzeczy, połykając łzy, on również płakał i tak spędzaliśmy dni płacząc, obejmując się i całując. Tyle tylko pamiętam. Znów była wiosna, zieleń i listki na drzewach a ja trzy dni przed jego wyjazdem poszłam zdawać matematykę.

W szkole było tak samo jak przed rokiem. Na sali gorączkowe szepty i nerwy. Ja się nie denerwowałam, wściekłość gniotła mnie i paliła. Ze złości rozwiązałam wszystkie zadania, oddałam pracę przed czasem i wyszłam. Stefan czekał przed szkołą, razem poszliśmy do niego, wypiliśmy pół butelki wódki i nawet nie zaszumiło mi w głowie. Zdałam, zostałam zwolniona z ustnego i wcale się nie cieszyłam. Nie zależało mi na studiach, wiedziałam, że umrę, zaraz po jego wyjeździe rozstąpi się ziemia i mnie pochłonie. To będzie najlepsze z możliwych rozwiązań. Żadne obietnice nie docierały do mnie, pytał, czy przyjadę do niego,

czy będę pisać, wiedział przecież, a jednak pytał, ja kiwałam głową, nic nie mówiłam, słowa nie miały już żadnego znaczenia.

Na dworcu, trzymając go w objęciach, powiedziałam:

— Powinniśmy się zabić, ja nie chcę żyć, nie mam po co.

Jego oczy napełniły się łzami, ja stałam zacięta i zła. Dopiero gdy pociąg odjechał, dostałam jakiegoś ataku, nie wiem co to było, jeszcze nigdy tak nie płakałam... Zostaliśmy sami na pustym peronie — ojciec, mama i siostry, one jeszcze machały, pociąg dawno znikł, a one z chusteczkami na wietrze... W uszach został mi stukot oddalających się kół, coraz szybszy gruchot, terkotanie, zgrzyt... wybuch... Ech! Nic nie wybuchło. Rodzice wsadzili mnie do taksówki, zawieźli do domu, napoili neospasminą, babcia przyniosła nalewkę na ziołach, ja to wszystko posłusznie wypiałam myśląc o śmierci. Zaraz zapadnie mrok i moje serce przestanie kurczyć się z bólu. Zniknie to straszliwe dławienie w piersiach. Nie mogłam oddychać, wszystko mnie bolało, każdy nerw, każdy centymetr skóry. Zасыpiając po tych wszystkich kroplach, nalewkach, sądziłam, że to już koniec, nigdy więcej nie będę rozpaczać i nie zaznam tej męki. Przebudziłam się, zioła, nalewka, neospasminą przestały działać. Było ciemno, maj, kwitły bzy. Odebrałam to jak policzek. Gorszej chwili nie mógł wybrać na wyjazd. Gdyby zdecydował się wyjechać zimą, poszłabym nad jezioro czerniakowskie, usiadła na ławce i zamarzyła na śmierć.

Leżałam w łóżku i zastanawiałam się nad sposobem zadania sobie śmierci. Możliwości było sporo, niemal każdy krok do niej prowadził, a ja na żaden nie mogłam się zdecydować. Leżałam, piłam nalewkę i nie odpowiadałam na pytania, nic mnie nie obchodziła troskliwość babci i mamy, ich zbolale głosy dochodzące zza ściany, rozważania, czy wezwać lekarza czy zaczekać, kogo by się poradzić.

Po kilku dniach wstałam, poszłam do kiosku, byłam masochistką doprawdy, świadomie chciałam sobie zadawać ból. Przyniosłam plik gazet, zaczęłam czytać jedną, drugą, trzecią... Dziwne, ale rozpacz ustąpiła pod naporem złości. To, co wówczas pisano w gazetach, działało jak środek wywołujący agresję, oczywiście byłam nią przepełniona, agresja wylewała się ze mnie strumieniami, ale cóż z tego? Co może zrobić młoda dziewczyna doprowadzona do ostateczności? Za-

bijać? Kogo? Tych z gazet, czy tych, co pociągają za sznurki i wyjadają mózgi. Rzesza dziennikarzy różnych maści podsuwa im swoje mózgi na talerzach wraz z przyborami do żarcia, bez mózgów żyje im się lżej.

Jestem opętana i chora. Od kilku dni nie mogę ani spać, ani jeść.

Termometr wskazuje trzydzieści osiem stopni, czuję jedynie bulgotanie w głowie, gotuje mi się mózg, za kilka dni będzie gotowy do zjedzenia.

Jestem chora i leżę w łóżku. Nikt mi nie każe wstawać. Nikt nic ode mnie nie chce. Okno mam zasłonięte i nie otwieram oczu. Boję się unieść powieki i spojrzeć na podłogę, gdzie tyle razy siedzieliśmy razem. Nie zniosę widoku świecy, przy której słuchaliśmy Bacha, drażni mnie adapter i płyty. Tuwima i Gałczyńskiego zamknęłam w szufladzie, nie będę już czytać wierszy, bolą wypowiedane słowa, ale milczenie też nie jest lepsze.

Nie mogę słuchać Chopina, wszystkie dźwięki wbijają się ostrymi szpikulcami w mózg. Nigdy nie włączę radia, nie pozwolę panoszyć się w moim pokoju plugawym głosem, zrobiły swoje, więc niech zamilkną wreszcie... Nienawiść podnosi temperaturę do stanu wrzenia, starczy jej na kilka pokoleń, dla mnie też. Będę się mścić, palić, zabijać, skazywać na męki. Nienawiść woła o czyn, nie pozwala mi umrzeć, zresztą moja śmierć nie rozwiąże niczego, co najwyżej obciąży Stefana, albo go nawet zabije. Nie sądziłam, że miłość jest tak krucha, że nie chroni przed niczym, myślałam, że będzie dla mnie pancerzem, tarczą z kuloodpornej stali i twierdzą z betonu, a ona okazała się słaba, wystawiona na ciosy.

Przeczę sama sobie, wiem, ból głowy nie pozwala mi się skupić, ale nie poddaję się, nie rezygnuję. Będę walczyć, chociaż nie mam armat i dział.

Moją jedyną bronią jest słowo. Piszę więc do telewizyjnego mądrali, strofującego młodzież studencką i do dwóch zajadłych redaktorek, z których jedna zostanie wkrótce profesorem i członkiem Związku Literatów, druga natomiast przez długie lata będzie uprawiać swój niecny proceder w czołowej partyjnej gazecie. Wytykam im tendencyjność, zacierzwienie, obalam ich kłamstwa, a oni milczą, nie odpowiadają, nie drukują moich listów. Jestem bezsilna. Nie mogę nic zrobić. Podejmuję jeszcze jedną próbę protestu i wysyłam oświadczenie do wszystkich gazet z prośbą o wydrukowanie.

Mam osiemnaście lat. Urodziłam się po wojnie i wychowałam w kraju, który nazywa się Polską Ludową. Miałam dobrych rodziców, nie najgorszych nauczycieli. Jedni i drudzy wpoili mi nie tylko miłość do ojczyzny, ale nauczyli mnie szanować inne narody i każdego człowieka. Nie wiedziałam, co to rasizm i antysemityzm. Faszizm znałam tylko z podręczników. Sądziłam, że te pojęcia zniknęły na zawsze z naszego życia. Tymczasem stało się inaczej. W Polsce, gdzie hitlerowcy unicestwili w najbardziej okrutny sposób sześć milionów Żydów, znów wylazł z zatechłych kątów potwór, któremu na imię antysemityzm. Wylazł, rozpostarł ramiona i panoszy się niczym szarańcza, naznacza nas piętnem faszystowskiej zarazy. Wszyscy jesteśmy zhańbieni od Bugu po Odrę, wszyscy mamy dzioby po ospie, winni i niewinni, ponieważ jesteśmy Polakami, a Polskę zhańbiono. Zwalnia się ludzi z pracy tylko dlatego, że są pochodzenia żydowskiego, releguje się ich ze studiów. Jestem tym wstrząśnięta i oburzona. Cóż to za kraj sprawiedliwości społecznej, w którym wyrzuca się człowieka z pracy tylko dlatego, że poszedł z kwiatami do ambasady izraelskiej, a rządowi szpicle donieśli o tym jego przełożonym? Kogo to obchodzi, że ja jako obywatel Polski Ludowej lubię Żydów, a nie przepadam za Arabami? Kogo to obchodzi, że ja, Iga Karpowicz, lubię Słowaków, a nie przepadam za Czechami, których akurat w danym momencie woli mój rząd? Co to ma wspólnego z moim stosunkiem do ludzi? Jeżeli nie szpieguję na rzecz Słowaków, których lubię, wszystko jest w porządku? Proiz-raelskie sympatie nie są w tym wypadku przestępstwem. Ja też sympatyzuję z Izraelem, a nie przepadam za Arabami, co gorsza, uważam, że naród, któremu przez cały czas grożono, że go się wepchnie do morza, ma prawo się bronić, ma obowiązek to zrobić, miast czekać aż go rzeczywiście zdepczą i zdławią. Przecież dopiero wczoraj zagazowano sześć milionów ludzi. Po takich doświadczeniach człowiek musi dmuchać na zimne. Czy to przestępstwo, że jestem po stronie ludzi, których nie popiera nasz rząd? Przykro mi, ale mam w tej sprawie inne zdanie i wielu ludzi je ma. Czy trzeba nas zaraz pozbawić pracy, piętnować i niszczyć? Po prostu mamy inne zdanie.

Mam osiemnaście lat i do tej pory byłam dumna z tego, że jestem Polką, byłam dumna z naszego narodu, który bohaterstwo walczył z faszyzmem i poniósł milionowe ofiary, byłam dumna z naszych wolnościowych tradycji, z naszej historii, z naszych miast i wsi, z naszego języka i z mojej ukochanej Warszawy. Byłam bardzo dumna. A teraz mi wstyd. Wstydę się tego, że jestem Polką, że mieszkam w kraju, gdzie oficjalna propaganda, kierowana przez rząd wyciąga stare skompromitowane hasła antysemityczne, by się rozprawić ze studentami i inteligencją, broniących polskiej kultury, określając protesty i wystąpienia jako syjonistyczne spiski organizowane przez obce wywiady. Wstyd mi, że mieszkam w kraju, gdzie nie liczy się dobro Polski, tylko doraźne koniunkturalne interesy grup w trwającej na szczytach walce o władzę. Wstyd mi, że mieszkam w kraju, gdzie słowo „tolerancja” stało się pustym dźwiękiem, gdzie własnych obywateli skazuje się na banicję.

Czytam list Stefana po raz trzeci, czwarty, piąty. Jego słowa przelane na papier stały się takie dalekie, nie słyszę jego głosu, nie widzę twarzy.
Kochana Moja, Kochana!
Teraz już nie wiem, co zrobić, jak Cię przeproszać. Klękam przed Tobą, padam do nóg, całuję Twoje ręce i stopy, a przy tym wszystkim nie mogę pozbyć się gorzkiej refleksji i żalu. Dlaczego pozwoliłaś mi odejść? Dlaczego zgodziłaś się na mój wyjazd? Będąc w Polsce miałem wrażenie, że Ty nalegasz i chcesz, żebym wyjechał. Wiem, czym były podyktowane Twoje ponaglenia, naciski. Chciałaś oszczędzić mi upokorzeń, cierpień, przykrości. Chciałaś, żebym gdzie indziej, na obcej ziemi odzyskał równowagę, spokój i, jak to się mówi, pogodę ducha. Chciałaś, żebym gdzieś w dalekim świecie, na którym dla nas zabrakło miejsca, poczuł się u siebie, ale czy to możliwe, czy to możliwe, żebym się czuł u siebie, gdy Ciebie nie ma?... To był największy błąd mojego

życia, zorientowałem się dopiero teraz, po paru zaledwie dniach, chociaż mnie si wydaje, że upłynęły wieki.

Przejechaliśmy granicę wiedząc, że już na za wsze żegnamy się z tą ziemią, którą dotąd uważałem za swoją, z Tobą przede wszystkim się pożegnałem na zawsze... Ta podróż była straszliwie długa, bolesna i przykra, trzymali nas na granicy, sprawdzali dokładnie bagaże, najbardziej książki, zabrali,, Wojnę Żydowską ". Znasz ją, twarda oprawa, lniane płótno, przybrudzone od częstego czytania, kartki też brudne, zabrali tę książkę, wydaną przez oficjalne wydawnictwo w Polsce Ludowej.

Po chwili jeden z celników wrócił zażenowany, z głupawą miną oddał mamie książkę i powiedział: „To nie ta wojna”. „Nie ta — roześmiała się mama — a o jaką wojnę wam chodzi?" Nie odpowiedział, wzruszył ramionami, dając w ten sposób do zrozumienia, że to nie sprawa wojny, nie sprawa książki, ale czegoś innego, czegoś pozbawionego sensu i celu, po prostu szykany, bezmyślne szykany, żeby nam zatruć czy też uprzykrzyć ostatnią chwilę pobytu na tej ziemi, którą przywykliśmy uważać za swoją... Już tak nie jest, już nie uważamy tej ziemi za swoją, wypędzono nas z niej, a jednak to był błąd, straszliwy błąd... Odszedłem od Ciebie, opuściłem Cię, zostawiłem..., a przecież ja nie istnieję bez Ciebie. Czy Ty to rozumiesz? Z Tobą gotów jestem znosić największe upokorzenia, szykany, impertynencje, bez Ciebie wszystkie uprzejmości, życzliwe uśmiechy i serdeczności są nie na miejscu, i tylko mnie złością.

Jak Ty beze mnie żyjesz? Co robisz? Tak bym chciał wiedzieć, tak bym chciał wziąć Cię za rękę, nie śmiem powiedzieć, przytulić. Oddalasz się ode mnie z każdym obrotem kół... Tutaj jesteśmy wolni, chodzę i powtarzam: wolni, wolni, wkrótce będziemy u siebie. I nie czuję żadnej radości. Ojciec uśmiecha się gorzko... „u siebie" Nikt nam nie będzie wypominał tego, że jesteśmy Żydami, będziemy wreszcie u siebie.

Będziesz się śmiała, ale nikt z nas w to nie wierzy. Nie znamy kraju, do którego jedziemy, niewiele wiemy o ludziach, mnie to nic nie obchodzi. Niczego się nie lękam, prawdę mówiąc, jest mi obojętne, gdzie będziemy mieszkać, co będziemy jeść. Cóż ja bez Ciebie znaczę, cóż ja

znacze? Pocieszam się jednak, że się wkrótce spotkamy. Ta iskierka nadziei, którą osłaniam przed złymi podmuchami wiatru, pozwala mi spać, jeść, jako tako trzymać się w ryzach. Słucham obcej mowy nieprzyjaznej i wrogiej i tak się boję, że już nigdy nie napiszę wiersza. Wczoraj chciałem ułożyć dla Ciebie kilka zwrotek i nic, rymy się pogubiły, brakowało mi słów. Coś dziwnego dzieje się ze mną, nie potrafię tego wytłumaczyć, nie rozumiem tych mechanizmów, które stawiają tamę słowom, rymom i rytmom, tej tamy nie widać, ona jest we mnie...

Jestem jak robot podłączony do sieci, a roboty nie piszą wierszy, nie przeżywają uniesień, one patrzą na Brueghla pustymi oczami, widzą, bo tak je zaprogramowano, że infantki Velazqueza są piękne, Rubens soczysty i miękki, a Breughe niepowtarzalny.

Pamiętasz? Marzyliśmy kiedyś, żeby razem obejrzeć Breughla? Teraz stoję przed nim, pa trzę sam na obrazie i nic nie przeżywam. „Faust” w Operze Wiedeńskiej też do mnie nie przemówił. Nie słyszałem muzyki ani solistów, byłem martwy i taki jestem w tej chwili. Jutro wyjeżdżamy, napiszę. Kochana Moja! Kochana Moja, Kochana, patrzę w Twoje oczy, ściskam Cię mocno i tulę — na zawsze Twój S...

— „Na zawsze twój” — powtórzyłam i pobiegłam do okna. Zdawało mi się, że słyszę dzwonek, że to on zawrócił z drogi, przedarł się przez kordon graniczny i przybiegł do mnie, i jest... O Boże, co robić ze złudzeniami? Dzwonek rzeczywiście rozrywał ciszę na strzępy, a przy furtce stali dwaj obcy mężczyźni. Wybiegłam na zewnątrz i zapytałam:

— O co chodzi? Czego panowie sobie życzą?

— Czy pani jest Igą Karpowicz?

— Tak, o co chodzi?

Patrzyli na mnie. Jeden z nich szybkim ruchem wyjął legitymację, błysnął mi nią przed oczyma.

— Jesteśmy ze Służby Bezpieczeństwa.

— Proszę — wyciągnęłam rękę podejrzewając oszustwo. — Muszę się przyjrzeć.

— Oczywiście, ma pani prawo.

Przyglądałam się zdjęciom: porucznik Mankiewicz Jerzy, twarz okrągła i taka sama okrągła pieczęć z orzełkiem. I major, chudy, anemiczny typ inteligenta w okularach.

— O co chodzi? — powtórzyłam pytanie.

— Chcieliśmy z panią porozmawiać — oznajmił major, chowając legitymację do kieszeni.

— Mam mało czasu, uczę się do egzaminów.

— Tak? — wyrazili zdziwienie obaj równocześnie. — Uczy się pani?

— Co w tym dziwnego? — rozmawialiśmy nadal przez furtkę, której przytomnie nie otworzyłam.

— Dziwne! Uczy się pani — pomrukiwał major, a porucznik uśmiechał się drwiąco. — A kto w takim razie wypisuje i rozsyła po gazetach te wszystkie bzdury w pani imieniu?

— To nie są bzdury! To mój protest. Parsknęli śmiechem.

— Protest przeciwko tym kalumniom, oszczerstwom, przeciwko temu, co się dzieje. Prawdziwy Polak nie może przyglądać się temu biernie.

— No, wie pani, są powody... Ci ludzie, których pani bierze w obronę, reprezentowali obce interesy, chcieli nas sprzedać.

— Nas? Chcieli sprzedać? I znaleźli kupca? Jest ktoś, kto chce nas kupić? Mnie ktoś chce kupić? Proszę bardzo, niech kupuje. Pana chce kupić? Ogłupiacie ten naród, siebie też. Nikt nas nie chce kupować i nikt nas nie sprzedaje, my się tylko wystawiamy na pokaz, demonstrujemy światu naszą głupotę, nietolerancję i kołtuństwo, sami siebie sprzedajemy, ale chyba diabłu.

— Pani jest wierząca?

— Panowie przyszli tutaj, żeby przeprowadzić ze mną ideologiczną dyskusję, nawracać mnie na marksizm?

— Nie, ale nawet święte oburzenie nie upoważnia pani do pisania listów do „Wolnej Europy”.

— Proszę pana, piszę listy dokąd mi się podoba, ale do „Wolnej Europy” nie pisałam, proszę mi tu niczego nie wmawiać. Pisałam do konkretnych osób, do pani Pawłowskiej, do pani Krzywobłockiej, do pana Kąkola i do innych. Konstytucja gwarantuje tajemnicę korespondencji. Widzę jednak, że ktoś udostępnił panom moje listy, chociaż nikt nie raczył mi na nie odpowiedzieć ani osobiście, ani na łamach prasy...

— Jeden z pani listów trafił do „Wolnej Europy”, ten, który pani nazwała oświadczeniem. Nadawano go po „Faktach, wydarzeniach, opiniach”... Co pani może na ten temat powiedzieć?

— Nic. Ja go nie wysłałam.

— A kto?

— Nie wiem.

— Niech się pani zastanowi. Ktoś go przecież musiał wysłać.

— Ja tego nie zrobiłam. Zapytajcie waszych redaktorów. Do widzenia panom — odwróciłam się i weszłam do domu, oni coś jeszcze mówili, nie słuchałam, zatrzasnęłam drzwi, grozili, że przyślą mi oficjalne wezwanie.

— Proszę bardzo — krzyknęłam przez okno — mogą mnie panowie aresztować, aleja nic nie wiem. Proszę przyjść, kiedy w domu będą rodzice.

— Chce pani w to wciągać rodziców?

— W co? W co? Proszę mi tu niczego nie imputować, nic złego nie robię.

— No, nie wiem, czy rodzice wiedzą, co pani robiła?

— Bardzo dobrze wiedzą, o wszystkim są poinformowani, o wiele lepiej niż wy.

Babcia się przebudziła, wyskoczyła do przedpokoju, rozczochrana i nieprzytomna.

— Kto to był? Kto się dobijał?

— Jacyś faceci pomylili adresy, wmawiali we mnie, że tu mieszka jakaś Jabłońska czy Jabłonowska.

— Co ty ukrywasz, dziecko? Nie okłamuj mnie! Wiesz, że ci się to nie udaje.

— Dobrze. Byli z UB.

— Z UB? Do ciebie?

— Mieli pretensje, że ja piszę listy do „Wolnej Europy”.

— Pisziesz?

— Nie.

— Więc o co chodzi?

— Napisałam kilka listów do tych szmatławców z gazet.

— Słusznie, należy protestować!

— Oni twierdzą, że jeden z tych listów trafił do „Wolnej Europy”,

— A co tobie do tego?

— No właśnie, mnie nic do tego. A zresztą, czy ja nie mogę pisać do „Wolnej Europy”? Piszę dokąd mi się podoba.

— Grozili ci?

— Oczywiście.

— Szkoda, że mnie nie obudziłaś, powiedziałabym im kilka słów.

— Może jeszcze nie poszli, zdążysz im powiedzieć. Wyskoczyła na dwór.

— Halo — zawołała do tych facetów — proszę tutaj do mnie! Oni przystanęli zdziwieni, spieszyło ich pojawienie się starszej pani.

— Czego panowie chcą od mojej wnuczki?

— Proszę pani, ona — zacukał się porucznik — ona wypisuje listy do różnych gazet, a jeden list wysłała do „Wolnej Europy”...

— Mają panowie na to dowody?

— Był czytany w radiu.

— To jeszcze nie dowód, że go tam wysłała, niech panowie zainteresują się tymi, co wypisują te wszystkie świństwa w polskich gazetach, narażając na szwank imię Polski, Polaków. To są wrogowie ludu, a od mojej wnuczki proszę się odczepić, poszczuję was psem.

Spojrzeli po sobie, pewnie doszli do wniosku, że babcia jest tak samo stuknięta jak wnuczka. Nic nie mówiąc pomknęli do samochodu, który stał zaparkowany nie opodal. Po chwili zniknęli za błotną zasłoną.

— Nie daj się zastraszyć — babcia podała mi herbatę z kruchymi ciasteczkami.

Uśmiechnęłam się do niej po raz pierwszy od tyłu dni.

— Co mi mogą zrobić? Rodzicom też nic. Jestem pełnoletnia. Rodzice nie mogą odpowiadać za swoje dorosłe dzieci.

Babcia pokiwała z politowaniem głową.

— Tutaj, w tym systemie wszyscy odpowiadają za wszystkich, dzieci za rodziców, rodzice za dzieci, brat za brata, całe rodziny odpowiadają.

— Stosuje się odpowiedzialność zbiorową?

— No, może teraz się nie stosuje, chociaż nie jestem tego pewna, ale stosowało się, owszem.

— Ja się nie boję, nie wsadzą mnie do więzienia. Nie wsadziliby mnie chyba, gdybym to ja wysłała te listy?

- Tak, ale mogą cię nie przyjąć na studia. — Posmutniała, ręka jej drżała, gdy nalewała sobie herbatę.
- Trudno, będę żyła bez studiów, tyle ludzi żyje.
- Ale musisz się nauczyć jakiegoś zawodu.
- Umiem pisać na maszynie.
- Warto byłoby jednak robić to, co lubisz.
- Będę pisać książki.
- Bardzo bym chciała, ale do pisania potrzebny jest talent.
- Myślisz, że go nie mam?
- Nie wiem, nikt nie wie, co w nas drzemie, jakie siły nieroz-budzone... może będziesz pisać, kto wie? Możesz robić dużo innych rzeczy, na przykład leczyć ludzi, niosąc im ulgę w cierpieniu.
- Nie, leczyć nie potrafię. Jestem za wrażliwa, mdleję na widok krwi.
- Szkoda, chciałabym, żeby ktoś w rodzinie był lekarzem... chyba, że dziewczynki...
- Och, one na pewno spełnią marzenia babci, one nie są wrażliwe. Zabiłyby człowieka z zimną krwią.
- Czego wy się tak nie lubicie, mieszkacie pod jednym dachem?
- Myślisz, że ja ich nie lubię? Nie wiem, są małe, złośliwe, a zresztą, jakie to ma teraz znaczenie. Babciu kochana, nic już nie ma znaczenia... Stefan przysłał list, wcale mnie to nie cieszy. Kiedy przychodziły od niego listy z wojska, było to wielkie święto, czytałam je, przyciskałam do serca, były takie piękne, czułe, wspaniałe listy, a teraz ten list jest jak zza grobu, czy ty to rozumiesz? List zza grobu, z innego świata, od którego jesteśmy odcięci, obstawieni strzeżonymi granicami, nie zdołam się przedostać do niego. On nigdy tu nie przyjedzie, nie ma prawa powrotu. Może za pięćdziesiąt lat coś się zmieni, będę wówczas zgrzybiałą staruszką, a on wsparty o laskę zjawi się w otoczeniu wnuków, by mnie zobaczyć przed śmiercią.
- Rozplakałam się, wyobrażając go sobie z wnukami i siebie, skurczoną małą staruszkę oczekującą go na lotnisku.
- Pojedziesz, pojedziesz, musisz w to wierzyć, pamiętasz, co ci powiedział ojciec Stefana przed odjazdem? Każdy dzień, który mija, przybliży cię do niego, każdy dzień...
- Minęły trzy tygodnie, więc jestem o trzy tygodnie bliżej niego.

Nie wierzę. Widzisz, co się dzieje, nawet listu do redakcji nie można napisać, żeby się o tym nie dowiedziała bezpieka, przylecieli, żeby się dowiedzieć, kto za mną stoi, czy to zmowa czy spisek.

O co im chodzi, dlaczego tu węższą, nie mają nic do roboty? Tylu przestępców pęta się po ulicach, a oni nachodzą mnie w biały dzień tylko dlatego, że wysłałam do redakcji kilka listów. Czy ja nie mam prawa się oburzać i protestować? Nie mam prawa kochać kogo chcę i żyć jak chcę? Mam żyć tak, jak oni każą i kochać tych, których oni lubią? Nie! Babciu, będę żyć tak jak chcę, właśnie tak.

— Chodźmy do kina, musisz się rozerwać, przed tobą egzamin.

— Zdam babciu, zdam, obiecałam Stefanowi, zresztą zdać z literatury to dla mnie fraszka, wiesz dobrze.

Poszłyśmy do kina na jakiś zachodni film. Patrzyłam zachłannie na ludzi z ekranu, którzy żyli w innym świecie, inaczej mówili, inaczej się poruszali, mieli paszporty, wymieniali pieniądze i jeździli sobie z kraju do kraju i nie mieli tych cholernych polskich kompleksów. Nie zazdrościłam im tego, że żyją lepiej, że mają więcej samochodów, większe mieszkania, sklepy pełne towarów, w kolorowych lśniących opakowaniach, zazdrościłam im tylko jednego, że mogą jeździć z kraju do kraju, spotykać kogo chcą.

Wróciłam do domu z jednym tylko pragnieniem, żeby się gdzieś zaszyć w ciemną dziurę, nie słyszeć niczego, nie widzieć, tkwić w sobie, w ciemności, w mroku, w ciszy, i nie mogłam, nie mogłam znaleźć takiego miejsca.

Nad jeziorkiem tuliły się pary, w domu siostry przycichły, starały się mnie nie drażnić, nie dokuczać, nie przeszkadzać, były grzeczne, schodziły mi z drogi, a ja ich nienawidziłam tylko dlatego, że zapalały światło, że mówiły do siebie półgłosem, że jadły, chodziły, otwierały i zamykały drzwi, nienawidziłam matki i ojca, wszystkiego co mnie otaczało. Wszyscy byli dobrzy, serdeczni, mama przytulała mnie do swych krągłych dużych piersi. Ojciec parę razy pogłaskał mnie po głowie, przynosił mi książki, płyty. Nie miał pieniędzy, ale chciał sprawić mi radość, wiedziałam, że wszyscy starają się z całych sił, żebym była pogodna, żebym się uśmiechała, a ja siedziałam odcięta parawanem od sióstr i od całej rodziny, uczyłam się, czytałam życiorysy pisarzy, poetów,

wertowałam daty, chyba coś z tego zostało, uporczywe powtarzanie dat stało się dla mnie jakąś deską ratunku...

Zdałam, zdałam i musiałam iść na miesiąc do pracy. Wtedy właśnie za karę, że młodzież studencka śmiała się buntować, wprowadzono praktyki robotnicze. Ten bunt był rzekomo spowodowany brakiem więzi młodzieży inteligenckiej z klasą robotniczą.

Z bliska zobaczyłam, jak to wygląda, przeszłam reedukację niemal taką jak w Chinach, gdzie za opowiadanie dowcipów czy za niewłaściwe zachowanie wysyła się młodych do głodujących spółdzielni produkcyjnych. Polskie fabryki były w rozsypce, stare maszyny, brud, brak materiałów do produkcji, anarchia, rozprzężenie, straszliwe niechlujstwo. Bałagan, który mnie jeszcze bardziej ustawił na sztorc. Nienawiść i obrzydzenie kumulowały się, rósł opór, zaciętość, to było w środku, a na zewnątrz milcząca poprawność, cisza, uśmiech, półsłówka...

Wstawałam o czwartej, żeby zdążyć na szóstą. Przed bramą spotykałam kobiety zielone z niewyspania, niedożywione, grupki wynędzniałych postaci, które dziurkowały karty, zajmowały miejsca przy maszynach i przystępowały do pracy albo nie, w zależności od tego, czy były materiały, czy krojczy przygotował, co należy. Czasem nie było niczego, więc one drzemały przy tych starych maszynach albo jadły nieapetyczne kanapki z kiełbasą przyniesioną z fabrycznego bufetu, młodsze jeszcze się śmiały, gadały o chłopakach i randkach, o jakichś popijawach, na których ktoś zawsze zachował się nie tak, jak trzeba. Jeszcze miały nadzieję, że małżeństwo, miłość zmienią coś w ich życiu, że dostaną mieszkania, urodzą dzieci, właśnie one nadadzą sens ich życiu. Starsze wolały drzemać z głowami na blatach maszyn, niepokoiły się o dzieci pozostawione bez opieki i czy wychodząc z domu nie zapomniały zamknąć za sobą drzwi, czy napiją się mleka przed wyjściem, czy coś zjedzą i czy w ogóle pójdą do szkoły. Śmiały się z mojej gorliwości i zapału do pracy. Przez miesiąc można się powysilać, mówiły, czemu nie, a potem wakacje nad morzem, w górach czy na Mazurach... Pensji nie starczy nawet na tydzień... Faktycznie, zarobisz niewiele, mniej niż my, a zdawałoby się, że mniej już nie można — jedna z tych dziewczyn niewiele ode mnie starsza wybuchnęła śmiechem.

— Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej — dodała druga z brygady młodzieżowej. — Nie martw się, jak ci nie pójdzie na studiach, to wrócisz do nas. Przyjmiemy cię z otwartymi rękami i wtedy będziesz wyrabiać normę tak jak my, od czasu do czasu dostaniesz premię, za którą kupisz sobie pudełko czekoladek albo butelkę wina.

Listy przychodzą spóźnione miesiąc lub dwa z winy poczty czy innych urzędów. Listy z Paryża idą trzy tygodnie, więc te miesiące to chyba norma, cenzorzy są strasznie zajęci, ludzie coraz więcej piszą i oni nie nadążają.

Nie lubię tych listów, przeszkadza mi świadomość, że nie ja pierwsza je czytam, ktoś je prześwietlał, obmacywał, pożerał oczami słowa nie przeznaczone dla niego, dotykał brudnymi łapami papieru, śmiał się z naszych tęsknot.

Dlaczego nie dają nam spokoju? Dlaczego wtrącają się w nasze sprawy? Przecież konstytucja gwarantuje nam tajemnicę korespondencji, ale w tym kraju, gdzie się urodziłam, nikt się takimi rzeczami nie przejmuje, w szkole naukę o konstytucji odbębnia się kilkoma zdaniem. Wszyscy wiemy, że jest wspaniała i najlepsza na świecie, a że cenzorzy czytają listy Stefana i moje, nikogo nie obchodzi, nikt się tym nie przejmuje poza mną, oczywiście.

Listy czytam nerwowo, niezbyt uważnie, jak stare gazety. To, o czym pisze Stefan, działo się miesiąc temu albo jeszcze wcześniej, teraz on może jest już na innym kontynencie, w innym miejscu, z innymi ludźmi, a ja nic o tym nie wiem... Listy jak stare gazety, słowa też są z zamierzchłej przeszłości, naiwne, pełne wiary, nadziei, on wierzy w przyszłość, we mnie, w siebie, w nasze spotkanie. Zawsze był dziecinny, naiwny, entuzjasta wszystkiego co nowe i piękne...

Słowa, słowa... Kraj, do którego trafił, urzeka go i onieśmiela, wszędzie spotyka ślady swoich przodków, pamiątki, święte miejsca, widok których utwierdza wiarę w cuda.

Wszystko się zaczęło na tej ziemi złotej od słońca i spopielalej, pachnącej opuncją, tamaryszkiem, południem i morzem. Trafił na

największe upały, ale nie narzeka, dobrze się czuje w słońcu, w błękicie i bieli. Tutaj lubił deszcz, pisał melancholijne wiersze o chmurach jesiennych i słotach, o naszej szeleszczącej, zgrzytliwej mowie i o kojącej szarości. A tam jasność jest wprost oślepiająca, światło namacalne, konkretne, przejrzyste aż do zawrotów głowy i o nich nie może pisać — jest jak ptak z podciętymi skrzydłami, porusza się swobodnie po ziemi, ale nie może wzbić się do góry. Uczy się języka swoich przodków, chodzi na kursy, rodzice też się uczą. Strasznie to wszystko dziwne, uczyć się podstaw ojczystego języka, będąc całkowicie dojrzałym, dziwne... Zwiedza kraj autostopem lub samochodem ojca, czyta Fla-wiusza i odgrzebuje historię z piasku.

Wszystko się tak zmieniło, on teraz mówi innym językiem, nie potrafię wyobrazić go sobie tam, na tej ziemi... Mam kilka jego zdjęć, nadal jest szczupły, jasny, z ogromnym czubem na głowie, przesyła mi ciepły uśmiech z daleka i każe wierzyć w cuda. Postawiłam zdjęcia na biurku, patrzę na nie i znowu atak złości obezwładnia mnie, unieruchamia, straszliwy ból targa całym ciałem. Dlaczego, dlaczego zamiast niego, tylko zdjęcia, listy, słowa z dalekiego świata, pozdrowienia, życzenia. Za oknem jesień, w sadzie dojrzewają jabłka, nikt nie stuka w szybę, płomień świecy nigdy już nie zabłyśnie po tamtej stronie. Nie chodzę nad jezioro czerniakowskie, po prostu nie mogę tam pójść. Rzadko odwiedzam Stare Miasto. On wszędzie zostawił swój ślad, który wciąż boli. Nie mogę jeszcze oglądać tych miejsc. W domu też nie czuję się dobrze, ciągle czekam, wyglądam przez okno na ulicę, wśród ludzi idących od przystanku wypatruję jego szczupłej sylwetki, gwałtownych szybkich ruchów i tego przyspieszonego kroku, który go unosił nad ziemią... Jeszcze najlepiej czuję się w salach wykładowych i na ćwiczeniach. Uważam niezwykle pilnie, notuję, a potem piszę, co mówił o Kochanowskim profesor Liśkiewicz, jaką anegdotę przytoczył profesor M., na co oburzał się docent W. i jakie pytanie zadawał adiunkt C. A potem piszę

O nich Stefanowi. Jego ciągle interesują studia, których nie ukończy!
1 już nie ukończy. Teraz będzie pisał wiersze w innym języku, jeżeli odnajdzie właściwe słowa, frazy, melodie.

Ja też przestałam pisać, ale ze mną sprawa jest prostsza, nie mam

talentu, wiem, wiedziałam to zresztą od dawna. Mogę pisać artykuły, recenzje, wierszy nie potrafię, chyba że takie jak teraz w modzie, bez rymu i rytmu, pozbawione muzycznej frazy miniatury prozatorskie, które do mnie nie przemawiają.

Ogólnie rzecz biorąc, na uniwerku też nie jest dobrze. Po marcu władze znalazły sposób, żeby wybić studentom mrzonki o wolności, zmieniły program, zwiększając w nim liczbę przedmiotów ideologicznych, mamy więc różne odmiany nauk o społeczeństwie, marksizm, leninizm, materializm dialektyczny i historyczny. Na właściwe przedmioty, to znaczy na literaturę, historię i język, nie mamy czasu, na czytanie też nie, za to zmusza nas się do streszczania *Kapitału*, który jest jak zwietrzały pumeks, rozsypuje się w rękę. Na ćwiczeniach nikt spontanicznie nie zabiera głosu, wszyscy siedzą jak w szkole i boją się, żeby ich nie wyrwano do tablicy. Na szczęście są jeszcze wykłady profesorów M., J. i paru innych. Notuję ciekawsze fragmenty i przekazuję Stefanowi. Nie wiem, czy te listy dochodzą do niego. Niektóre giną po drodze i Stefan ma do mnie żal, że rzadko piszę.

Kochany, najdroższy! Piszę dużo, ale część listów nie opuszcza mojego biurka, leżą w zaklejonych kopertach, nie dlatego, że chcę cokolwiek ukryć przed tobą, nie wysyłam ich z lęku przed cenzorem.

Nie, źle się wyrażam, nie chodzi o lęk, po prostu nie chcę, żeby ktoś poza tobą zaglądał do mojej duszy, piszę o najbardziej intymnych sprawach, a od nich wara wszystkim cenzorom. Może nadejdzie taki czas, że znajdę sposób, by ci te listy przekazać, będziesz je wówczas czytał jak stare gazety, ale teraz muszę je pisać, bez tego dostałabym kręcka, chociaż nie jest pewne, czy już go nie mam. Budzę się w środku nocy z wielkim bólem, który jest w każdej cząsteczce mojego ciała i nie opuszcza mnie ani na chwilę, nie daje się niczym uśmierzyć.

— Co zrobić? Mamo! Mamo — krzyczę wśród nocy. — Zrób coś! Ja się tu miotam w ciemności, nie ma mnie ani wśród żywych, ani wśród umarłych, jestem w próżni, świat stał się próżnią. Tylko dlaczego ta próżnia tak straszliwie boli? Dlaczego każda myśl staje się otwartą raną?

Już nie boję się mroku, wstaję, wysuwam się bezszelestnie z domu, noc jest cicha, nieprzyjazna, nie zachęca do spacerów, myśl o jeziorze pojawia się nagle... instynkt mnie uratuje, umiem pływać, zresztą nie pójdę tam w środku nocy, mimo wszystko coś jeszcze odczuwam, boję się czarnej nieprzeniknionej głębi, nigdy nie pływałam nocą, ani w morzu ani w jeziorze, słyszałam, że inni to lubią, ja się boję. Chodzę dookoła domu, płoszę jakiegoś kota, który wskakuje na dach i stamtąd wybucha wrzaskiem, zbliżam się do furtki, a tam siedzi bezdomny pies, skomle. Zapominam na chwilę o sobie, pędzę do domu, przynoszę kielbasę i chleb, pies rzuca się na nie łapczywie, połyka w mgnieniu oka jedno i drugie. Wracam po następną kromkę. Mama się budzi, schodzi przerażona na dół.

— Co ty robisz w środku nocy? Iga co się dzieje?

— Bezdomny pies, popatrz, skomle za furtką, dałam mu jeść.

— Ach! Biedactwo, biedactwo — mama rozczuła się nad psem, ale ja wiem, że odetchnęła widząc mnie przy jakimś zajęciu, myślała, że... właśnie, dobrze myślała, pies ją uspokoił.

— No chodź już, chodź spać.

— Posiedź tu ze mną.

— Nie mogę, jestem taka zmęczona, muszę wstać o szóstej rano.

— Przepraszam, że cię obudziłam — tuląc się do niej, odprowadzam ją na górę. Przy jej dużych piersiach mniej boli serce.

Z dosyć pogmatwanych wypowiedzi pani psycholog zrozumiałam jedno: powinnam żyć, tak jakby jego nie było. Roześmiałam się.

— To niemożliwe, nie potrafię żyć ignorując fakty, on przecież jest, kocha mnie, pisze listy...

— Myśli pani, że młody mężczyzna dotrzymuje wierności?

— Nic nie myślę, nie zastanawiam się nad tym. Wiem jedno, on nie może być z nikim tylko ze mną.

— Pani też nie może?

— To jasne.

— A próbowała pani?

— Nie.

— To skąd ta pewność? Nic pani nie poradzi, głową muru się nie przebije, może pani zachować go w sercu, a żyć normalnie.

— To znaczy puszczać się?

— Ja tego nie powiedziałam.

— Ale pani wywód do tego zmierza?

— A pani wyciąga pochopne wnioski. Trzeba żyć normalnie. — Jak?

Widzisz, posłuchałam aluzyjnej rady mojej pani psycholog (u nas nawet psycholog nie mówi wprost, uwielbiamy aluzje, zwłaszcza polityczne, to nasza specjalność), więc posłuchałam jej rady i postanowiłam cię zdradzić, innymi słowy, postanowiłam żyć normalnie.

Poszłam do Iwony, u niej jak zwykle było składkowe przyjęcie. Ja zrobiłam sałatkę, która wszystkim smakowała. Jadło się na stojąco, była wódka, doszliśmy już do tego. Kiedyś piło się tylko szampana i wino w niewielkich ilościach, a teraz na stole pojawiło się kilka butelek wódki, chłopcy upili się szybko i na nic nie mieli ochoty, nikt nikogo nie ciągnął do drugiego pokoju. Nie piłam wódki, trochę wina, dużo paliłam, usiłowałam bawić się, tańczyć, śmiać się, robiłam to z dużym wysiłkiem, z przymusem, ale tańczyłam, najpierw sama, potem dołączył do mnie asystent z Akademii Medycznej Zbyszek Urbaniak, kolega Iwony, dosyć przystojny. Zapytał tak jak ty kiedyś: Wyjdziemy? Skinęłam głową, on nie miał wątpliwości dokąd mnie zabrać, wynajmował w okolicach placu Narutowicza pokój. Wprowadził mnie tam, nakazując zachowywać się cicho, poczęstował winem i orzeszkami. Siedziałam sztywna, spięta, zła, ale siedziałam, ponieważ postanowiłam wyzwolić się od ciebie. Skoro nie mogłam być z tobą, musiałam się od ciebie wyzwolić. Ten asystent był naprawdę przystojny, miły, nie upił się jak koledzy Iwony i uśmiechał się czarująco. Oczy miał wilgotne, zwięzłe pożądaniem, nagle przytulił mnie, pocałował i pociągnął na tapczan. Pocałunek wydał mi się nieprzyjemny, wręcz ohydny. Powiedziałam:

— Odsuń się, nie chcę!

— Dlaczego przyszłaś, przecież wiedziałaś, po co idziesz?

— Tak, ale zmieniłam zdanie.

— Nic mnie to nie obchodzi, nie pozwolę kpić z siebie, co to to nie — doskoczył do drzwi, przekręcił klucz w zamku.

— Jeżeli będziesz usiłował mnie zgwałcić, wyskoczę przez okno — powiedziałam spokojnie z zaciętą twarzą. — Znajdowaliśmy się na trzecim piętrze i ja gotowa byłam to zrobić.

— Nie wiedziałem, że jesteś stuknięta...

— Ale teraz wiesz...

— Tam wyglądałaś normalnie, ale teraz widzę, że masz oczy schizofreniczki.

— Zgadza się, jestem schizofreniczką. Otwórz drzwi!

— Już, już — przeraził się mojego spojrzenia. Rzeczywiście zachowywałam się jak wariatka. To było fajne, spodobała mi się ta rola. On z przerażenia wydelikatniał, stał się bardziej ludzki, mniej pewny siebie. Sprowadził mnie na dół jak osobę ciężko chorą, zatrzymał taksówkę i chciał mnie odwieźć na Sadybę. Nie pozwoliłam, wołałam być sama, w swoim towarzystwie najlepiej się czuję.

Pierwsza próba zdradzenia cię skończyła się idiotycznie. Wróciłam do domu koło jedenastej, rodzice jeszcze nie spali, czekali na mnie zaniepokojeni.

— Jak się udała zabawa? — spytała mama.

— Nieźle — odpowiedziałam — tańczyłam, gadałam... — ale ona po moich oczach wiedziała, że kłamię...

Jestem chora. Nikomu o tym nie mówię, nawet jemu, staram się pisać pogodne listy, żeby cenzor nie mógł się cieszyć z naszego nieszczęścia. Moje pogodne listy najbardziej go niepokoją. — Co się stało? — pyta w depeszy — co się zmieniło w twoim życiu? Czy ja się już nie liczę?

Odpowiedz natychmiast!

Tylko ty istniejesz, tylko ty. Szczegóły w liście — oddepeszowałam zaraz. A teraz muszę się przemóc, zapomnieć o istnieniu cenzora, pisać tak, jakby go nie było, jakby ten jeden jedyny list ominął jego ręce. Może tak się stanie, może list dojdzie nietknięty. Więc piszę, że jestem chora z tęsknoty, że walczę z tym i dlatego usilnie staram się o dobry nastrój.

Wszyscy się mną niepokoją, babcia, mama i tatuś.

Niepokoi ich to, że siedzę w domu, nie chodzę do kina, nie słucham

muzyki, po zajęciach wracam do siebie, nie mam koleżanek, nie tańczę, nie chodzę na prywatki.

Iwona odwiedza mnie czasem, wypija herbatę, opowiada o prosektorium, o swoich mękach na medycynie. Przyproceedziła swojego chłopaka, chcieli, żebym poszła z nimi do kina, wykręciłam się bólem głowy. Nie interesują mnie filmy, nie chcę chodzić do kina. To wszystkich niepokoi, panią psycholog również. Jeszcze trochę — mówi— a dojdę do takiego stanu, że wystarczą mi urojenia, stracę kontakt z rzeczywistością. Będę żyła w swoim świecie na jakiejś szczęśliwej wyspie lub ziemi świętej, ale w chwili, gdy uwierzę w swoje urojenia, gdy uznam je za stan normalny, będzie to schizofrenia.

Nie wierzę. U nas w rodzinie nie było świrów, postaram się jednak, żeby mój kontakt z rzeczywistością był mocniejszy i trwalszy, zacznę bywać u Iwony. Wybiorę się z mamą na koncert do filharmonii. Nie, nie pójdę. To będzie rozdrapywanie ran. Nie mogę słuchać muzyki, czy ty to rozumiesz? Nastawiam płytę i po paru sekwencjach wybucham płaczem. Wyobrażasz mnie sobie na koncercie z mamą, pianistę, i koncert, nasz ulubiony koncert e-mol? Nie wiem, kto teraz przyjeżdża, nie czytam gazet. Iwona mówi, że sale są pełne, na mieście widziałam afisze... Nie... Ciągłe mi się zdaje, że jeżeli zrobię coś z tych rzeczy, które robiliśmy razem, jeżeli na przykład pójdę nad jeziorko czerniakowskie i usiądę na naszej ławce, to pięknie mi serce. Wczoraj poszłam tam, było cicho, jesienne kolory i szelest liści. Pamiętasz, mówiłeś, przyroda jak chór grecki, a ja sama wpatrzona w gasnące słońce, ludzi było niewiele, para staruszków, chłopcy z psami, dwie roześmiane dziewczyny młodsze ode mnie tryskały radością życia, a ja nie mogę się śmiać, nie mam z czego i chyba już nie potrafię...

Wróciłam do domu z poczuciem spełnionego obowiązku. Usiłowałam nawiązać kontakt z rzeczywistością, posiedziałam na naszej ławce, nie pękło mi serce, wróciłam, do późnej nocy czytałam *Faraona*, wyobrażałam sobie siebie na pustyni...

Ach, głupstwa plotę, w każdym razie te odległe zdarzenia działy się gdzie blisko ciebie, w takim samym pejzażu, gdzie wszystko jest możliwe. Żyjąc tam w słońcu, masz inny punkt widzenia, inną perspektywę i inną skalę ocen. Dla ciebie nie istnieje już słowo „niemożność”,

a nas ono przygniata, tu tyle rzeczy jest nieosiągalnych i niemożliwych, trudno to komuś wytłumaczyć, to jest skażenie, zapis genetyczny. Rodząc się tutaj wiemy, co jest możliwe, co nie, od dziecka nam o tym przypominają. My się z tym godzimy, godzimy się z tym morzem niemożności, żyjemy z tą świadomością, i umieramy. Rzadko się ktoś buntuje, wiemy, że nie warto podnosić głowy, protest jest skazany na klęskę. Tutaj bunty zawsze były krwawo tłumione, żyjemy więc w pozycji pochylonej, na klęczkach, ze świadomością zapisu genetycznego, a ty mówisz, że ta góra, która nas dzieli, ten łańcuch gór, złożony ze szczytów Kilimandżaro, jest możliwy do pokonania? W jaki sposób? Ty żyjesz w innym kraju, dla ciebie rzeczy nieosiągalne stają się możliwe, więc niech się staną. Chcę, żeby się stały, pisz do mnie, kochaj, potrzebuję twojej miłości, tylko nią żyję w tym zimnym, nieprzytulnym świecie, który otoczył mnie nagle bezsensem i bólem nie do zniesienia. Nie sądziłam, że brak ciebie to kolory bez barw, głosy bez dźwięków, to drzewa bez liści, twarze bez uśmiechu. Świat bez ciebie jest martwy i nie ma w nim dla mnie miejsca. Musisz o tym wiedzieć, nawet gdy moje listy przestaną przychodzić, nawet gdy wszystkie co do jednego zaginą po drodze, nawet gdy poczta przestanie działać i wyłączą nam telefony.

Znów jestem u pani psycholog. Śmiesznie to brzmi: „pani doktor”, „pani mecenas”. Język polski roi się od takich dziwolągów, jest to najbardziej zacofany język świata, nie uznaje emancypacji kobiet, jedynie takie nazwy jak dozorczyńni, gospodyni czy ochmistrzyni trzymają się jego ducha, inne są naroślami nie przystającymi do rzeczywistości.

Więc pani psycholog jest niezbyt ładna, szara, ubrana jak panienka z ochronki w granatową spódnicę, w ciemny sweter i buty na płaskim obcasie. Nie nosi żadnych ozdób, włosy ma krótkie, przylizane, twarz pulchną, wyszorowaną aż do połysku. Uśmiecha się oficjalnie, a jej oczy nie zdradzają żadnej ciekawości, machinalnym ruchem wskazuje mi krzesło.

— Pisziesz coś? — pyta suchym oficjalnym głosem. Uśmiecha się krzywo.

— Żeby pisać, potrzeba odrobiny szaleństwa, a tego we mnie nie ma... Pani, uważając mnie za chorą, doradzała mi seks, tak zrozumiałam.

Proszę pani, ja nie jestem chora, ja jestem martwa, a to wielka różnica, chorych się leczy, natomiast martwych nikt jeszcze nie wskrzesza.

— Nie przesadzaj! — huknęła groźnie — żyjesz, i będziesz żyć...

— Jak? — Właśnie! Porozmawiajmy! Widzisz, mnie się zdaje, że uwielbiasz cierpienie, rozkoszujesz się swoim stanem, ulegasz nastrojom, poddajesz się im, lubisz swoje wizje, marzenia, wspomnienia. Jednym słowem, nie chcesz żyć normalnie. — No, wie pani! — oburzyłam się. — Ja nie chcę? Robię wszystko, żeby zapomnieć.

— A po cóż zapominać? Czas robi swoje. Zobaczysz! Nie można żyć samą miłością, chyba wiesz o tym. Chcesz być szczęśliwa? Każdy chce. Ty nie jesteś wyjątkiem, ale o szczęście trzeba walczyć, trzeba do niego dążyć, człowiek nie może tak zwyczajnie sam przez się być szczęśliwy, a ty co zrobiłaś? No co? Pokochałaś chłopca, on ciebie, los was rozdzielił i co dalej? Proszę, pisz ciąg dalszy tej historii! Ty uciekasz w cierpienie, rozkoszujesz się swoim nieszczęściem. Myśl o śmierci nie opuszcza cię ani na chwilę. Lubisz tragedie, bohaterów romantycznych, nie zaprzeczaj! Wszystko na to wskazuje. Siedzisz i wylewasz łzy! Pisziesz listy! Narzekasz na cenzorów, mówisz, że jesteś spięta, acz wolna duchem. Wszyscy tak mówią, zaczynamy lubić nasze zniewolenie, znowu marzy nam się rola Chrystusa narodów. Nie zaprzeczaj, pozwól mi skończyć, potem będziesz mówić! Co zrobiłaś, żeby bronić własnego szczęścia? Pozwoliłaś swojemu ukochanemu wyjechać na kraj świata. Dlaczego nie pojechałaś za nim? Dlaczego on nie został z tobą? Pozwoliliście oboje, żeby was rozdzieleno, sami dokonaliście wyboru. Warunki były dla was nie sprzyjające, jasne, że nie, ale ostateczny wybór, ostateczna decyzja należały do was. Nie dorośliście do tego, żeby ją podjąć, więc nie narzekajcie na zły los! Ucieczka w cierpienie niczego nie rozwiązuje, niczego nie załatwia. Jeżeli sobie tego nie uświadomisz, właśnie tego — spojrzała groźnie — jesteś skończona. Przegrasz swój los i nikt ci nie pomoże. Skończyłam, teraz kolej na ciebie. Mów. Dlaczego milczysz? No?

Obiektywnie tak się mogło wydawać, ona miała rację, nie było potrzeby zaprzeczać. Los zdrwił z nas, a my jak liście pozwoliliśmy miotać sobą. Skąd mogliśmy wiedzieć, że to będzie tak właśnie. Ludzie rozstają się, odchodzą od siebie i żyją. Dlaczego więc z nami nie mogło tak być? Skąd mogliśmy wiedzieć, dopóki to się nie stało, że będzie inaczej. Nikt nam nie uświadomił ogromu cierpień, jakie miały spaść na nas, nikt nie mógł tego uczynić, nikt nie znał stanu mojej duszy i jego. Tego morza nie można było przebyć suchą stopą, musieliśmy zanurzyć się w głąb i dotknąć dna. To było nieuniknione, sprawdzanie siebie kosztuje najdrożej i najbardziej boli.

Wyszłam od niej z poczuciem winy, ale spokojna, natchniona nie znaną mi dotąd chęcią działania. Postanowiłam wyjechać gdziekolwiek bądź, byle wydostać się z kraju, byle przedrzeć się przez ten kordon, tam już on mnie odnajdzie, zjawi się na mój zew. Nie miałam pojęcia jak tego dokonać, wiedziałam jednak, że ludzie wydostają się stąd, jeżeli bardzo tego pragną.

Iwona zmartwiła się, kiedy oświadczyłam, że chcę wyjechać, ale jej praktyczny umysł zaczął działać natychmiast z precyzją maszyny elektronicznej.

— No więc trzeba się zastanowić — zmarszczyła czoło — to poważna sprawa.

— Czy ja mówię, że nie?

— Ty działasz w amoku, więc ja muszę myśleć za ciebie i za niego, myślenie nigdy nie było waszą najmocniejszą stroną. To musisz przyznać. Zacznijmy od rzeczy najważniejszej — język. Nie znasz żadnego języka, a chcesz jechać za granicę. Co ty sobie wyobrażasz, że dostaniesz tłumacza? Od jutra masz pójść na kurs i zacząć uczyć się angielskiego. Kursy już dawno się zaczęły, pozostają prywatne lekcje, a do tego potrzebna jest forsa.

— Zarobię sprzątniem.

— W porządku. Druga sprawa to zawód. Ty nic nie umiesz, studiujesz literaturę, to jakby nic. Mogłaś wybrać inną filologię, do jasnej cholery, nauczyłaś się przynajmniej języka, polski i tak znasz. Co to za pomysł studiować polonistykę? Kto z tego żyje? Inteligenckie fanaberie, kurczę.

— Nie krzycz! Jest jak jest. Nic tego faktu nie zmieni...

— Ale musisz się nauczyć jakiegoś zawodu.

— Tak nagle?

— Nie nagle, a dopiero — pokrzykiwała, a ja poddawałam się biernie. Byłam zadowolona, że krzyczy, jej krzyk był konstruktywny i twórczy, budził nadzieję.

Nie zwlekając przystąpiła do działania, zadzwoniła do jakiegoś kuzyna, który jak wszyscy w jej rodzinie był lekarzem i przez niego załatwiła mi naukę zawodu w spółdzielni kosmetycznej, na wyjątkowych warunkach, bez składania sterty papierków, próśb, bez wycierania krzesel w poczekalni.

Po załatwieniu telefonu zajrzała mi w oczy i powiedziała:

— Ani słowa nikomu o twoich planach. Do jesieni postaram się wykombinować dla ciebie zaproszenie do Francji na winobranie, a dalej będziecie musieli radzić sobie sami. Pamiętaj, nikomu ani słowa, w listach do Stefana żadnych aluzji, żadnej wzmianki, niech on też pogłówkuje, chociaż w sprawach praktycznych zbytnio na niego nie można liczyć...

Ujrzałam światło, tego dnia nareszcie widziałam i czułam jak słońce ślizgało się po ulicy, obejmowało ludzi, domy, czepiało się wierzchołków drzew. Chciało mi się żyć. Wiedziałam po co, dla kogo. Szłam pieszo do domu, uśmiechając się do ludzi, obok Iwona, z oczami jak dwa jeziora, z włosami koloru lipowego kwiatu, rumiana, duża i zamaszysta, pełna nadludzkiej siły i dobroci.

— Dlaczego to robisz? — spytałam — dlaczego tak ci na tym zależy, żebym była szczęśliwa?

— Szczęście — uśmiechnęła się dziwnie — kto wie, co to jest? Ja na pewno nie, ale chcę, żebyś przestała być rośliną, więdnącym kwiatem, chcę żebyś żyła. Będę lekarzem, a najważniejszym obowiązkiem lekarza jest ratowanie życia. Jasne?

Nigdy nie była ze mną szczerą, zawsze coś tajiła, prawdziwe uczucia przykrywała ogólnikami i frazesami. Kiedyś wierzyłam w jej przyjaźń. Później doszłam do wniosku, że to było coś innego, dziwna, bardzo

dziwna, pozbawiona egoizmu, niedzisiejsza i trochę nieziemską miłość do Stefana. Nie wnikałam głębiej w powody, nie miałam czasu. Nagle z dnia na dzień stałam się najbardziej zapracowanym człowiekiem w Warszawie. Brałam zlecenia ze spółdzielni „Plastuś” i chodziłam sprzątać. Musiałam mieć pieniądze na opłacenie angielskiego, dwa razy w tygodniu przyglądałam się pracy manikiurzystki, słuchałam jej pouczeń, wskazówek, kupiłam przybory do manikiuru i wprawiałam się w tym fachu na rękach mojej mamy, Iwony i paru koleżanek, które nie miały zbyt wysokich wymagań.

Stefan czytał w moich myślach, naprawdę. Napisał, że już dłużej nie może, ten rok bez mnie był najdłuższym rokiem w jego życiu, drugiego takiego nie przeżyje, musi, musi być ze mną, inaczej skończy ze sobą. Załamano się i w tajemnicy przed rodzicami, którzy wciąż rozpamiętywali rany zadane im w Polsce, napisał list do Rady Państwa i do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z prośbą o wizę, chciał przyjechać, żeby się ze mną zobaczyć. Miał nadzieję, że odpowiedź będzie pozytywna, przyjedzie do Warszawy, weźmiemy ślub i zabierze mnie stąd, jeżeli oczywiście ja się zgodzę, jeżeli moje uczucia do niego nadal są takie, jak były. Ciągle miał wątpliwości, nie wierzył w stałość uczuć, to już było nieznośne.

W każdym liście czekał na zapewnienia. Było to naiwne i śmieszne i poniekąd dziecinne, ale ja go rozumiałam, ja też bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałam słów zachęty do wytrwania i znajdowałam je. Jednakże, będąc tutaj, czytając prasę, oglądając telewizję i analizując wypowiedzi niektórych docentów marcowych i dziennikarzy, wiedziałam, że jego starania spełzną na niczym. Żeby nie wiem jak prosił, nie pozwoli mu przyjechać. Wierzyłam natomiast w Iwonę, w kontakty i znajomości jej ustosunkowanej rodziny. Wierzyłam, że mój plan się uda. Iwona chciała, żebym bywała wśród ludzi. Większość sądzi, że to jest jakieś rozwiązanie, bywać wśród ludzi, ocierać się o nich. Robiłam to niechętnie, dla świętego spokoju. Chcąc sprawić przyjemność jej

i mamie, wychodziłam z domu, zdobyłam się nawet na to, że poszłam z Iwoną i jej kolegą na Stare Miasto, wstąpiliśmy do Fukiera na wino, składkowych pieniędzy starczyło na jedną butelkę, potem jej kolega Jacek odprowadził mnie. Nie protestowałam, zaprosiłam go nawet do domu na herbatę. Podobało mu się, że mieszkamy na odludziu, że za oknem są drzewa. Urzekła go babcia i, tak jak kiedyś Stefanowi, smakowały mu twarde ciasteczka.

Po paru dniach Jacek wpadł do nas, namówił mnie na kino, poszłam, żeby zastosować się do zaleceń pani psycholog. Cóż z tego, kiedy nie wiedziałam, co się dzieje na ekranie. Zdawało mi się, że w kinie „Moskwa” siedzi obok mnie Stefan, nachylił się, szepnie mi jakieś słówko, uściśnie rękę. Jacek siedział sztywno onieśmielony moją bliskością. Potem coś mówił o filmie, co mu się podobało, co nie. Patrzyłam na niego zdumiona, nie wiedziałam o co chodzi, o jakim filmie on mówi. Spotkałam się z nim parę razy i kiedyś nawet zgodziłam się pójść do niego przed południem, do sublokatorskiego pokoju, który dzielił z kolegą. Był sam i chciał to wykorzystać, ja też chciałam. Jacek należał do tych męczczyzn, o których pani psycholog mówiła, że podobają się kobietom, uśmiechał się z zażenowaniem, całował delikatnie, nieśmiało, ja pozwalałam, pozwalałam się całować, pozwoliłam się nawet rozebrać... Nagle dziesięć furii wstąpiło we mnie.

— Nie — krzyknęłam — zabierz te ręce! Co ty wyprawiasz! Co ty sobie wyobrażasz! — Wrzeszcząc zmieszałam go z błotem, zbesztalam, ubrałam się i ziejąc wściekłością, gniewem i oburzeniem wybiegłam na schody. Nic nie mogłam zrobić, ten chłopak podobał się dziewczynom, mnie też, ale nie mogłam z nim pójść do łóżka, nie mogłam z tej prostej przyczyny, że on nie był Stefanem. Byłam naprawdę nienormalna, powiedziałam pani psycholog o tej scenie, ona pokiwała głową.
— Za wcześnie — orzekła — musisz jeszcze poczekać.

Wzięli go do wojska, tam wszyscy służą, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, jest przecież wojna, ciągle tam jest wojna. Pisał rządziem, a może listy nie dochodziły, nie zdradzał w nich żadnych tajemnic, ale

jego listy stały się ubogie i suche. Czyścił broń, uczył się strzelać, obsługiwać działa czy coś tam jeszcze, nie wiedziałam w jakiej formacji służy. Ponieważ tam nieustannie trwała wojna, żołnierzom stawiano wyższe wymagania. U nas w wojsku organizował głównie jakieś obchody i akademie, zakładał teatr. Tam życie było bardzo brutalne, strzelano z nienacka, po zwycięstwie w 1967 roku Izrael znajdował się cały czas w zagrożeniu.

Lubię tańczyć walca. Przenoszę się wtedy w inny wymiar i zapominam o istniejącym świecie, czuję się wyzwolona, piękna, bogata, tańczę nie patrząc w twarze partnerów, czekam: za chwilę zjawi się książę Bołkoński, Oniegin, a może Wokulski. Jestem Izabelą, wszyscy u moich stóp, biją brawa, brawa rzeczywiście czasem mi biją, tańczę jak na scenie, minęłam się z powołaniem, ponieważ w porę nie odkryto moich zdolności. Jako dziecko podskakiwałam przy muzyce z radia, nikt jednak nie zwracał na to uwagi, dziecięce talenty rzadko kogoś wzruszają.

Zmuszano mnie nieraz do popisów przed gośćmi, jednak mama chyba wiedziała, że mam talent, ale nie chciała, żeby się ujawnił, jej pragmatyzm był silniejszy niż chęć uczynienia ranie szczęśliwą, zresztą skąd mogła wiedzieć, że tu kryje się szczęście, kiedy ja sama dowiedziałam się o tym za późno. Miałam 19 lat. Gdybym mieszkała w innym kraju, gdybym miała pieniądze, może jeszcze coś by się dało zrobić.

W tańcu on znowu jest przy mnie i wiem, że go już nie utracę, nie ma żadnej wojny, dział, karabinów, strzałów z ukrycia, są lśniące, białe sale, błyszczące parkiety, lakierki, zwiewne suknie, muzyka. Sale, do których chodzę, nie są wcale białe, parkiety przypominają szarą, ubitą ziemię, a ja mam suknię z czarnej wełenki, przetykaną błyszczącymi nitkami, rozkloszowaną u dołu, zwężoną ku górze i ciężki łańcuch na szyi, który nie pasuje do walca, ale ja go lubię. Jest jak pancerz, chroni przed zbliżeniami.

Iwona często towarzyszy moim myślom, obraz zatrzymany w kadrze, przez to nie zmieniony i trwały. Nie ima się go czas, jej twarz pozostaje gładka, bez zmarszczek, oczy duże, w ciemnej oprawie często robiły wrażenie bezmyślnych, prześlizgiwały się po ludziach, nie widząc ich. Nieobecna duchem — mówili o niej nauczyciele, chociaż ona uważnie słuchała lekcji, ale nikt w to nie wierzył. Jej nieobecne oczy pozornie uciekały od rzeczywistości, w której tkwiła korzeniami. Nie wiem, dlaczego czuła się zobowiązana do opieki nade mną. Może on prosił ją o to?

— Czy Stefan pisze do ciebie? — spytałam kiedyś.

— Och, trudno to nazwać pisanem — odpowiedziała — przysłał kilka kartek, pozdrowienia, życzenia. Ja mu też wysłałam kilka kartek, wiesz, nie mam głowy do listów, zresztą nigdy nie byłam tęga w takich przedmiotach, jak polski czy historia. Mam ścisły umysł.

Tak rzeczywiście było. W szkole pisałam za nią wypracowania, a jednak to ona zdała maturę, a ja oblałam, z matematyki również nie byłam gorsza, a oblałam.

No i stało się. Iwona wychodzi za mąż, obwieszcza to suchym, matowym głosem na jednej z tych prywatek, które jakby weszły jej w krew. Życie Iwony jest tak podzielone, że można bez trudu zgadnąć co robi w danej chwili, kiedy jest w bibliotece, kiedy w kinie, a kiedy na obiedzie u matki, wszystko zaplanowane, odmierzone, wetknięte jak doniczki z kwiatami w odpowiednie miejsca. W soboty, jeżeli nie idzie do którejś z koleżanek, urządza prywatki u siebie. I właśnie w sobotę oświadcza nagle:

— Wychodzę za mąż za Zbyszka. Za dwa tygodnie ślub, zapraszam wszystkich na przyjęcie... Nie przychodźcie do urzędu stanu cywilnego, nie znoszę tych ceremonii. Spotkamy się tutaj! Będzie sporo picia, jedzenia, mam nadzieję, że dobrego, mama obiecała przygotować.

Zbyszek, kto to jest Zbyszek? Czyżbym go nie znała? Och! To ten adiunkt, on tu też jest, uśmiecha się, bierze Iwonę za rękę i tańczy z nią tango, ja się przyglądam, adiunkt Zbyszek, zapomniałam imienia. Tak, to ten wyniosły przystojniak, uwodziciel, małżeństwo lekarzy, rodzina lekarzy.

— Niezłe, niezłe — mówi ktoś do mnie — chce wejść do klanu. Ma rację, przy pomocy Iwony szybko zostanie profesorem.

— Bez jej pomocy zrobił doktorat — wtrąca jeden z tych młodych medyków, których ciągle nie odróżniam. Tak ich tu dużo, wszyscy są do siebie podobni, bawią się z wielkim entuzjazmem jak dzieci, na przekór chorobom, nieszczęściom, operacjom, sekcjom, bawią się na przekór śmierci. Z ich perspektywy życie dopiero nabiera wartości, kontrast ukazuje jego właściwą barwę i smak.

Oni też zatracają się w zabawie i tak teraz tańczą, Zbyszek, Iwona, ten sam Zbyszek, z którym chciałam zdradzić Stefana.

— To fajnie — mówię do niej. — Cieszę się, bardzo się cieszę. Iwona zostawia Zbyszka, podchodzi do mnie.

— Coś tak posmutniała — uśmiecha się rześście i szczerze — dlaczego nie tańczysz? Chodź! — prowadzi mnie do kuchni. — Wiesz mówi nie przestając się uśmiechać, wszystkiego mogłam się spodziewać tylko nie tego. Poszliśmy do łóżka i on zaraz po tym zapytał, czy wyjdę za niego. Znamy się od dwóch lat, nie zwracał na mnie uwagi i nagle się oświadczył. Co ty byś zrobiła? Ja się zgodziłam, no i jak widzisz, data ślubu została ustalona.

— Kochasz go?

— Kocham.

— Coś mi się wydaje, że nie.

— A ty myślisz, że poszłam z nim do łóżka tak sobie?

— Iwona? Znamy się nie od dziś, wiem, że nie jest to twój pierwszy chłopak... — Ty masz wypaczone pojęcie o miłości. Ze Zbyszkiem dużo nas łączy, wspólne zainteresowania, łóżko, tolerancja, wzajemny szacunek, lubimy się, to chyba wystarczy. Czyżbyś była zazdrosna?

— Jestem zazdrosna, ale o ciebie, z nim nawet nie spałam, powiedział ci, że byłam u niego? Nic między nami nie było.

— Tego mi nie powiedział...

— Właśnie. Mężczyźni nie lubią przyznawać się do swoich porażek... Nie wierzy mi, nawet ona, siedzimy w kuchni, pijemy coś i nic nie mówimy, może powiedziałyśmy sobie za dużo?

Padło od rana. Deszcz z siłą kilku wodospadów ściekał po rynnach, skakał perlistymi kroplami po dachu, wydzwaniając usypiające melodie. Wstałam wcześniej i posprzątałam kuchnię, starając się nie robić hałasu. Poprzedniego dnia zdałam ostatni egzamin i teraz nie wiedziałam, co z sobą począć. Poczucie pustki pchało mnie znów w ciemną dziurę. Uciekłam z niej, chwytając się prostych czynności.

Babcia jeszcze spała, przygotowywałam dla niej śniadanie i z niecierpliwością czekałam aż się obudzi. W jej obecności czas nie przepływał jak rzeka, nabierał sensu, godziny miały określony rytm, przestrzeń i przeznaczenie, można je było wypełnić rozmową, śmiechem lub chrupaniem kruchych ciasteczek.

Podeszłam na palcach do jej drzwi, nasłuchiwałam. I wtedy upiornym krzykiem rozdarł się dzwonek przy furtce. Przerazenie przykuło mnie do miejsca. W taką pogodę mógł zjawić się tylko zwiastun nieszczęścia. Postanowiłam nie otwierać, dzwonek zaskrzeczał ponownie, tym razem mniej głośno. Ciekawość wzięła górę nad obawami, wyrztałam zza firanki. Przed furtką w strugach ciepłego deszczu stał wysoki chłopak w dżinsach i trykotowej koszuli przylegającej do ciała. Twarz zalewała mu woda, a on patrzył z rosnącą rozpaczą w nasze okna. Pomyślałam, że pomylił adresy i chcąc mu pomóc wybiegłam przed dom.

— Iga? — wykrzyknął, jakby zobaczył kogoś dawno nie widzianego. — Ty jesteś Iga? — upewnił się. W jego głosie od razu wychwyciłam obcy akcent. — Dostałaś list? Jestem przyjacielem Stefana, mam na imię Peter. Przed godziną przyleciałem z Wiednia.

— Przyjacielem Stefana? — powtórzyłam z niedowierzaniem. — Skąd jesteś? Z Izraela? Jak się tu dostałeś? Nie zatrzymali cię? O Boże! Wchodź! — rzuciłam się do furtki. — Przemokłeś do suchej nitki. Taki deszcz!

— Od dwóch miesięcy nie widziałem deszczu, nic tylko bezchmurne niebo i upał... — z rozkoszą wystawiał twarz pod strumienie wody.

— Chodź! — wprowadziłam go do naszej kuchni, przyniosłam ręcznik i kazałam mu się przebrać. Dałam mu kapcie ojca, nastawiłam herbatę.

— Może kieliszek wiśniówki? — spytałam kręcąc się wokół stołu, byłam nieprzytomna, nie wiedziałam co mu zaproponować, gdzie go posadzić.

— A wiesz, chętnie się napiję, chociaż tam, w Izraelu odzwyczaiłem się od alkoholu. Oni nie piją, a u was?

— U nas piją i to przeważnie dużo. A skąd jesteś, masz dziwny akcent?

— Ze Szwecji, moi rodzice pochodzą stąd, z Nowego Sącza, dobrze wymawiam?

— Nie najgorzej. A co robiłeś w Izraelu, kiedy widziałeś Stefana?

Powiedz, jak on wygląda, jak się czuje? Dawno nie miałam od niego listu. Myślałam, że już nie napisze. Minał rok jak wyjechał. Czas działa na naszą niekorzyść. Mówiliśmy, że nic nas nie rozłączy, zrobili to oni, teraz czas jak zwykle w takich przypadkach dokonuje dalszego dzieła zniszczenia...

Wypiłam duszkiem kieliszek wódki, on swoją wachał, smakował, jakby się bał, że go otruję.

— Mów wolniej — poprosił decydując się wreszcie wychylić kieliszek do dna — nie wszystko zrozumiałem. Co się tyczy Stefana, to on pisał, że ja przyjadę i opowiem ci o nim. Więcej bał się napisać, nie chciał, żeby ktoś się czegoś domyślił. U was jest cenzura. Czytają zagraniczne listy... Nikt nas nie podsłuchuje?—jego wzrok powędrował odruchowo ku drzwiom, a potem ku oknu.

— Możesz być spokojny, nie mają powodów zakładać u nas podsłuchu. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, bez znaczenia, tak zwana szara masa, wiesz co to znaczy?

Skinął z powagą głową, jego jasne włosy wysychając zwijały się w drobne loczki. Poprosił o następną wiśniówkę.

— Nie upijesz się? — zażartowałam dolewając mu.

— Mam mocną głowę — stwierdził z powagą — ale przejdźmy do rzeczy. Jesteś o wiele ładniejsza niż na zdjęciach... Nie dziwię się Stefanowi, że robi wszystko, by się z tobą połączyć.

— Jak dotąd zrobił bardzo wiele — mruknęłam zgryźliwie. — Wyjechał.
— Ale przyjedzie.

— Gdzie? Tutaj? Nikt go nie wpuści, tu się trzyma ludzi w klatkach. Żyjemy za żelazną kurtyną, nie rozumiesz? Poza tym nie mamy stosunków z Izraelem. Kochamy Arabów...

— Wiem, wiem, nie musisz mi nic tłumaczyć. Stefan przyjedzie do Szwecji, tam się spotkacie.

— Mam rzucić się w pław przez Bałtyk? Tak? Bo innej drogi nie widzę?

— Wyjedziesz stąd legalnie jako moja żona. Rozumiesz? Weźmiemy ślub tutaj, w Szwecji się rozwiedziemy. Proste?

— Genialne! Naprawdę. I proste! Trudno wprost uwierzyć, żeby było możliwe. Kto wpadł na ten pomysł z wydaniem mnie za ciebie za męża?

— Oczywiście, że on. Słuchaj! Musimy się spieszyć, daj mi kawy, całą noc nie spałem, potem złapiemy taksówkę i pojedziemy do magistratu, tam gdzie dają śluby, musimy się zamówić czy zapisać, nie wiem, jak to się u was nazywa. Chciałbym jeszcze dziś wysłać depezę do Stefana z jednym tylko słowem: załatwione. Zgoda?

— Jasne! Hurra! — ucałowałam go w oba policzki. Z podniecenia i dzikiej niepohamowanej radości nie byłam w stanie zaparzyć mu kawy, ręce mi się trzęsły, śmiałam się, opowiadałam mu o nas, o Stefanie, o naszych listach, tęsknotach, o braku nadziei i możliwości istnienia wszystko to wyrzucałam z siebie jak zbędny ciężar.

Peter sam zaparzył sobie kawę i słuchał nie przerywając, chyba połowy nie zrozumiał. W gorączkowym podnieceniu mówiłam nieskładnie i szybko, słowa nachodziły na siebie, chrzęściły i szeleściły zbitkami przedniojęzycznych spółgłosek. Spoglądał na mnie oczami jak dwa księżycy i poruszał nieznacznie głową, zaznaczając w ten sposób, że wszystko rozumie.

Babcia się obudziła, wsunęła siwą głowę do kuchni i zdziwionymi oczami objęła potężną sylwetkę Petera:

— Co się stało? — spytała. — Dlaczego mówisz tak głośno?

— Och! Babciu! — wykrzyknęłam rzucając się z całym impetem ku niej.

— To jest Peter, przyjaciel Stefana, przyjechał z Izraela. Idziemy

właśnie do urzędu stanu cywilnego, żeby ustalić datę ślubu. Wychodzę za niego za mąż.

— Zwariowałaś? — wrzasnęła na mnie, czepiając się rękami futryny. — Ślub? Teraz, tak nagle, co ty wygadujesz?

— Pobieramy się na niby, dla formalności, żebyśmy mogła wyjechać do Stefana.

— Ach tak? — odetchnęła. — Dlaczego nie mówisz od razu. Czy Stefan wie o tym? — spojrzała surowo na Petera.

— To jego pomysł, prosił mnie, żebyśmy przyjechał do Polski, ponieważ on nie może, i ożenił się z Igą. Nie mogłem mu odmówić, on bez niej zginie.

— Ona też ginie — poinformowała go rzeczowo. — Stefan, powiadasz, że to jego pomysł? — taksowała go wzrokiem.

Peter powtórzył jeszcze raz to, co powiedział przed chwilą. Zależy mu na tym, żeby ślub odbył się możliwie szybko, chce wracać do domu, stęsknił się za rodziną, na szczęście nie ma dziewczyny. Gdyby miał, musiałby z nią uzgodnić decyzję o zawarciu związku małżeńskiego z Igą, a tak niczego nie musi, rodzice zazwyczaj przyjmują z zachwytem wszystkie jego altruistyczne uczynki. Więc i tym razem nawet okiem nie mrugną, kiedy im przywiezie żonę dla kolegi, z którą musiał wziąć ślub, żeby ją wyrwać z komunistycznego piekła.

— Cicho! — skarciła go babcia — ktoś może usłyszeć. W tym kraju nawet ściany mają uszy, o tym nie wolno ci zapominać, ściany, rozumiesz? — przysunęła się do stołu i spostrzegła kieliszki. — Nalej i mnie — rozkazała władczo i usiadła otulając się obszernym szlafrokiem. — Ochłodziło się, prawda? A ty kim jesteś? Szwedem, Rosjaninem czy Żydem? — spytała podnosząc z zadowoleniem kieliszek.

— Babciu! — popatrzyłam na nią z dezaprobatą.

— Zapytać nie wolno? Muszę chyba wiedzieć, za kogo moja wnuczka wychodzi za mąż?

— Jestem Szwedem.

— A skąd znasz polski.

— Moi rodzice są Polakami. Pochodzą z Nowego Sącza.

— Rozumiem, a teraz zapamiętaj, co powiem: Żenisz się z nią z miłości. Żadna fikcja! Żaden interes! Lepiej z nikim o tym nie rozmawiać, załatwić co trzeba w urzędzie stanu cywilnego, wziąć

świadków, najlepiej Iwonę, ona się nie wygada, a zresztą nie musi znać prawdy. Lepiej, żeby nie znała, wszystko powinno wyglądać naturalnie, przekonywająco. Weź metrykę, dowód i jedźcie na Wiśniową. Rodziców biorę na siebie. Gdy wrócą z pracy, wytłumaczę im co i jak, lepiej żeby cię przy tym nie było. Dziewczynkom też lepiej nic nie mówić, one nie potrafią trzymać języka za zębami, z igły gotowe zrobić widły, już takie są. — Uśmiechnęła się rozgrzeszając je tym uśmiechem z lekkomyślności i wścibstwa. — No to powodzenia — uniosła kieliszek z wiśniówką i nie czekając aż ja naleję Peterowi — wypila.

Udało nam się złapać taksówkę, co graniczyło wprost z cudem. Na naszej uliczce taksówki należą do rzadkości, czasem przyjeżdżają nimi mieszkańcy z innych dzielnic, którzy nie mogą się rozeznąć w numerach. Ze Śródmieścia kierowcy niechętnie zabierają pasażerów w tę stronę i każą sobie płacić za powrót. Tym razem kierowca bez żadnych grymasów zgodził się zawieźć nas do urzędu stanu cywilnego, gdzie maleńki urzędnik ubrany w przepisowy szary garnitur przyjął nas niezwykle uprzejmie, podniósł się na nasz widok zza biurka, przywitał i wskazał nam miękkie fotele.

— Chcieliśmy zawrzeć związek małżeński — powiedziałam, nie dopuszczając Petera do głosu. Bałam się, że on swoim cudzoziemskim akcentem zrazi do siebie szarego pana.

— Poproszę o dowód — urzędnik zwrócił się do mnie, a gdy mu go podałam, zapytał czy mam metrykę. Miałam. Z wielką uwagą, a nawet z namaszczeniem obejrzał jedno i drugie.

— W porządku — orzekł częstując mnie oficjalnym uśmiechem. — Pani dokumenty nie budzą zastrzeżeń — odłożył je na bok i zwrócił się do Petera, który podał mu usłużnie swój paszport.

— O! Pan jest cudzoziemcem — zawołał takim tonem, jakby to było coś nagannego. — Skąd? — spojrzał na mnie, sądząc, że Peter nie rozumie.

— Ze Szwecji — odpowiedział Peter — ale moi rodzice pochodzą z Polski.

— O, mówi pan nawet po polsku — ucieszył się urzędnik.

— Trochę — uśmiechnął się skromnie Peter, urzędnik wertował jego paszport.

— Bardzo mi przykro — westchnął z prawdziwym żalem, nie zdejmując oczu z paszportu — ale jest pan niepełnoletni.

— Co to znaczy? Nie rozumiem! — zdziwił się Peter — skończyłem 20 lat.

— Ale u nas mężczyzna dwudziestoletni w pewnym sensie jest niepełnoletni. Dopiero po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia może zawrzeć związek małżeński.

— A kobieta?

— Kobięcie wystarczy 18 lat.

— I to jest to wasze słynne równouprawnienie? U nas jestem pełnoletni, mam paszport, studiowałem za granicą, brałem udział w wyborach.

— U nas też mógłby pan głosować, studiować, no i pracować, ale ożenić się pan nie może, takie jest prawo. Ja go nie wymyśliłem, są jednak wyjątki, w wyjątkowych przypadkach sąd udziela zezwolenia na zawarcie małżeństwa.

— Jakie to przypadki? — spytałam, siląc się na spokój, chociaż czułam, że wałą się na mnie ściany.

— Cięża...

— Tylko?

— Chyba tak.

— W takim razie przepraszamy — wstałam. — Zabraliśmy panu niepotrzebnie czas, ale nie wiedzieliśmy, nikt nas nie poinformował...

— Ale teraz już wiecie, przyjdziecie za 10 miesięcy z dowodami i metrykami i dam wam ślub bez żadnego ale — uśmiechnął się, dodając nam w ten sposób otuchy. — Wstał, uścisnął nam ręce. — Cóż zrobić — mamrotał wciąż się usprawiedliwiając — takie są przepisy, prawo jest prawem... Wyszłam na ulicę podtrzymywana przez Petera, już nie padało. Słońce jak na ironię wypłynęło zza chmur i wypijało wodę z kałuży. Ja trzymałam się ręki Petera, nie wiedząc dokąd on mnie prowadzi, znów byłam w dziurze, w samym jej wnętrzu. Promień światła, który zamigotał na chwilę, zgasł bezpowrotnie.

Peter zaprowadził mnie do taksówki, wróciliśmy do domu. Rodziców jeszcze nie było. Babcia wysłuchiwała naszej relacji i machnęła ręką.

— Nie ma się czym przejmować — orzekła — za rok Peter przyjedzie i weźmiecie ślub. Zrobisz to dla Stefana, prawda?

— Nie ma sprawy — ujął mnie za rękę i potrząsnął nią z całej siły — słowo się rzekło, kobyłka u płota, tak się u was mówi, prawda?

Babcia potwierdziła skwapliwie. Ja nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu, sięgnęłam po wiśniówkę i napiłam się znowu. Peterem nie potrzebowalam się zajmować, babcia wniosła na stół swoje kruche ciasteczka i zasypała go pytaniami o Izrael i Szwecję. Ja piłam i nie miałam ochoty włączać się do rozmowy. Dziura, do której znów wpadłam była bardzo głęboka, nie docierał do niej nawet najślabszy promień. Dzięki wiśniówce nie sięgnęłam dna, tkwiłam w błogim stanie zawieszenia, w jakiejś kosmicznej próżni.

Kiedy rodzice wrócili z pracy, nie nadawałam się do niczego, podobno bredziłam coś o ślubie pod baldachimem, martwiłam się o obrączki, o gości weselnych. Oburzona mama wyprowadziła mnie z kuchni i wpakowała do łóżka, ale ja nie chciałam się uspokoić, nie chciałam spać, śpiewałam: „Ten ślub, ten gwałt, ja sobie wyobrażam, na rynku cały tłum...”. W końcu jednak zasnęłam. Nic z tego nie pamiętam. Następnego dnia Peter wyjechał do Nowego Sącza.

Zdziwiłam się ogromnie, gdy po miesiącu otrzymałam od niego grubą kopertę, a w niej kopię listu, który za radą Stefana wysłał do ministra spraw wewnętrznych. W liście tym, napisanym niezbyt składną polszczyzną, opisywał głównemu ubekowi nasze uczucia i prosił go o wyrażenie zgody na mój przyjazd do Szwecji, gdzie bez żadnych przeszkód formalnoprawnych będziemy mogli wziąć ślub. Przekonywał go z ogromnym żarem, że to dla nas sprawa życia i śmierci, umrzemy za sobą z tęsknoty. Nie groził samobójstwem, broń Boże, po prostu pisał, że od przyjazdu z Polski nie śpi i nie je, schudł dziesięć kilogramów, rodzice są przerażeni, co potwierdzili skwapliwie dołączając formalne zaproszenie dla mnie. Stefan twierdził, że Polacy wyrażą zgodę na mój przyjazd. Mają różne wady, włącznie z antysemityzmem, ale są romantyczni, rycerscy i sentymentalni.

Babcia skwitowała ten list wzruszeniem ramion.

— Biedne dziecko! — westchnęła współczująco, mając na myśli

Stefana — nie wie, czego się chwycić. Przypisuje Polakom cechy, których się dawno wyzbyli. Roman ty czność, rycerskość należą nieodwołalnie do przeszłości, teraz tryumfuje wszechwładne chamstwo, ale nie pisz mu o tym, niech nie traci nadziei. Tak czy inaczej wyjedziesz, jak nie na winobranie, to jako żona Petera za kilka miesięcy. Tych kilka miesięcy przeleci jak z bicia trząśł.

— Babciu! To już drugi rok. Ja nie mam siły, opuściła mnie wiara, zaczynam tracić nadzieję — wyszeptałam złamanym głosem, hamując gniew.

— Tego ci nie wolno! Pamiętaj! — pogroziła mi palcem. — Możesz się upijać, awanturować, gniewać się, wariować, ale nie wolno ci tracić nadziei, bez niej twoje życie też straci sens... Ja wiem, serce mi to mówi, że już niedługo się spotkacie i będziecie żyli szczęśliwie... Starzy ludzie rzadko się mylą, więc słuchaj, co mówię i bądź cierpliwa. Zadzwoń do Iwony, zapytaj, co z tym zaproszeniem na winobranie, czy możesz na nie liczyć, czy masz szukać innych sposobów... Trzeba pomyśleć o jakiejś wycieczce, tylko skąd wziąć na to pieniądze?

— Iwona wyjechała na obóz, rozmawiałam z nią, ona radziła to samo co ty, czekać cierpliwie. Więc czekam, chociaż wszystko się we mnie gotuje.

— Wiesz co? Chodźmy do kina, dzisiaj nic nie wymyślimy, może jutro? Jutro było takie samo jak wczoraj, z tą różnicą, że nadszedł list od Stefana, przepelniony tą samą udręką, która była moim udziałem. Wyłowiałam ją z niedomówień i aluzyjek.

Teraz, żeby nie pomieszać Peterowi szyków, Stefan stał się nagle ostrożny, pisał właściwie o nim, o jego staraniach, nadziejach, wyrażał przekonanie, że minister pójdzie nam na rękę, każdemu jest przecież przyjemnie zrobić coś dla drugiego człowieka, zwłaszcza że go to nic nie kosztuje...

Piątego dnia przyszło wezwanie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Właściwie przesadam mówiąc o wezwaniu, było to zaproszenie na rozmowę sformułowane bardzo uprzejmie.

Stawiłam się na Rakowieckiej o wyznaczonej godzinie, tam mi wypisano przepustkę i drab ubrany w mundur wprowadził mnie do kobiety niewiele ode mnie starszej, dosyć ładnej, która dowiedziawszy się, kim jestem, powiedziała:

— Ma pani szczęście. Minister wrzucił się listem narzeczonego i polecił pani wydać paszport.

— Czy to znaczy, że będę mogła wyjechać? — wydawało mi się, że śnię.
— Dokładnie to.

— Och! Dziękuję. Nie sądziłam, doprawdy, jestem taka szczęśliwa — zerwałam się z krzesła, podbiegłam do okna, nie wiedziałam, co robię, chciałam ją ucałować, powstrzymałam się w porę i z ogromną uwagą wysłuchałam jej rad. Rozmawiała ze mną życzliwie, z uprzejmym uśmiechem, jak dobra koleżanka. Przez chwilę zapomniałam nawet, gdzie się znajduję.

Następnego dnia zaniiosłam potrzebne dokumenty do biura paszportów, przyjęto je tak samo jak inne i kazano mi zgłosić się po odpowiedź za dwa tygodnie.

— Przewiduje pani trudności? — spytałam urzędniczki w okienku.

— Ja nie jestem od przewidywania — ofuknęła mnie ostro. — Kto następny! — poprosiła o dokumenty stojącego za mną mężczyznę... Wróciłam zgaszona do domu i wypilałam kilka kieliszków wiśniówki. Naprawdę nie byłam w stanie dłużej czekać.

Któregoś dnia rano, tak jak przed rokiem, zaterkotał niecierpliwie dzwonek przy furtce. Na listonosza było za wcześnie. Uchyliłam firankę i poczułam jak krew odpływa mi z mózgu. Przed naszym domem stali dwaj panowie z UB, blady anemiczny major i dziarski porucznik z okrągłą twarzą i odstającymi uszami. Obaj z wielką uwagą wpatrywali się w drzwi wejściowe, ignorując z uporem okno, przez które wyglądałam. Dyskretnie opuściłam firankę i zastanawiałam się, co zrobić. Wpuścić ich czy konsekwentnie udawać, że nie ma mnie w domu?

W końcu zdecydowałam się porozmawiać z nimi przez furtkę i wyszłam. Na mój widok ukłonili się grzecznie i zapytali, czy ich poznaję.

— Tak, oczywiście — mruknęłam nieprzyjaźnie. — O co chodzi? Czy znowu wysłałam jakiś list do „Wolnej Europy“?

— Chcieliśmy porozmawiać. Nie zaprosi nas pani do domu?
— Nie — zrobiłam stanowczy ruch głową.
— Mamy rozmawiać przez płot? — zapytał ostro major, nawykły widać do wydawania poleceń.
— Czemu nie? Tu nikt nie podsłuchuje — popatrzyłam na nich bez lęku
— sąsiedzi, jak pan widzi, daleko, zresztą o tej godzinie nikogo nie ma. Wszyscy w pracy...
— No więc złożyła pani podanie o paszport? — spytał nieco łagodniej major.
— Tak, złożyłam. Co w tym dziwnego? Powiedziano mi, że dostanę. Mam pismo z ministerstwa.
— My w tej sprawie — wtrącił porucznik słodkim głosem.
— Są jakieś kłopoty? — popatrzyłam z przerażeniem na majora. Udał, że nie słyszy.
— Napisała pani, że jedzie na dwa miesiące. Czy tak? — przyjrzał mi się badawczo.
— Nie wiem, może wrócę wcześniej, może wyjdę za mąż i zostanę w Szwecji. Najpierw muszę zobaczyć, jak tam jest. Jeżeli mi się spodoba, to zostanę. Jeszcze niczego nie zdecydowałam...
— Jeżeli pani zostanie, zamieszka w Szwecji... — urwał i znów badał mnie wzrokiem, a ja się zlekłam, że już wywęszyli, domyślają się, że nie chodzi o Szwecję.—Jeżeli pani nie wróci — ciągnął dalej — to po dwóch miesiącach, no, powiedzmy po trzech, zgłosi się do pani nasz człowiek.
— Jak go poznam?
— To już jego w tym głowa.
— Ale po co on ma się do mnie zgłaszać?
— Jest pani obywatelką Polski Ludowej — zaczerpnął tchu—pani obowiązkiem jest służba ojczyźnie. — Siłąc się na patetyczny ton poinformował mnie major.
— Tak, oczywiście — potwierdziłam skwapliwie, chcąc się im przypodobać.
— Więc jeżeli ten człowiek się zgłosi, proszę mu odpowiadać na pytania, nic więcej. — Mam odpowiadać na pytania — powtórzyłam jak pilna uczennica. — Dobrze, niech się zgłasza.
Wymienili zadowolone spojrzenia, widocznie spodziewali się odmowy.

— Mamy nadzieję — odezwał się porucznik, chrząkając. W dalszym ciągu nie patrzył na mnie, lecz w oczach bladego majora, rzucającego mi od czasu do czasu ukośne spojrzenia poprzez sztachety, szukał aprobaty.

— A więc mamy nadzieję — powtórzył — że będzie pani chciała przyjeżdżać do kraju, odwiedzać rodziców.

— Chcecie mi zabronić? — wykrzyknęłam z oburzeniem, zapominając, że chciałam się im przypochlebić.

— Ależ skąd? — uśmiechnęli się serdecznie, miło — nie ma powodów. Od czasu do czasu porozmawia pani z tym człowiekiem...

— Który się do mnie zgłosi? — upewniłam się.

— Właśnie. Wówczas nie będzie żadnych przeszkód, absolutnie żadnych

— zapewnił mnie pospiesznie major,

— Dobrze, ale o co on będzie mnie pytał? Przecież ja nic nie wiem.

— Och! Dowie się pani. Z pani urodą nie będzie to trudne, nawiąże pani kontakty z Polonią, ze Szwedami. Wychodzi pani za męża za Szweda?

— Za Szweda. A więc mam donosić o Polakach i o Szwedach?

— Po co zaraz takie słowa? Porozmawia sobie pani z tym panem, wypije pani kawę i podzieli się swoimi spostrzeżeniami. To miły człowiek, zna się na literaturze, chodzi na koncerty...

— Gównno!

— Co pani powiedziała? — spojrzeli po sobie zaskoczeni.

— Nie będę z nim rozmawiać ani o literaturze, ani o Polakach, ani o Szwedach. Proszę na mnie nie liczyć.

— Szkoda, wielka szkoda — nie przestawał uśmiechać się major — myśleliśmy, że zależy pani na kontaktach z rodziną, mogłaby pani przyjeżdżać do Polski co miesiąc...

— W nagrodę za donosy i szpiegowanie?

— Och! Nikt nie wymaga od pani szpiegowania. Wystarczy inteligencja i dobra pamięć.

— Źle panowie trafili. Jestem wyjątkowo tępa, a pamięć też mi ostatnio nawala.

— No cóż — westchnął blady major z prawdziwym żalem — zawiedliśmy się na pani, ale nasz człowiek za kilka miesięcy nawiąże z panią kontakt. Mam nadzieję, że czas zrobi swoje, zatęskni pani za mamą, zechce się pani zobaczyć z koleżankami...

— Nie dacie mi paszportu? — uśmiechnęłam się drwiąco.

— Ależ skąd — zaprzeczył łagodnie — paszport jest już gotowy. Może go pani odebrać chociażby dziś, nie mamy powodów zatrzymywać pani, nam nawet zależy, żeby pani wyjechała. Czas robi swoje, przekona się pani, a ten człowiek się zgłosi.

Machnęłam ręką, niech się zgłasza, nie miało to praktycznie żadnego znaczenia, chodziło o zachowanie twarzy i bycie sobą, co dla mnie też było ważne. Odmówiłam współpracy. Wiedziałam jednak, że dla nich to betka, nic nie znaczący szczeniacki gest, nie takich jak ja łamali, wymuszali na nich działania niezgodne z sumieniem, z elementarnym poczuciem przyzwoitości. Donosy tępi się w szkołach, od przedszkoli wbija się dzieciom do głów, żeby nie skarżyły na siebie, nie szpiegowały, a oni... Machnęłam ręką, co mogli poczytać za rezygnację z mej strony. Ukłonili się, dobrze wychowani panowie — porucznik i major, szychy można powiedzieć. Oficerowie z wyższym wykształceniem namawiali mnie, studentkę pierwszego roku, do składania donosów.

— Aha! — zawrócił major — proszę nikomu nie mówić o naszej wizycie... — A jeżeli powiem, to co?

— Sprawy z wyjazdem mogą się skomplikować, chyba, że pani nie zależy?

— Zależy. Do widzenia panom — wbiegłam szybko do domu i obserwowałam ich przez okno. Szli bez pośpiechu do samochodu zaparkowanego nie opodal, zadowoleni z siebie, uśmiechnięci, na luzie. Z lubością wdychali czyste powietrze peryferyjnej dzielnicy, a ja klęłam z wściekłości i oburzenia, biegałam nieprzytomnie po całym domu aż obudziłam babcię. Tym razem nic jej nie powiedziałam, bałam się o ten paszport, wsiadłam czym prędzej w autobus i pojechałam na Kruczą. Paszport dostałam bez żadnych problemów, a ponieważ miałam zamówiony bilet na samolot, spakowałam potrzebne rzeczy i zadzwoniłam do Iwony. Spotkałyśmy się w „Nowym Świecie”. Iwona przyszła sama, bez Zbyszka, za co w jego imieniu długo mnie przeproszała, tłumacząc, że nie mógł się urwać z kliniki. Wolałam, że tak się stało, stosunki między nim a mną od pierwszego niefortunnego spotkania były jakieś sztuczne i dziwnie napięte. Lepiej więc, że on nie mógł przyjść.

Iwona wyładniała. Z prostymi włosami związanymi w kucyki wyglądała na lat szesnaście. Krótka, letnia sukienka odsłaniała smukłe opalone nogi, które ona zawsze eksponowała umiejętnie, podobnie jak gładkie, niezwykle wysokie czoło i cienką alabastrową szyję. Zafundowała mi wuzetkę oraz lampkę wina i z wypiekami na twarzy słuchała moich opowieści o Peterze.

— Wszystko na to wskazuje — powiedziałam kończąc — że ja nie wrócę. Stefan przyjedzie do Szwecji i stamtąd ruszymy dalej.

— Napisz do mnie ze Szwecji. Muszę wiedzieć, czy się udało, czy wszystko okay. Nie chcę jednak, żeby ubecja wiedziała w czym rzecz, po prostu napisz, że spotkałaś starego kumpla i jedziesz z nim na wycieczkę.

— Napiszę wprost, nic mi już nie zrobią, będę wolna, rozumiesz, co to znaczy wolna?

— Nie, nie rozumiem — roześmiała się — weź jednak pod uwagę fakt, że ja tu zostaję i nie nazywaj niczego po imieniu. Dobrze? Nauczyłam się żyć z pewnymi ograniczeniami, nic na to nie poradzę.

— Nie chcesz stąd prysnąć?

— Nie. Ale pojedziemy ze Zbyszkiem na winobranie, rozejrzemy się po świecie. Przyszły te zaproszenia. Dla ciebie również.

— Dziękuję. Zawsze byłaś dla mnie dobra. Mam nadzieję, że przyjedziesz do nas. Kiedyś wreszcie muszą otworzyć granice, nawiązać stosunki ze światem.

— Wątpię. Popatrz, jak to wygląda u naszych sąsiadów, pięćdziesiąt lat za żelazną kurtyną, ale nie martw się. Już ja znajdę sposób, żeby do was przyjechać, tego możesz być pewna. I nie płacz! — dodawała mi siły uśmiechem — a gdyby coś, pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć.

— Wiem. Dziękuję. Pożegnaj ode mnie Zbyszka.

Na ulicy nie mogłyśmy się rozstać, miałyśmy sobie tyle jeszcze do powiedzenia. W końcu wsiadłam w autobus, a ona została na przystanku.

Przed moim wyjazdem w domu zrobiło się cicho jak przed pogrzebem. Siostry zazwyczaj hałaśliwie i nieznośnie zaczęły nagle rozmawiać szeptem.

— Ty już nie wrócisz? — pytały co chwila — nie wrócisz? Prawda, że nie wrócisz? Pusto będzie bez ciebie — przyłgnęły do mnie z obydwu stron, ścisnęły mnie, całowały. — A Stefan, Stefan tu nie przyjedzie?

— Nie pozwolili mu, nie odpowiedzieli na jego podanie, nie zdobyli się nawet na to, żeby mu napisać dwa zdania.

— A do Szwecji przyjedzie? Pozwolą mu? — pytały nie rozumiejąc, o co tu chodzi.

— Mam nadzieję. Szwecja to wolny kraj...

— A u nas jest okupacja?

— Właśnie, ale o tym nie należy mówić, wszyscy o tym wiedzą i nie mówią, wy też nie powinniście mówić. Jadę do Szwecji na zaproszenie Petera, być może wyjdę za niego za męża. To wszystko, na temat Stefana ani słowa.

— Mama wie, że ty nie wrócisz?

— Tak, wszyscy w domu wiedzą, ale to nasza tajemnica. Dopóki nie dojadę do Szwecji, a i później też, lepiej trzymać się jednej wersji. Pokiwały ze zrozumieniem głowami i nie zadawały więcej pytań. Babcia na pożegnanie powiedziała:

— Iguś, kochana, ja cię już nigdy nie zobaczę. Pisz do mnie, pamiętaj, i przysyłaj zdjęcia. Ucałuj mocno Stefana i pozdrów go serdecznie.

Widzisz, ja od pierwszej chwili, pamiętasz, od tego momentu, gdy przyszliście razem, wiedziałam, że ten chłopak jest przeznaczony dla ciebie. Wiedziałam, że nikt cię nigdy nie będzie tak kochał jak on.

— Nie chcę, żeby mnie ktokolwiek kochał, to znaczy kto inny...

— Wiem, dziecko, wszystko będzie dobrze.

Taka została mi w pamięci, mała drobna staruszka z trzęsącymi się ramionami, powstrzymująca na próżno łzy. Tatuś na dworcu był bliski płaczu, on zawsze taki twardy, surowy, opanował się z trudem.

— Iguś! — powiedział przejmująco i cicho — Nie mam o nic pretensji i wszystko rozumiem. Pozwól więc, że powtórzę za Faulk-nerem, wprawdzie pogoń za szczęściem nie ma sensu, ale warto poświęcić dla niej życie. Mama szeptem udzielała mi rad. Jeżeli będzie źle, jeżeli zauważę, że Stefan się zmienił, mam wracać natychmiast do domu.

— Pamiętaj o tym — powtórzyła kilka razy.

— Tak, tak — bąkałam myśląc o czym innym. Mama chciała coś

jeszcze powiedzieć i jak zwykle zabrakło jej odwagi, ale ja i bez tego wiedziałam, o co jej szło. Kochała mnie i ten wyjazd był dla niej strasliwym ciosem, kto wie, czy nie klęską. Pojęcia nie miała, czy się z nią upora, jedno miejsce w naszym domu tak ciasnym i małym stało się nagle puste.

Peter czekał na mnie w porcie lotniczym niezwykle podniecony i zdenerwowany, do ostatniej chwili nie wierzył, że mnie wypuszczą.

— Szybciej — ponaglał, kiedy się rozglądałam po jasnym przestronnym dworcu. — Stefan dzwonił.

— On tu już jest? — moje serce podskoczyło gwałtownie, jakby chciało wyrwać się z piersi.

— Przyleci, jak się tylko upewni, że ty tu jesteś. On też do ostatniej chwili nie wierzył, że cię wypuszczą. Jedziemy, on zaraz zadzwoni.

— Naprawdę usłyszę jego głos?

— Szybciej, szybciej — nie przestawał mnie popędzać — on tam dostanie zawału, nie masz pojęcia, w jakim on jest stanie.

Dzwonił, dzwonił — powtarzałam jak idiotka. — Czyż ja naprawdę tu jestem? Za chwilę będę z nim rozmawiać, a za dwa, trzy dni go zobaczę? Nie wierzyłam, zdawało mi się, że śnię, bałam się, że ktoś głośniejszy krzyknie i ja się obudzę.

Nie pamiętam drogi z lotniska, ulic, domów, niczego. Mój ówczesny stan psychiczny wymyka się różnym klasyfikacjom. Byłam jak rozbitek, który dotarł szczęśliwie do brzegu, ale jeszcze nie stanął własną stopą na twardym gruncie. Zbliżałam się do celu i nie wierzyłam, że to już, już, jeszcze dzień, dwa. Boże! Boże! Tyle godzin, czym je wypełnić?

Ogarnęło mnie strasliwe zmęczenie, to było chyba normalne. Po stanach napięcia następuje zazwyczaj rozluźnienie, które i mnie opanowało.

Pamiętam, że Peter wprowadził mnie do obszernego salonu w dużym drewnianym domu na przedmieściu Sztokholmu. Od razu zapadłam się w jakiś fotel i ledwie się z niego wygramoliłam, by przywitać się z jego matką. Ona uściskała mnie z taką radością, jakbym była

członkiem rodziny. Cieszy się, powiedziała, że mogli mi pomóc, zapytała o podróż i czego się napiję.

— Och! Wszystko jedno — otarłam pot z czoła, wzięłam od niej szklanke i piłam sok greipfrutowy z dżinem. Czułam, jak ten ostatni rok bez niego zapada się, odchodzi, a wraz z nim ta straszna czarna dziura, z której nie mogłam się wydostać.

A po dwóch dniach z Peterem i jego siostrą pojechaliśmy na lotnisko.

Oczywiście zjawiliśmy się o wiele za wcześnie, bo ja nie mogłam usiedzieć w domu. Bałam się, że w ostatniej chwili stanie się coś, co mnie oddali od niego. Bałam się katastrof, zamachów. On miał przybyć z Izraela samolotem El Alu, a właśnie na te samoloty arabscy terroryści urządzali zasadzki na wszystkich lotniskach świata.

Peter przyniósł nam coś do picia i czekaliśmy pałac. Dopiero wówczas zwróciły moją uwagę ogromne przeszklone sale, ozdobione zielenią, posadzki, okna, ściany, balustrady, przejścia, wszystkie krzyczały o innej, lepszej cywilizacji, w powietrzu unosił się przyjemny zapach, otaczali mnie ludzie dobrze odżywieni, schludni, nastawieni życzliwie do siebie nawzajem. Wszędzie było niezwykle czysto, błyszcząły podłogi, nikle, szkło, aluminium. Trzymałam kurczowo Petera za rękę, bojąc się zgubić w tłumie.

— Czy on nas zobaczy? Czy jego samolot już wylądował, która godzina?

— zasypywałam ich pytaniami, a oni oboje odnosili się do mnie wyrozumiale jak do trudnego dziecka. Tłumaczyli, uspokajali, a ja oblewałam się potem i dostawałam dreszczy.

Chwilami zdawało mi się, że czekam na próżno. Wreszcie zobaczyłam go, stał w kolejce do okienka, gdzie sprawdzano paszporty. Opalony, wysoki, starszy, tęższy, rozglądał się nerwowo, zobaczył Petera i mnie, wyrwał się z kolejki, podbiegł do żołnierza sprawdzającego dokumenty, pokazał mu swój paszport. Mówił coś, gestykulował, wreszcie żołnierz dał się przekonać i pozwolił mu przejść, wtedy on rzucił się pędem do mnie, porwał mnie w ramiona ścisnął, całował:

— Czy to ty? Naprawdę ty? Iga kochana! Wytęskniona moja. Teraz się już nigdy nie rozstaniemy. Nigdy, nigdy...

— Stefan! Najdroższy — całowałam go w oczy, włosy, śmiałam się i płakałam. Teraz już nigdy, nigdy — powtórzyłam za nim.

Ktoś z tej kolejki do okienka popatrzył na nas z dobrotliwym uśmiechem i wskazując na mnie powiedział: „To jest ta insulina”. Kolejka zawtórowała mu śmiechem.

— Zaraz wam wszystko wyjaśnię — powiedział Stefan, witając się z Peterem i jego siostrą. — Kiedy zobaczyłem tu igę, nie mogłem wytrzymać, podbiegłem do tego żołnierza i powiedziałem, że jestem cukrzykiem, że słabnę, muszę natychmiast dostać zastrzyk z insuliny. Żołnierz przepuścił mnie bez kolejki. — Insulina — usłyszałam z ust kolejnego przechodnia, jego słowom towarzyszył sympatyczny uśmiech. — Stefan! Iga! — powtarzaliśmy bez końca nie mogąc oderwać się od siebie, jednak przytomny Peter przywołał nas do porządku.

Pojechaliśmy do rodziców Petera, którzy przywitali nas szampanem. Najpierw wszyscy wypili nasze zdrowie, potem Stefan wznosił toasty. Piliśmy zdrowie wspaniałej rodziny Petera i jego, potem piliśmy za romantycznych Polaków, czyli ministra spraw wewnętrznych i jego współpracowników, dzięki którym list Petera nie utonął w ministerialnych biurkach.

Po tym toaście, wśród ogólnej radości i śmiechu odprawiono nas do sypialni na górę. Tam rzuciliśmy się na olbrzymie małżeńskie łoże, śmiejąc się nieprzytomnie. Nie od razu wróciła dawna bliskość. Patrzyliśmy na siebie onieśmieleni i oszołomieni, jakby nie wierząc własnym oczom, tysiące pytań cisnęło się na usta.

— No, jaką miałaś podróż? — dopytywał się Stefan. — Jak mama, ciągle ma do mnie żal? A siostry? Wydoroślały. A ojciec, co on ci powiedział, że pogoń za szczęściem nie ma sensu, ale warto dla niej poświęcić życie, no, no. Nigdy nie sądziłem, że go coś interesuje poza chemią. A jak wygląda Warszawa? Nowy Świat? Krakowskie Przedmieście? Masz jakieś zdjęcia? Nie odwracaj się, niech ci się przyjrzę. Spoważniałaś, włosy ci ściemniały, zmieniłaś uczesanie i jesteś jeszcze piękniejsza.

— Ty też wyprzystojniałaś, twoje włosy pojaśniały, przytyłaś. Moja mama byłaby rozczarowana, nie mogłaby już straszyć mnie gruzlicą. Kocham cię.

— Kocham, kocham, słyszysz jakie to dźwięczne słowo? Bez zgrzytów, szumów i świstów, słowo jak kielich z czystego szkła, musimy uważać, żeby go nie rozbić.

— Słuchaj! — zmarszczył się nagle — czy robili ci jakieś trudności, rewidowali cię? Jak się czuje babcia? Co na to Iwona? Jak wygląda szkoła? Nie chodzisz tam? A co na uniwersytecie?

— Nic. Brakuje niektórych kolegów, ciebie, paru wykładowców i asystentów, za to karmią nas marksizmem-leninizmem, ale nie mówmy o tym, powiedz jak się czują twoi rodzice? Zdrowi? I co mówią na mój przyjazd?

— Cieszą się.

— Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć.

— Zobaczysz! Przekonali się wreszcie, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

— No to wypijmy ich zdrowie.

Na stoliku stała butelka szampana, kieliszki, owoce, chipsy. Wszystko przygotowała siostra Petera, która chciała, żebyśmy się czuli u nich jak u siebie. Wzruszyła ją nasza miłość i podziwiała nasz upór oraz determinację w pokonywaniu przeszkód.

Wypiliśmy po lampce szampana i wreszcie, wreszcie po tylu miesiącach tęsknot, nie spełnionych snów poczułam jego ciepłe dłonie na swoich piersiach, odnalazłam jego zapach i odchodzący w zapomnienie smak pocałunków. Od nowa wyznawał mi miłość, mówił czułym szeptem o swojej tęsknocie, o mece. Ja nic nie mówiłam, słowa były bezsilne wobec tego, co czułam. Pierwsze zbliżenie było takie niewinne jak za pierwszym razem, więcej było w nim napięcia, wzruszenia niż seksu. On wyznał z pewnym zażenowaniem, że mnie nigdy nie zdradził. Uśmiechnęłam się, sądził, że poddaje jego słowa w wątpliwość, i uderzył! się w piersi i zawołał: przysięgam, że nigdy, nigdy...

— Wiem, głuptasie, bo ja też nie. Nie musisz mówić, ja to wiem bez słów... Chciałam cię zdradzić, chciałam zapomnieć, wyrzucić z serca, ale w miarę tych starań moje uczucia do ciebie krzepły, umacniały się, to jest choroba, straszna przypadłość... Gdyby nie Peter, wyjechałabym na winobranie, dłużej nie mogłam czekać, wytrzymałość ludzka też ma granice, poza nimi jest już psychoza, depresja i schizofrenia.

Pokrywałam pocałunkami każdy centymetr jego ciała, on mnie pieścił niezwykle delikatnie, tkliwie, bał się mocnych uścisków, byłam według niego krucha i wiotka. Ten rok poczynił zmiany w moim wyglądzie, zmizerniałam, przybladłam, z czym mi podobno do twarzy.

Lęka się jednak o moje zdrowie, więc teraz przy nim będę się musiała dobrze odżywiać, dużo spać, pływać, biegać, aż nabiorę sił i zmęcznieję, on przecież rozrósł się, utył.

Kochaliśmy się przez cały wieczór i całą noc, zapadając na chwilę w krótkotrwałą drzemkę, nikt nam nie przeszkadzał, nie zeszliśmy na kolację, wystarczyły nam owoce i szampan.

Zapomnieliśmy o rodzinie Petera, byliśmy im wdzięczni za to, co dla nas zrobili, ale w tym momencie nie mieliśmy ochoty oglądać ich i rozmawiać z nimi. Oni to rozumieli, do niczego nas nie zmuszali, niczego nie proponowali. Następnego dnia, kiedy zeszliśmy na dół, Peter majstrował przy rowerze, a jego siostra kroїła w kuchni jarzyny.

— Wiecie, która godzina? — spytała z figlarnym uśmiechem.

— No... jest chyba rano — odpowiedziałam niepewnie.

— Dwunasta, zaraz będzie lunch, zjemy i pojedziemy do miasta, mam nadzieję, że chcecie zobaczyć jak wygląda Sztokholm?

— Jasne—odpowiedział bez entuzjazmu Stefan, patrząc na mnie — musimy przede wszystkim zarezerwować bilety do Wiednia.

— Już to za was zrobiłam, macie jeszcze trzy dni — roześmiała się i dalej kroїła jarzyny. Nóż w jej rękach błyskał jak klinga. Czarna grzywka zsuwała się uporczywie na oczy kipiące radością. Nie była ładna, niewysoka brunetka, z wyraźnie zarysowanymi kształtami, o pospolitej twarzy z wysokim czołem i dużym perkatym nosem. Pogoda ducha, życzliwość i energia czyniły ją ponętą i miłą. Z tych trzech dni w Sztokholmie zostało mi w pamięci ogromne małżeńskie łóże w przestronnej sypialni, Mozart w radiu i I koncert Paganiniego. Nie pamiętam Sztokholmu, chociaż Peter i jego siostra wozili nas w różne miejsca, które należało zobaczyć. Ja je oglądałam, ale szczegóły zatarły się, zginęły. Zostało tylko ogólne wrażenie zamożności, dostatku, mieszczańskiego samozadowolenia i spokoju, które jeszcze wtedy mieliśmy w pogardzie. Jakaś dziwna jasność spowijała ten północny kraj, widziało się ją w przejrzystości powietrza i wody. Dni były pogodne, lato zbliżało się ku końcowi. Piłam soki, jadłam winogrona, brzoskwinie i zdawało mi się, że jestem na południu. Nie pamiętam, co oglądaliśmy, dlatego że tam, dokąd chodziliśmy, widzieliśmy przede wszystkim siebie, moje oczy uciekały od zabytkowych domów i ulic do niego, z drżeniem

odnajdywałam w jego głosie dawną tkliwość i słodycz. Mimo zewnętrznych atrybutów dorosłości, wśród których wygląd odgrywał pierwszoplanową rolę, została w nim dziecięca niepewność oraz nieśmiałość, dopiero gdy się ich pozbywał, stawał się niefrasobliwy, spontaniczny i żywiołowy, łatwo tracił umiar w zabawie, a nawet w picciu.

Był urodzonym hazardzistą, zawsze stawiał na jedną kartę, najpierw tą kartą byłam ja, potem ten zwariowany wyjazd z Polski. Po tym co się stało w Polsce w 68, Stefan szukał gorączkowo oparcia, gruntu pod nogami czy też, jak kto woli, miejsca na ziemi, jednak beze mnie to miejsce, które odnalazł, okazało się dziewiczo puste, pozbawione duszy, chociaż należało do niego. Teraz ja muszę tchnąć w nie życie, napęłnić je swoim oddechem i swoim ciałem, to miejsce ma szansę stać się dla nas rajem, razem bowiem potrafimy zaludnić wszechświat, oddzielnie najmniejszy skrawek ziemi staje się pustynią nie do przebycia. O tym mówił, kiedy zwiedzaliśmy miasto, dlatego nie pamiętam zamków i kościołów, tylko słowa, jego słowa. W podróży do Wiednia, która trwała ponad godzinę, towarzyszył nam lęk. Szeptem, po raz nie wiem który, zastanawialiśmy się, czy to co chcemy zrobić jest dobre, etyczne i zgodne z sumieniem, a przede wszystkim czy nam się uda, sumienie nie było najważniejsze. Wchodziliśmy na karkołomną ścieżkę, zdając sobie sprawę z grożących niebezpieczeństw, jednak nikt nam nie podsunął prostego rozwiązania, nie wiem dlaczego sami nie wpadliśmy na nie. Mnie coś takiego snuło się po głowie, zdawałam sobie sprawę, że prosty ruch jest najpewniejszy, zawsze byłam mimo wszystko bardziej praktyczna, ale nie powiedziałam nic, skoro on proponował co innego, uznałam, że tak trzeba. No i musiałam nakłamać, że moja matka jest z pochodzenia Żydówką, w czasie wojny ukrywała się w klasztorze i przeszła na katolicyzm i teraz się tego trzyma, to skaza na jej psychice. Wszyscy z jej rodziny zginęli, ona wyszła za mąż za katolika, dzieci pod presją rodziny męża ochrzciła, ale nie jest praktykującą, w piątki zapala świece, podtrzymując w ten sposób więź z nie istniejącą rodziną...

Nagadałam mnóstwo głupstw, nie wiem, jak oni to kupili... Znałam po hebrajsku nazwy paru miesięcy, jedną modlitwę, wiedziałam też co to kuchnia koszerna, a więc, że nie należy trzymać mleka i mięsa w tych samych naczyniach i jeżeli pije się mleko, nie wolno jeść mięsa,

oczywiście nie wolno jeść wieprzowiny. Potem zanurzyłam się trzy razy w wannie, odmawiając modlitwę, i stałam się Żydówką. Polacy powiedzieliby, że przeszłam na judaizm, Żydzi zaś, że wróciłam na łono żydostwa. Istotna różnica w terminologii.

Wychodząc od rabina, dostrzegłam isierki rozbawienia w oczach Stefana, zlekłam się, że on zrobi coś niestosownego i skarciłam go wzrokiem. Nic nie zrobił. Udało nam się przejść przez całą ceremonię z powagą i namaszczeniem, dostałam papiery emigracyjne i przestałam się bać.

Byłam Żydówką. Oczywiście nic się w moim wnętrzu nie zmieniło, byłam tak samo jak przedtem krytyczna wobec wszystkich religii, w gruncie rzeczy niewierząca, nie sądziłam również, i dotąd nie zmieniłam zdania, że kogoś zawiodłam czy się sprzeniewierzyłam. W dzieciństwie jak większość Polaków zostałam ochrzczona, ale do kościoła nie chodziłam, nie byłam nawet u pierwszej komunii. U nas w domu nikt nie zajmował się sprawami wiary, to wtedy nie było w modzie, rodzice nie posyłali mnie na religię, księża nie odwiedzali naszego domu. Żyliśmy jak wiele rodzin z dala od kościoła. Byłam Polką, to jasne, i tego faktu nie mogłam się wyprzeć, a jednak wyparłam się go z dziwną beztróską, w pełni zdając sobie sprawę z tego, co czynię.

Polska, nie tylko tu w Wiedniu, ale jeszcze przedtem w Sztokholmie, oddalała się ode mnie z każdą minutą, ona zaczęła się oddalać jeszcze tam, już na Sadybie w Warszawie, już wtedy stała się obcym tworem, do którego (tak mi się zdawało) nic poza nienawiścią nie czułam, a jednak po powrocie z urzędu emigracyjnego z ważnymi papierami upoważniającymi mnie do wjazdu do Izraela, z biletem na samolot poczułam się jak na dryfującej krze, zawieszona w próżni, bez punktu oparcia, z odzywającą się nieśmiało pokusą, by ten punkt odzyskać, przyczepić się do niego okrętową linią, przywiązać supłami. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że ta lina zaprowadzi mnie tam, skąd się z takim trudem, za pomocą fortela godnego Zagłoby — wyrwałam.

W pokoju hotelowym po wypiciu sporej ilości wina spaliłam swój polski paszport. Stefan usiłował ocalić z niego kilka kartek, ja mu je wyrwałam, a reszty dokonał płomień świecy, zamieniając je w popiół. Był to nie tylko akt zemsty, o którym wielokroć marzyłam; tym gestem

nie przemyślanym do końca odcinałam się od przeszłości, a poniekąd również od siebie.

Nic już nie czułam, wyczerpana nieludzko i odurzona winem przytuliłam się do Stefana i natychmiast zasnęłam. Obudziłam się z dojmującym poczuciem winy, które usiłowałam zabić, przywołując w pamięci doznane krzywdy i upokorzenia.

Nic to nie dało... Nienawiść jest uczuciem zawodnym i mylącym, podobnie jak miłość, ma również tę właściwość, że słabnie. Rano jej ciężar był znacznie mniejszy, a około południa już go nie czułam. Patrzyłam na świat chłodnym okiem i byłam z siebie zadowolona. Za jednym zamachem skończyłam z polskim romantyzmem, sentymentalizmem, mesjanizmem i pychą. Czułam się wolna, i byłam wolna, a jednak została we mnie rysa, którą usiłowałam zatrzeć i zamazać w sobie. Wiedeń podobnie jak Sztokholm żył pogodnie, dostatnio, bez tych wszystkich dobrodziejstw, które nam wymawiano i wypominano każdego dnia, a które stały się naszym przekleństwem. Cieszyły mnie rzeczy zwyczajne i małe, takie jak pokój w hotelu w pobliżu Ringu, spacer, tłum na ulicach, jazda kolejką, ludowe, proste uciechy na Praterze. Wszystko było niezwykle, interesujące, świeże. Otaczali nas mili ludzie, piękne przedmioty i domy, z których nie sypał się tynk. Dużo chodziliśmy rozmawiając. Dziwne, ciągle mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Byliśmy beztroscy, szczęśliwi, ale nie tak jak w Warszawie, tamte przeżycia już się nigdy nie powtórzyły, nastrój był inny, otoczenie, no i my, my też byliśmy inni...

Wreszcie spełniły się nasze marzenia, poszliśmy razem do Kunst-historisches Museum, oglądaliśmy naszego Breughla, Velazqueza, podziwialiśmy obrazy znane nam z reprodukcji, zabawy zimowe, ucztę weselną, portrety infantek, a potem szukaliśmy Rembrandta.

— Popatrz Iguś! — mówił Stefan — tu w tym miejscu przed półtora rokiem byłem zgębiony, bliski śmierci, zdawało mi się, że staje mi serce. Patrzyłem na te obrazy i nic nie czułem, a teraz jesteśmy tu razem, za oknem kwiaty, zieleń...

Na Grinzingu piliśmy białe, młode wino, szukaliśmy domu Beet-hovena, poszliśmy do Opery, co prawda tylko na galerię, ale i tak bilety kosztowały majątek...

W Tel Avivie czekali na nas rodzice Stefana. Była noc, lotnisko rozjarzone światłami, krótka odprawa, instruktaż, gdzie jako nowa emigrantka powinnam się udać i wreszcie powitanie, czułe, dziwne. Wsiadliśmy do samochodu i szosą wzdłuż morza zdążaliśmy do Hajfy. W drodze noc zaczęła się rozmydlać, świt wypływał zza gór Karmelu, sączył się srebrzyście w oparach lekkiej mgiełki aż buchnął jasnym promieniem i roztańczył się złotymi iskrami w morzu. Od razu zrobiło się jasno, kilka białych obłoczków uciekło w popłochu i niebo odsłoniło przepych błękitu. Popiskiwałam z zachwytu nie mogąc jeszcze uwierzyć, że piękno tej ziemi, które odsłoniło się nagle, będzie należeć teraz do mnie. Czułam się obdarowana wielkim bogactwem i powiedziałam to im. Matka Stefana siedząca obok uściśnęła mnie.

— Cieszę się że jesteś tu z nami — powiedziała. — Mam nadzieję, że będzie ci tutaj dobrze.

— Z pewnością—odparłam z przekonaniem i dalej chłonełam oczami gaje cytrusowe, plantacje bananów, avocado, zatoki, plaże, uciekające góry Karmelu, pokryte piniowym lasem. Pytałam o nazwy drzew rosnących przy drodze, lecz nikt ich nie znał. Wszystko było inne, oszałamiające i piękne. Za to u niego w domu od razu poczułam się jak w Warszawie, te same meble w stołowym, obrazy, pianino, na którym lubiłam brzdąkać, dywany. W jego pokoju ten sam szeroki tapczan z cepeliowską narzutą, na przeciwległej ścianie regał z książkami, adapter, płyty i mahoniowe biurko.

Niewielkie okno przesłonięte żaluzją wychodziło na góry Karmel, w dole biegła cicha uliczka ocieniona kilkoma eukaliptusami, w ogródkach przed blokami rosły jakieś dziwne krzewy i pachniały odurzająco. Morze pozostawało niewidoczne, aczkolwiek jego słony zapach wciskał się do pokoju.

Ranki były niebieskie, rześkie i ciepłe. Słoneczny potop zalewał mieszkanie. Nie mogłam spać. Wychodziłam przed dom na pobliski skwerek i czekałam, aż Stefan się obudzi. Nie trwało to długo, wyczuwał

nawet przez sen, że mnie nie ma, na wpół ubrany biegł do mnie mrużąc oczy, we włosy wplątywały mu się słoneczne wstęgi, piękniał z każdą minutą. Udawał niezadowolonego, narzekał, że go porzucam, zostawiam, a kiedy kryłam się w cieniu eukaliptusów, chwycił mnie wpół i szeptał: — Nigdy mi nie uciekniesz, nigdy, nigdy... — Podoba mi się tu, nie chcę uciekać. — Nawet jak zechcesz, to ci nie pozwolę, zwiążę cię, zakuję w kajdany. Wrywałam mu się ze śmiechem i biegłam do domu, on mnie gonił po schodach i przekomarzaliśmy się od nowa. Robiliśmy dużo hałasu i zamieszania, wszyscy sąsiedzi musieli nas słyszeć. Tak już jest, szczęście i młodość duszą się w ciszy, my też dawaliśmy upust naszej radości głośnym śmiechem i krzykiem.

Dobrze się u nich czułam. Każdy dzień był jak święto. Rodzice wychodzili wcześniej do pracy, a my po śniadaniu, które zjadaliśmy na tarasie, pakowaliśmy do toreb kanapki, termos z kawą, owoce i pędziliśmy do autobusu. Miasto już żyło korzystając z przedpołudniowych godzin, kiedy słońce zbierało siły, by w południe wpędzić wszystkich w złudny chłód zamykanych szczelnie pomieszczeń. Otwierano kawiarnie i sklepy, wychodzące przeważnie na ulice. Góry owoców i warzyw nurzały się w słońcu, wabiąc osy i muchy. Patrzyłam jak urzeczona na ociekające sokiem brzoskwinie i winogrona, na piramidy oliwek w bogatej gamie kolorów, od połyskliwej czerni poprzez fiolet do bladej, pozbawionej ostrości zieleni, którą u nas nazywa się oliwkową.

Autobus krążył zjeżdżając wąskimi uliczkami do morza, góra Karmel z przyklejonym do niej klasztorem karmelitów uciekała za domy, by w najmniej oczekiwanej chwili błysnąć bielą klasztornych ścian, zamigotać ruchomą gwiazdą promieni skupionych na kopule Stella Maris.

Mijaliśmy niezbyt piękne domy, przypominające nowo wznoszone bloki w Warszawie, z tym że okna tu były mniejsze, ocienione żaluzjami.

Wszystko uciekało od słońca: sklepy wsuwały się pod markizy, kawiarnie pod płócienne daszki i parasole, cień był w tym kraju białego słońca i żrącego błękitu nie mniej potrzebny do życia niż woda.

Autobus wyskoczył nad morze i jechał wzdłuż wybrzeża, mijając puste place zaczynające ożywać pod dotykiem koparek i spycharek. Wyszliśmy w pobliżu niewielkiej zatoczki, nad którą rozciągała się biała, piaszczysta plaża. Piasek już był nagrzwany i parzył stopy. Słońce tu jest bezlitosne, przepala skórę na wskroś. Jedyne co można zrobić, to chronić się przed nim w cieniu lub w wodzie. Wybraliśmy to drugie. Woda przy brzegu sięgała zaledwie kolan i trzeba było przejść kilkanaście metrów, żeby się zanurzyć, dalej nie było już dna, rzucałam się żabką przed siebie, Stefan uczynił to samo, płynął obok asekurując mnie i obserwując każdy mój ruch. Morze było jeszcze na wpół uśpione, nie tknięte najmniejszą zmarszczką, obmywało nas, pieściło niczym najczulszy kochanek. Pływaliśmy ponad godzinę nie czując zmęczenia, a potem odpoczywaliśmy w cieniu, starając się opowiedzieć sobie długie miesiące rozłąki, kiedy to codziennie traciliśmy nadzieję i wiarę, by ją na chwilę odzyskać w czyimś uśmiechu i towarzyszącym mu dobrym słowie.

Po kolacji znużeni plażą i pływaniem odpoczywaliśmy na tarasie. Wieczory były jeszcze ciepłe, pełne letnich zapachów, nad nami rozpościerało się granatowe niebo, szciodrze aż do przesady usypane gwiazdami. W podniosłym, niemal świątecznym nastroju piliśmy chłodzone wino, na stole stał koszyk winogron i brzoskwiń, którymi ja wciąż nie mogłam się nasycić. Były takie soczyste, słodkie, mięsiste i pachniały słońcem.

W pewnej chwili matka Stefana przysunęła się do mnie; — Czy Andrzejewski napisał coś nowego? — zapytała cicho. — A co z Konwickim? Co Bryndys? I jak w tym wszystkim czuje się Strykowski? — Nie wiem — odpowiedziałam zgodnie z prawdą, zdając sobie sprawę, że sprawiam jej zawód. Nie miałam żadnych kontaktów ze środowiskiem literackim. — Wiem, że ukazała się *Glupia sprawa* — straszny knot, Hanuszkiewicz objął Teatr Narodowy, zlikwidowali „Przegląd Kulturalny”, nie ma już „Nowej Kultury”, jest za to „Kultura”... — Szkoda, szkoda... — mruzczała wpatrzona w gwiazdy. Nagle sobie coś przypomniała, jej spojrzenie stężało, w kącikach ust utworzyły się zmarszczki.

— Czy w dalszym ciągu odbywają się polowania na czarownice? — spytała siląc się na ironię.

— Nie mają już na kogo polować, wszyscy wyjechali...

— To jedyna dobra wiadomość — oderwała oczy od gwiazd i uśmiechnęła się. — Wszyscy Żydzi z Europy Wschodniej powinni przyjechać do Izraela. Zrozumiałam to dopiero tutaj.

— Dlaczego? — spytałam naiwnie.

— Bo tu są u siebie — odparła zwięźle. — Tak, tutaj są nareszcie u siebie — powtórzyła z nie ukrywaną satysfakcją.

— Myśli pani, że my w Polsce jesteśmy u siebie? — spytałam z gorczyzą.

— Cicho! — chwyciła mnie za rękę i rozejrzała się bojaźliwie na boki. — Jesteś Żydówką. Tu w Izraelu jesteś u siebie. Pamiętaj! — Jej przyduszony szept wpadł pomiędzy ściany. — Nigdy nie mów, że jesteś Polką. Jesteś Żydówką. Jasne?

— Oczywiście — powtórzyłam z nadmierną gorliwością — jestem Żydówką. — Co ty jej chcesz wmówić? — krzyknął poirytowany Stefan, obrzucając matkę złym spojrzeniem — że jest tym, kim nie jest? Od tego można wpaść w schizofrenię.

— Mów ciszej, nic jej nie wmawiam, po prostu chcę, żeby czuła się tu u siebie, rozumiesz, u siebie, chyba, że zmieni zdanie, zechce stąd wyjechać, wtedy może mówić co chce, na razie jednak lepiej trzymać się jednego.

— Zgadzam się z panią — powiedziałam uśmiechając się do niej i do Stefana — a zresztą jakie to ma znaczenie, za kogo będą mnie uważać? Jestem Żydówką, tak mam w papierach, lepiej więc, żeby uważano mnie za Żydówkę. Nie zmienia to w niczym faktu, że wstydzę się za swój kraj i za swoich rodaków i tak już zostanie, w głębi duszy zawsze się będę za nich wstydzić, chociaż jestem Żydówką — odstawiłam kieliszek i sięgnęłam po papierosa.

— Nie bierz tych win na siebie — powiedziała z powagą jego matka — odpowiedzialność zbiorowa nie istnieje. — Ścisnęła mnie za ramię, a ja otarłam się o zapach jej perfum. — Pójdę się położyć — dodała jakby na usprawiedliwienie i szybko, sądząc, że tego nikt nie widzi, sięgnęła po polskie książki, które przywiozłam. Czytała je chyba przez całą noc, bo kiedy nad ranem wychodziłam z łazienki, widziałam światło w jej pokoju.

Pożegnałam się z jego rodzicami, spakowałam swoje rzeczy i jadę uczyć się hebrajskiego.

Jako nowa emigrantka mam zgłosić się w kibucu, który prowadzi kursy językowe. Stefan jedzie ze mną, odstawi mnie na miejsce i zniknie. Za kilka dni zaczynają się zajęcia na uniwersytecie, przed tym on musi zdać zaległy egzamin. Znowu się nie uczył z mojego powodu.

Jedziemy znaną mi szosą wzdłuż morza, w Hederze przesiadamy się do taksówki, która zawozi nas na miejsce. Stefan wchodzi ze mną do biura, załatwia jakieś formalności, ja jestem jak niemowa, podpisuję co mi każą, idę, dokąd mnie prowadzą, a więc na teren studium językowego, które mieści się oddzielnie, odległość między zabudowaniami wynosi niecałe pół kilometra, będę ją przemierzać trzy razy dziennie idąc na posiłki do kibucowej stołówki.

Studium językowe prezentuje się znacznie gorzej niż kibuc. Tam były normalne, białe domy z czerwonymi dachami, poprzetykane kępkami drzew i krzewów ozdobnych, tu są baraki wiatrem podszyte, ustawione obok siebie. W jednym z nich będę mieszkać w trzyosobowym pokoju tylko z Jeannette, trzecia lokatorka nigdy się nie zjawi, ale łóżko przygotowane dla niej zajmuje całą ścianę, a pokój jest mały. Jeannette przyjedzie dopiero po kilku dniach i początkowo będziemy rozmawiać na migi.

Na razie stawiam walizkę na podłodze i rzucam się na łóżko, oczy zachodzą mi łzami. Co ja tu będę robić, jak się porozumiem z kimkolwiek? Z Polski nikogo tu nie ma? Stefan miota się, nie wie co począć, dokąd mnie zabrać. Moje łzy doprowadzają go do rozpacz. Zdecydowanym ruchem chwyta moją walizkę i rusza z nią do drzwi.

— "Wracamy do Hajfy. Nie zostawię cię tutaj — mówi nie patrząc na mnie, wie, że będzie musiał stoczyć ostry bój z matką.

Hajfa jawi mi się jak raj utracony, plaża, morze, Stella Maris, zielony łańcuch gór Karmel i pierwszy koncert Paganiniego.

— Zaczekaj, tylko przemyję twarz wodą. — Znikam w łazience i patrzę na siebie w lustrze z obrzydzeniem.

— Beks! — wykrzywiam usta i unicestwiam się wzrokiem. —

Malowana lala, księżniczka z morskiej piany. Gównno, po prostu gównno!
— Myję twarz zimną wodą i wracam do pokoju pogodnie uśmiechnięta.
Mój głos dźwięczy jak kryształ.

— Łazienka jest całkiem, całkiem — mówię do Stefana, który wciąż stoi przy drzwiach z walizką i nie wie, co zrobić z oczami. — Chodź, zobacz jakie piękne ręczniki, miękkie, puszyste, kolorowe. Uwielbiam ładne ręczniki. Popatrz, ktoś tu o wszystkim pomyślał, jest mydło, pasta do zębów, proszek do prania, jakieś płyny do mycia sanitariatów, ścierka, no, no, no, podoba mi się, że jest tak czysto — podnoszę walizkę i stawiam ją na szafce. — Musisz iść, taksówkarz pewnie się niecierpliwi.

— Zostanę z tobą na noc. Jutro odprowadzę cię na zajęcia.

— Daj spokój! — krzyczę na niego — nie jestem dzieckiem. Znam kilka słów po angielsku, zapytam o drogę. Jestem zdolna, szybko nauczę się mówić. Będziesz ze mnie dumny. Zobaczysz!

— Jestem z ciebie dumny... Widzisz — w oczach wahanie, bezradność dziecka, lęk — chciałbym ci nieba przychylić, a zostawiam cię samą, w obcym miejscu, wśród obcych ludzi...

— Masz inne propozycje? — pytam czysto retorycznie i nie czekając na odpowiedź, ciągnę: — Muszę się nauczyć języka, bez tego nie mam co robić w tym kraju. To chyba jasne. Potem już się nie rozstaniemy, na razie będziemy się odwiedzać w wolne dni. Czy to nie wspaniałe?

— Będzie ci ciężko, wiem, ten język jest piekielnie trudny, wszyscy, to znaczy rodzice i ja, uczyliśmy się go tutaj od podstaw.

— To dlaczego ja się mam nie nauczyć? Idziemy! — biorę go za rękę i odprowadzam do taksówki, pocałunkami dodaję mu otuchy.

Stefan miał rację, pierwsze lekcje były najgorsze, nie chwytiałam poszczególnych dźwięków, z niczym mi się one nie kojarzyły. Język hebrajski jest chyba najtrudniejszym językiem na świecie, w dodatku dla mnie był obcy, brakowało mi motywacji, miłość do Stefana była jedynym powodem. Inni mieli głębsze motywy, hebrajski był językiem ich przodków, przyjechali tu w poszukiwaniu swojej tożsamości,

budować własne państwo, szukali siebie, niektórzy wyrwali się po prostu spod opieki troskliwych rodziców i cieszyli się z tego.

Ja przeszłam na judaizm, ale nie czułam tego w sobie, pływałam w obcym morzu. Obca kultura zalewała mnie jak woda. Bardzo powoli, głównie przez Stefana, zbliżałam się do niej.

Okazało się, że mam duże zdolności językowe, uczyłam się lepiej od innych, mimo że moja motywacja nie była głęboka, osiągałam postępy i nasza nauczycielka nie przestawała mnie chwalić. Gorszą znacznie rzeczą niż nauka była praca. Po czterech godzinach lekcji mieliśmy przerwę i obiad, potem szło się do pracy, mnie skierowano do kuchni. Nie protestowałam. W domu lubiłam gotować. A tu były maszyny do obierania kartofli, do zmywania, do mielenia mięsa i ubijania ciasta.

Praca z pewnością łatwiejsza niż gdziekolwiek w Polsce, nie wymagała tyle wysiłku, sprawnie działała klimatyzacja, nie musiałam prażyć się w upale jak hutnik, a jednak ta właśnie praca, pozornie lekka, wywoływała wstręt. Już po dwóch dniach nie mogłam patrzeć na jedzenie, które trzeba było zgarniać z talerzy, splukiwać, a dopiero potem uruchamiać zmywarę. W stołówce jadło sześciuset kibucników, ich rodziny, goście, no i studenci studium językowego, w sumie ponad dwa tysiące osób. Przygotowywało się dla nich niewyobrażalne ilości potraw. Znaczna ich część zostawała na stołach, po prostu góry sałatek, mięsa, chleba. Po nocach śniły mi się talerze po zupie, po przystawkach, po drugim daniu, łyżki, noże, widelce, szklanki.

W piątek przyjechał Stefan i usiłował mi pomóc, bo też pracowałam normalnie sześć godzin. Dopiero po kolacji, kiedy posprzątałam kuchnię, mogliśmy pójść do mojego baraku. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłam, była — kąpiel, ciągle czułam na sobie, wokół siebie, kwaśne, wywołujące mdłości zapachy jarzyn, i mięsa.

— No jak, jak sobie tu radzisz? — zapytał wylęknięty, kiedy półżywa padłam na żelazne, skrzypiące łóżko.

— Świetnie — uśmiechnęłam się z trudem rozwierając usta — zaraz odpocznę i pójdziemy na spacer. Pokażę ci kibuc, a jutro z samego rana wybierzemy się nad morze. Zaparz mi kawy!

Pobiegł do kuchni i krzątał się tam, robiąc straszliwy rumor i zamieszanie, a ja przez otwarte drzwi przyglądałam mu się z niedo-

wierzeniem. „To on, tutaj przy mnie” — przekonywałam sobie z uporem, ciągle nie mogąc uwierzyć w ten istniejący świat. Nadał realna była daleka Polska i to, co się tam zdarzyło. Izrael — ziemia obiecana i święta — wciąż była snem, snem na jawie, jawą bez ram realności, bez punktu zaczepienia, wisiałam w próżni, wypełniona lotnym gazem, nic nie czułam, realne było tylko zmęczenie, które ustąpiło po mocnej kawie. Wyszłam otoczona jego ramieniem w ciemną pachnącą noc.

Zapomniałam o kuchennych odpadach, dobre mydło Chanelle 5 zabiło tamte zapachy.

Zostawiliśmy za sobą barakową zabudowę studium językowego i weszliśmy na rzęście oświetlony teren kibucu. W zieleni, wśród kwiatów kryły się białe schludne domki z czerwonymi dachami, mieszkali w nich kibucnicy, w paru oknach płonęły świece, młodzież gromadziła się na niewielkich placzkach, kilka osób przechadzało się po oświetlonych alejkach.

— Popatrz! Tu jest boisko — mówiłam do Stefana z jakąś dziwną, bo niczym nie uzasadnioną dumą — basen, hala sportowa z mnóstwem urządzeń i przyborów, a tam świetlica i sala widowiskowa. Czasem przyjeżdża tu teatr, kino dwa razy w tygodniu, wszystko za darmo jak w komunizmie, do którego nie pałam miłością. Myślałam, że mam go z głowy, a on dotarł aż tu i, jak widzisz, ma się nie najgorzej. Dobrze jednak, że ludzie mają tu prawo wyboru. Jeżeli nie chcą żyć w kibucu, nikt ich do tego nie zmusza, nawet jeżeli się tu urodzili, zawsze mogą odejść i na własną rękę borykać się z losem, walczyć o mieszkanie, które tu się kupuje lub wynajmuje, o pracę, której tu nie gwarantuje państwo, bezrobotnych jest sporo...

Stefan cieszył się z moich spostrzeżeń. Uważał, że naprawdę „wchodzę” w ten kraj.

W kolejną sobotę wzięliśmy rowery i wybraliśmy się nad morze. Stefan przywiózł torbę różnych łakoci i namawiał mnie do jedzenia. Martwił się, że schudłam.

— To ta kuchnia tak na mnie działa. Nabrałam wstrętu do jedzenia.

Ale to już niedługo — ugryzłam się w język, żeby nie odebrał moich słów jak skargi. — Jem dużo owoców, tych nie brakuje, w jadalni zawsze stoi kilka koszów, można brać, wybierać...

— Tęsknisz za Polską? — zmienił nagle temat.

— Nie — odburknęłam ze złością. — Polska przestała dla mnie istnieć. Jestem Żydówką. Dokonałam wyboru. Nie ma o czym mówić.

— A gdyby ci teraz wręczono paszport i bilet, gdybyś wiedziała, że nie spotkają cię żadne represje i szykany, że będziesz mogła wrócić na uniwersytet, to co byś zrobiła?

— Zostałabym z tobą — odpowiedziałam z powagą patrząc mu w oczy. A tak naprawdę to nie wiedziałam. Zresztą zastanawianie się nad tym, co by było gdyby, nie miało sensu, takich możliwości nie ma i nie będzie. Mój kraj został na innej planecie, która gdzieś tam się kręci, wiruje w przestworzach, zasnuwa się mgłą. Nie ma o czym mówić.

Oczywiście piszę, i to dość często, listy do domu i do Twony, z których nic nie wynika, nie stać mnie jeszcze na szczerłość. Moje literackie upodobania na coś się wreszcie przydają. Opisuję im krajobrazy i Tel Awiw, który mi się bardzo podoba. To europejskie miasto, ledwie muśnięte egzotyką Wschodu, w wielu kawiarniach, gdzie spotykają się Polacy, czuję się jak w Warszawie.

Polakami nazywa się Żydów z Polski, tak jak o innych mówi się Rumuni, Węgrzy, Gruzini. Wbrew pozorom jest w tym twarda logika. Wszyscy są Żydami, przyjechali z różnych stron świata, przywieźli swój język, kulturę. Po cóż więc mówić polscy Żydzi czy Żydzi z Polski. Wystarczy powiedzieć Polacy, wiadomo o kogo chodzi.

Kwitnie tu kawarniane życie, które w Warszawie zanika. To chyba kwestia klimatu i łatwiejszych warunków. Mimo wojny wiszącej w powietrzu jak miecz Damoklesa, żyje się tu przyjemniej i łatwiej niż w Warszawie. Mnie jeszcze jest trudno, ale ja dopiero startuję, jestem jeszcze z kawałków, z odprysków szkła, któremu brak spoiwa, ono zostało gdzieś tam w dalekim kraju, pod szarym niebem, w dźwiękach szeleszczącej mowy, pełnej zgrzytów i świstów, w której można wyrazić najbardziej skomplikowane filozoficzne treści i miłosne wyznania. Ze Stefanem rozmawiamy po polsku. To dodatkowa przyjemność, nareszcie mogę się wygadać bez zahamowań. Leżąc w piasku, na plaży,

czytamy Tuwima, ale większość czasu spędzamy na rozmowach. Jak kiedyś w Warszawie mamy sobie wiele do powiedzenia, z tym że ja teraz zasypuję go pytaniami, chcę jak najwięcej wiedzieć o tym kraju i o tej ziemi, on jest dobrym informatorem, najlepszym z możliwych, studiuje przecież historię na uniwersytecie hebrajskim, czyta Flawiusza i księgi święte i już prawie zna język.

Pod wieczór, kiedy robi się chłodno, wsiadamy na rowery i jedziemy do lasu. Tu też są sosny, które jednak pachną inaczej, i smukłe grzywiaste eukaliptusy o pniach przypominających gładkie, długie nogi wielbłądów. Las kamienisty, rzadki, o rudawej glebie z pojedynczymi kępami wyschniętej trawy. Słońce grzeje przyjaźnie, drzewa zatrzymują zimne podmuchy wiatru, mimo to chwytają mnie dreszcze. Ten las jest obcy i wrogi, oddalony parę ładnych kilometrów od ludzkich osiedli, idealny dla terrorystów arabskich do dokonania zamachu. Narzekam więc na chłód i wracamy do domu. — Do domu! — Przywykłam tak mówić, chociaż mój dom już nie istnieje, tutaj jeszcze go nie ma, tamten na drugiej planecie rozplywa się we mgle. Szybko, nie oglądając się za siebie, dojeżdżamy do Hedery. Dziura potworna, jakieś miasteczko z kresów, z Gogola czy Szolem Alejchema, na ulicach dziwni ludzie w jarmułkach, śmiesznych czapkach, chałatach, prowincjonalne sklepy, wystawy, język rosyjski pomieszany z jidysz, Gdzie ja jestem? W dziewiętnastym wieku? W Witebsku czy w Biłgoraju?

Stefan zwalnia, przystaje, zagaduje przechodniów, przygląda się ich twarzom, dla każdego znajduje miłe żartobliwe słowo, ludzie odpłacają mu uśmiechami, sympatią, nie słyszałam, żeby miał wrogów, on wszystkich lubi i jest lubiany, na uniwersytecie nawet wśród Arabów ma mnóstwo przyjaciół. A mnie to złości, nie znoszę, kiedy się tak fraternizuje i wszystkich obdziela swym ciepłem, boję się, że go dla mnie zabraknie. — Coś tak spochmurniała? — pyta zatroskany — nie podoba ci się Hedera? — Co mi się ma podobać? — wykrzykuje naburmuszona. — Sądziłam, że jadę do nowoczesnego kraju, a ocknęłam się na głuchej prowincji.

— Tak — mruczy, nie przestając się uśmiechać — tu jest wszystko. Izrael to tygiel, w którym jak dotychczas wszystko się maceruje i miesza — prowincja, dawna Polska i dawna Rosja, trzeci świat i Ameryka.

Uśmiecham się, martwo patrząc w przestrzeń. Nienawidzę tej mieszaniny. Nic jednak nie mówię. Wskazuję na rower, jedziemy! Kibuc wita nas zielenią drzew, wokoło domów trawniki, róże. Inny świat, lepszy, ładniejszy, a jednak obcy. Stefan odprowadza mnie do baraku, napije się ze mną herbaty i za godzinę odjedzie. Jestem w takim stanie, że ledwie powstrzymuję łzy. Myśl o rozstaniu z nim osłabia moją samokontrolę. Przed wejściem do baraku rzucam mu się na szyję, obsypuję go pocałunkami.

— Nie odjeżdżaj stąd, zostań! — szepczę wśród pocałunków, on się zgadza.

— Dobrze — mówi — pojedę jutro rano. Co ci jest? Źle się czujesz?

— Już nic — udało mi się przywołać na usta beztroski uśmiech i wcisnąć w oczy odrobinę światła. — Głupi napad nostalgii. Wybacz! Mam miesiączkę, dlatego tak się rozklejam. A ty jedź, masz przecież zajęcia, nie możesz się spóźnić. I nie martw się o mnie! W gruncie rzeczy jestem zadowolona z tego, co mam. Wiem już, że w życiu na wszystko trzeba czekać. Doświadczyłam tego na własnej skórze. Czekanie na ciebie tutaj ma inny wymiar. W końcu widzimy się prawie tak często jak w Warszawie, z tym że tutaj nie musimy się chować po kątach i udawać niewinne dzieciątka, o to nam przecież chodziło, mamy to, co chcieliśmy, i ja... — dodałam po chwili wahania — mimo wszystko jestem szczęśliwa. Nigdy nie myślałam, że będę mieszkać w baraku. Długo nie mogłam się z tym pogodzić. To tak jakby po sukcesach w stołecznym teatrze zostać wygwizdany na deskach w Koziej Wólce. Barak słabo chronił przed zimnem, natomiast w upalne dni rozgrzewał się w słońcu niczym piec hutniczy. Teraz noce zrobiły się chłodne i trzeba było rozpalać naftowy piecyk, z którego jedynie cienka strużka dymu ulatywała przez komin, reszta snuła się po pokoju, wsiąkając w pościel i ubrania. Jeannette jeszcze nie wróciła, ona podobnie jak ja nie przepada za stadnym życiem i zazwyczaj w piątki wyjeżdża do Teł Avivu, zostawiając mi wolny pokój, z którego nie korzystam. Stefan ma prawo do gościnnego pokoju, który jest znacznie większy i lepiej urządzony, przenoszę się więc do niego, zestawiamy ze sobą dwa łóżka i śpimy razem. W ten sposób przynajmniej jedną noc w tygodniu mamy dla siebie. Nikogo to nie gorszy i nie oburza, nikt się tym po prostu nie

interesuje. W stołówce zajmujemy najmniejszy stolik i odstawiamy od niego krzesła, nie chcemy, żeby się ktoś do nas przysiadł, ciągle tak mało jesteśmy razem.

Z grupą nie jestem zżyta. Trudności językowe uniemożliwiają bliższe poznanie się i porozumienie. Rozmawiam z Rosjanami, kalecząc nie-
miłosiernie ich język, oni mnie poprawiają, traktując pobłaźliwie jak dziecko, które nic nie rozumie, ponieważ nie potrafi się wysłowić.

Lubią przewodzić, pouczać i moralizować, mają to niemal we krwi. Uwierzyli w swe posłannictwo. I chociaż odrzucili komunizm, nie potrafią się wyzbyć starych nawyków. Nadal podświadomie wierzą w swoją przewodnią rolę. Niezależnie od tych zastrzeżeń piekielnie mi imponują, znają na pamięć tomy wierszy, recytują je często w natchnieniu, patetycznie, w staromodnym stylu, który uwielbiam.

Interesują mnie również Latynosi, reprezentują zupełnie inną kulturę, inny sposób bycia, oni umieją dostrzec piękno nawet tam, gdzie go nie ma, nawet kiedy są na samym dnie, nie tracą nadziei, potrafią żyć chwilą, tym co jest, my natomiast albo tkwimy w przeszłości albo wybiegamy daleko naprzód, a oni po prostu są, istnieją, bawią się, tańczą, piją wino i tylko to w danej chwili się liczy. W Izraelu czują się jak u siebie, nie przeraża ich klimat ani trudne warunki życia. Z pogodnym uporem uczą się hebrajskiego, a między sobą porozumiewają się językiem ladino, który powstał w krajach latynoskich z połączenia hiszpańskiego i hebrajskiego, brzmi egzotycznie i dźwięcznie jak ich porywająca muzyka.

Stefan odjechał, a złe myśli niczym sfora drapieżnych psów naskoczyły na mnie ze wszystkich stron, nie miałam gdzie się przed nimi schronić. W świetlicy Rosjanie nastawiali w kółko „Podmaskownyje wieczera”. Boże! Jakie to nieznośne. Czy trzeba koniecznie przyjeżdżać do Izraela, żeby słuchać rosyjskich pieśni, narkotyzować się nimi, podniecać? To jest życie przeszłością, grzebanie się w niej, szukanie pożywek, ja tego nie robię, dzisiaj mam zły dzień, ale jutro, jutro z samego rana...

— Szalom! Iga! Masz znaczki? — w otwarte okno wsunęła się czarna główka małego chłopca, jego płonące oczy wysupłały mnie z mroku.

— Nie mam. Przyjdź za kilka dni.

- Widokówek też nie masz?
- Wszystkie ci oddałam, a nowych jeszcze mi nie przysłali.
- Dlaczego?
- Listy z Polski idą długo.
- Dlaczego?
- Bo czytają je cenzorzy.
- Cenzorzy? Kto to są cenzorzy? Nie wolno czytać cudzych listów.
- A oni czytają.
- Nie aresztują ich? Dlaczego?

Wzruszyłam ramionami, on się skrzywił, nie miałam ochoty tłumaczyć mu rzeczy niewytłumaczalnych, usunęłam się w mrok.

— Szalom! — rzucił odskakując od okna i gwizdnął na psa. Usłyszałam lekki tupot drobnych kroczków przypominających lot ptaka, towarzyszył im radosny skowyt. Chyba zdrzemnęłam się, nie wiem, w każdym razie zmieniłam miejsce pobytu i przeniosłam się na inną planetę, to znaczy do Warszawy. Pod stopami szeleściły suche liście, jezioro czerniakowskie błyskało lustrzanym okiem wylaniając się z oparów mgły, z niewidocznych głośników płynął koncert Chopina. Słuchałam nie otwierając oczu, cudowne dźwięki wlatywały przez okno i były tak samo realne jak noc. Zerwałam się nieprzytomna i w szlafroku, bosy, przyglądając palcami rozsypujące się włosy pobiegłam do świetlicy, nie chcąc uronić ani jednego tonu. Carlos dostał paczkę z płytami, odczekał aż Rosjanie po wysłuchaniu swoich tęsknych melodii rozejdą się, i zabrał się do przesłuchiwania płyt. Wtedy się obudziłam.

Carlos był przystojny, chociaż jak wszyscy południowcy niezbyt wysoki, twarz ocieniała mu rzadka, krótka broda, ale na nią nikt nie zwracał uwagi. Ważne były oczy, duże, przepaściste jak studnia, głębokie i czarne, przy tym niepokojąco dzikie i przenikliwe. Jeżeli prawdą jest, że oczy są zwierciadłem duszy, to jego dusza była szalona i chora. Na zewnątrz tego nie okazywał, w przeciwieństwie do swoich ziomków z Brazylii, tryskających radością i humorem, milczał i co najwyżej uśmiechał się skąpo.

Wszystkim się kłaniał, lecz z nikim nie rozmawiał. Ja się go bałam, inni też raczej schodzili mu z drogi, więc kiedy go zobaczyłam rozpartego w fotelu przy adapterze, chciałam się cofnąć, on jednak

usłyszał skrzypienie drzwi, przestał na moment żuć gumę, z którą się nie rozstawał, i popatrzył na mnie bez słowa. Czekał widocznie, aż sobie pójdę, przemogłam lęk i zostałam. Carlos widząc, że się nie ruszam i nie przeszkadzam mu, odwrócił głowę i słuchał dalej, ja usiadłam na krześle i też słuchałam zapominając o nim.

Muzyka to inny wymiar, świat przeżyć abstrakcyjnych i niewymiernych, trudnych do przekazania. Na mnie działa uspokajająco. „Nie jest źle” — uśmiechnęłam się do ściany, czując jak spokój obmywa mi duszę.

Pianista wziął lekko ten pasaż, jakby unosił się wzwyż, ja razem z nim wzbijałam się do góry, lewitowałam, a potem bardzo powoli zaczęłam opadać, gwiazdy, którymi wybite było niebo, przybliżały się do mnie prosząc mdłe blade światło. Ostatnie akordy zamarły w ciszy.

— Toda raba — wstałam jak lunatyczka i ruszyłam do drzwi.

— Zaczekaj! — zawołał Carlos — Porozmawiajmy!

Nie odpowiedziałam. Wzruszenie było zbyt wielkie, a jego słowa chciały je zniszczyć. Pełna dźwięków, pasaży i półtonów zanurzyłam się w noc. Nazajutrz, kiedy podsypywałam karmę dla krów, Carlos zjawił się przy mnie tajemniczo jak duch i szepnął:

— Wieczorem Beethoven.

Skinęłam głową. On pobiegł do swoich zajęć. Nie liczył na to, że coś powiem, chociaż już trochę rozmawialiśmy. Wszyscy mówiliśmy po hebrajsku, ale to jeszcze nie było mówienie, myśleliśmy po swojemu, w swoich językach i to myślenie przekładaliśmy na hebrajski.

Carlos odszedł do swoich zajęć, a ja dalej podsypywałam karmę dla krów, wołałam to niż pracę w kuchni, byłam cały czas na powietrzu, bo tutaj krowy nie mają obór tylko zagrody z korytkami pod dachem. Paszę do nich wsypuje się, podnosząc dźwigienki i naciskając guziki.

Nic trudnego. W porównaniu z kuchnią było to „czyste” zajęcie i pełny luz. Po kolacji, nie czując zmęczenia, od razu skierowałam się do świetlicy. Wieczór był ciepły, niebo usiane gwiazdami, w powietrzu unosił się balsamiczny zapach eukaliptusów, pinii rozgrzanych w słońcu i jakichś odurzających kwiatów, które tu nieprzerwanie kwitną przez cały rok. Rosjan wymiotło na zewnątrz, siedzieli z gitarą przed jednym z baraków i nucili swoje tęskne, rzewne melodie.

Natomiast w świetlicy czekał na mnie Carlos, jakiś wyświeżony,

pachnący, oczy mu błyszcząły, biała trykotowa koszula podkreślała jeszcze jego egzotyczną urodę. Podsunął mi krzesło i nastawił płytę, podziękowałam za gumę, którą mnie poczęstował i przestałam zwracać na niego uwagę. Znow byłam w innym wymiarze, czy też jak kto woli na innej planecie. Zawsze, kiedy słucham muzyki, wracam myślami do Filharmonii Warszawskiej i do naszych szaleństw. Naraz czar przysł, oplotły mnie silne ręce Carlosa, jego usta spoczęły na moich.

— Co ty robisz, co ty? Carlos? — wyrwałam się z jego ramion i rzuciłam do drzwi. Zagroził mi drogę.

— Zaczekaj! Nie idź! Zostań! — brakowało mu słów, w popłochu potykał się prawie na każdym. — Ja myślałem, że ty przychodzisz tu dla mnie, że muzyka to pretekst... Zostań! Proszę.

— Jesteś idiotą. Co ty sobie wyobrażasz? — również szukałam w pamięci odpowiednich słów. — Ja mam swojego chłopaka, rozumiesz? On tu przyjeżdża w każdy piątek. Ja go kocham. Ja tu przyjechałam dla niego. Co ty sobie myślisz! Co ty sobie wyobrażasz?

Przepraszał, bił się w piersi, gestykulował. Klękał.

— Ja już nigdy, wybacz — podsuwał mi krzesło.

Zostałam i on rzeczywiście nigdy już nie próbował się do mnie zalecać. Znow wróciłam na kilka dni do kuchni, ktoś zachorował i musiałam go zastąpić, zżymałam się w duchu z tego powodu, ale nie śmiałam zaprotestować. Zbierałam więc talerze ze stołów, zmywałam, aż któregoś dnia na widok nadgryzionych kawałków mięsa i sosów w obrzydliwej pomidorowobrunatnej gamie i zwiędłych jarzyn wydzielających kwaśny, mdły zapach zrobiło mi się niedobrze. Zwymiotowałam. Koleżanki wyprowadziły mnie na powietrze i zgodnym chórem orzekły, że jestem w ciąży, ja też tak myślałam, tym razem bez przerażenia. Koleżanki spieszyły z gratulacjami, nikt się nie gorszył, jednak lekarz nic nie stwierdził, ale odesłał mnie do fabryki konserw. Ta praca była może mniej przykra, choć równie ciężka i nieprzyjemna, wymagała ustawicznej koncentracji uwagi. Fabryka była w dużym stopniu zautomatyzowana.

Wszystkie prace w kibicu są ciężkie, wymagają wysiłku i starań, ale ludzie wykonują je bez szemrania, przyświecają im wyższe cele. Do kibicu przywiodły ich komunistyczne ideały, syjonizm, budują komunizm, tego nie da się ukryć, natomiast cały kraj wręcz pławi się w kapitalizmie, szaleje konkurencja, wolny rynek, ludzie się dorabiają, bogacą, a ci tu harują wspólnie z zasadą: od każdego według jego możliwości i każdemu „po równo”. Nie otrzymują pieniędzy za pracę, w miejscowym sklepie pobierają swoje przydziały: buty, ubranie, papierosy, słodczyce czy alkohol. Kibuc zdejmuje z nich troski dnia codziennego, nie muszą robić zakupów, przygotowywać posiłków. O dzieci też nie potrzebują się martwić, internat ze szkołą jest na miejscu, dzieci znajdują się cały czas pod fachową opieką. Rodzice zabierają je na godzinę lub dwie do siebie... Wszyscy pracują, nawet bardzo starzy ludzie, mają za to zapewnione poczucie bezpieczeństwa, opiekę lekarską, rozrywki i wielką kibucową rodziną. Są tu pewnie jakieś intrygi, układy, zawiści, ale o nich my studenci studium językowego nie wiemy nic. Droga skręca gwałtownie w las i wpada w góry, przecina je, omija. Las rzadki, z odsłoniętą skórą jak poraniony człowiek, wyłazą spod niej białe kamienie, podobne do kości, w górze kobaltowe niebo z puszkami małych obłoków.

Po chwili wyrywamy się na otwartą przestrzeń. Wokół nas pusto, ruch niewielki, słońce przyjemnie grzeje przez szybę, a ja patrząc na to czyste niebo myślę sobie, że gdyby dziś wybuchła wojna, nasz samochód byłby doskonałym celem dla nieprzyjacielskich myśliwców. Na szczęście wojny nie ma i po dwóch godzinach niezbyt uciążliwej drogi wpadam w ramiona Stefana.

Witamy się gorąco jak po długiej rozłące. Ciągłe tyle czułości, tyle miłych, gorących słów. Pracował cały tydzień jako stróż nocny, po to, żebyśmy mogli pójść na kolację, zjeść lody albo napić się wina. Kupił mi ocieplaną kurtkę. Wieczory bywają chłodne, w dzień też często pada, a kiedy pada, robi się zimno, trzeba się ciepło ubierać. Sprawdza moje buty, czy nie przemokną, na jutro zapowiadają deszcz. Co robimy? Nie

wiem. W piątek życie w mieście przygasa, kończy się arabska niedziela, zaczyna szabas, nie pójdziemy więc na kolację, tańsze hoteliki i restauracje już są zamknięte, na hotelowe lokale, gdzie zatrzymują się cudzoziemcy, nas nie stać. Zjemy u Stefana w akademiku, nie ma sprawy. Wystarczą czarne oliwki, orzeszki i ser. Oboje lubimy to samo, nęcą nas małe, przytulne restauracyjki. Cóż z tego? Jerozolima jest świętym miastem, przestrzega się tu odwiecznych zakazów, w święto, czyli w szabas, nie wolno pracować, prowadzić interesów, gotować też nie. Pobożny Żyd w szabas rozmawia przede wszystkim z Bogiem. My nie jesteśmy pobożni. Wierzymy, że Bóg istnieje i na tym koniec. Zaczynam lubić to miasto, chociaż ono w niczym nie przypomina mojej ukochanej Warszawy, o której mówiłam, że jest jak rozpustna kobieta. Jerozolima przypomina skromniśkę, niezwykle przebiegłą i mądrą, wie co odsłonić, pokazać, a co zostawić w cieniu, szczerze sypie błękitem, błyska niespodziewanie bielą i nim człowiek zdąży złapać oddech, rozwija przed nim zieloną wstęgę.

Święte miasto ułożyło się sznurem pereł na wzgórzach, najwyższe z nich to góra Skopus. Widać stąd obręcz murów, okalających Stare Miasto ze strzelającą w niebo złotą kopułą meczetu Skały, dolinę Cedronu i obciążone zielonym paskiem łagodne zbocza Góry Oliwnej. W czystym ostrym świetle, niemal jak w przestworzach, miasto pokazuje swe kształty obleczone w biel jerozolimskiego kamienia, rzuca je niczym wyzwanie niebiosom i przestrzeni, która tu zmierza wprost ku nieskończoności. Świętość kryje się nie tylko w powietrzu, jest w każdej grudce ziemi i nawet taki agnostyk jak ja odczuwa tutaj obecność Boga.

— Dokąd idziemy? — pyta Stefan.

Patrzę na niego z uśmiechem, od razu wie, o co chodzi. Rozumiemy się bez słów. Bierzemy taksówkę. Stefan twierdzi, że dzisiaj nas na to stać. Kierowcą jest Arab. Żydzi już nie jeżdżą. Za chwilę kobiety zapalą świece i zacznie się szabas, a w szabas nie działa komunikacja miejska. Arab jest chrześcijaninem. Bierze nas za turystów. Skoro jedziemy na Górę Oliwną, widocznie jesteśmy tak jak on chrześcijanami. Stefan rozmawia z nim po angielsku.

— Skąd jesteście? — pyta.

— Z Polski.

— To gdzieś w Europie — uśmiecha się zadowolony, że umiejscowił bezbłędnie nasz kraj.

— Tak — potwierdza Stefan — gdzieś w Europie.

Robi nam się przykro. Polska w skali europejskiej jest dużym krajem, ludności ma prawie tyle co Hiszpania, a ludzie nic o nas nie wiedzą, przeciętni, zwykli ludzie potrafią powiedzieć jedynie tyle, że leży gdzieś w Europie. I tak dobrze, że nie w Rosji. Taksówkarz zostawił nas przed kościołem Pater Noster i odjechał. Nie chce mi się wchodzić do środka, nie lubię kościołów, w których nie ma nic do oglądania, a w tym nie było. Tablice z „Ojciec nasz” wypisanym w 45 językach nie stanowiły wielkiej atrakcji, zresztą już je widziałam. Chodziło mi o widok z góry, który też się jakby zbanalizował przez zbyt częste eksponowanie go w telewizji i na pocztówkach. Widać stąd fragment murów, złotą bramę, przez którą miał przybyć Mesjasz. Brama została zamurowana w VIII wieku przez Saracenów, którym chodziło o to, żeby uniemożliwić Mu wejście do miasta. Nie dowierzali jednak murom i na wzgórzu przed bramą, po zewnętrznej stronie założyli cmentarz. On dawał większą gwarancję niż mury. Stopy Mesjarza nie mogły stąpać po nieczystej ziemi, a taką ziemią był cmentarz, ciągnący się w dół aż po dolinę Jozefata. Kamienie zamiast pomników wystawione ostrymi końcami na wschód tworzą białozieloną mozaikę, wtapiając się w koloryt świętego miasta. Na północnych zboczach Góry Oliwnej też są cmentarze, głównie żydowskie, lecz one nie mają żadnej misji dziejowej do spełnienia, po prostu są. Nasyciwszy oczy widokiem schodzimy w dół ku murom miasta śladami Chrystusa lub jego legendy. To tu, gdzie wznosi się klasztor Pater Noster, Chrystus nauczał apostołów o rzeczach wiecznych. Niżej, gdzie znajduje się niewielki kościółek z oknami w kształcie łzy, płakał nad Jerozolimą, przepowiadając upadek miasta. Wiedział, że nie zostanie z niego kamień na kamieniu i nie potrafił temu zapobiec. Jako Syn Boży mógł tak niewiele. Ostatnie promienie słońca muskają mury, kiedy dochodzimy do Getsemani. To miejsce wiąże się również z Jezusem. Tu Judasz wskazał go pocałunkiem rzymskim żołnierzom. Tutaj Go pojмали. Getsemani to po hebrajsku tłoczarnia oliwek albo olejarnia. Jezus nocował u swoich krewnych czy też znajomych. Teraz jest tu Świątynia Konania i my... my... Naprawdę trudno w to uwierzyć.

Słońce stoczyło się już za góry, w powietrzu drżą jeszcze kropelki światła, wkrótce zapadnie zmierzch. Musimy złapać taksówkę, żeby dostać się do akademika. Innego sposobu nie ma. Szabas.

Jutro pójdziemy na Stare Miasto pooddychać historią. Teraz o zmierzchu jest niebezpiecznie. W arabskiej części, przez którą wiedzie droga do Bazyliki Grobu, zdarzają się napady, Arabowie rzucają się z nożami na pojedyncze osoby, mordują mężczyzn, kobiety, a nawet dzieci, po czym znikają w wąskich korytarzykach krętych uliczek wśród swoich. Trudno ich złapać. Mordercami są często piętnasto-, szesnastoletni chłopcy.

W akademiku cicho, spokojnie, w niektórych pokojach płoną świece. Święto. Współlokator Stefana wyjechał. Mamy więc dla siebie pokój do jutra. I jak tu nie wierzyć banalnym stwierdzeniom, że życie jest piękne. Stół nakryty na dwie osoby, avocado, oliwki, sałatka z bakłażanów, w piekarniku podgrzewa się kurczak. Stefan otworzył butelkę, nalewa, toastom nie ma końca, pijemy „za egzaminy, za naszą miłość, za Jerozolimę, Warszawę i wreszcie za romantycznych Polaków...

Stefan jest teraz inny niż w Polsce, ten krajobraz, ta ziemia ukształtowały go na nowo, coraz bardziej to widzę. Wchłonął oddech tej ziemi, jej tragiczną historię, już się z nią związał, zapuścił korzenie, natomiast ja wciąż błędzę po labiryncie z piasku, szukam wyjścia i ciągle je gubię. W Wiedniu myślałam, że wystarczy zniszczyć paszport, wsiąść w samolot, przebyć przestrzeń dwóch tysięcy kilometrów, by stać się kimś innym. Uległam czarowi złudzeń, teraz to widzę, nitki, których się czepiam, są cienkie i słabe, zerwą się jutro wieczorem, gdy stąd odjadę, a potem przez cały tydzień będę się zmagać z poczuciem bezsensu, zrywając cytrusy i wgryzając się w zawilóści języka, którym w czasach Chrystusa już nikt nie mówił.

W oczach Stefana odnajduję blask tego nieba, które jesienią stroi się w ostry błękit, a latem blednie, w cerze i we włosach rdzawo-piaszczystą barwę niezbyt wysokich gór Judei.

— Zmieniłeś się — mówię podnosząc wino do ust.

— Wiem — kiwa głową i zerka na mnie z niepokojem. — Byt określa świadomość, warunki życia kształtują osobowość — próbuje żartować i ściska moją rękę. — Czy już ci się nie podobam? — Satysfakcjonującą go odpowiedź odnajduje w moim spojrzeniu. — Miałaś takie piękne ręce — zauważa z bolesnym grymasem i całuje moje popękane palce, których się wstydzę i chowam przeważnie do kieszeni.

— Och! — wsuwam je ze złością pod stół. — Jeszcze tylko kilka miesięcy...

— Ciagle mam wyrzuty sumienia — zwiesza głowę — nie mogę...

— Daj spokój! — przerywam szorsko. — Mówiliśmy o tobie... Cieszę się, że zapuściłeś tu korzenie i stałeś się inny. W Polsce wydawało mi się, że jestem starsza od ciebie, teraz jest odwrotnie, jest tak jak powinno być, czuję się słabsza i potrzebuję twojej pewności siebie i twojej siły... — mówię nie to, co chciałam, nie cenię w mężczyznach siły, w nim też nie, urzekła mnie jego wrażliwość, niespotykana w naszych czasach subtelność i delikatność uczuć oraz inny sposób patrzenia na ludzi, w których widział przede wszystkim dobro. Płacił za to bolesnymi rozczarowaniami. Wypadki w Polsce ugodziły go w samo serce, zabiły w nim duszę poety, której tu nie zdołał zreanimować. Nadal mimo moich zachęt i próśb nie pisze wierszy.

Noce były za krótkie, każde przebudzenie zaczynało się od szukania siebie nawzajem i odnajdywania.

— Iguś — szeptął budząc się — jesteś tu? Naprawdę?

Brał mnie na ręce, nosił, całował. Kochaliśmy się do całkowitego wyczerpania, spleceni ze sobą zapadaliśmy w drzemkę, budząc się znowu szukaliśmy swoich ust.

Na Starym Mieście, w pobliżu Bramy Damasceńskiej mamy swoją kawiarnię. Stamtąd rozpoczynamy naszą wędrówkę. Słońce utonęło w chmurach i zrobiło się nagle zimno. Kurtka od Stefana bardzo się przydaje, zajmujemy miejsca przy stoliku pod gołym niebem i zamawiamy kawę. Widok stąd ciekawy, turyści z różnych stron świata zmierzają grupami do miejsc świętych. Zbliża się Boże Narodzenie,

ruch coraz większy, my również po wypiciu bardzo słodkiej kawy podążamy za nimi. Arabska część miasta w szabas tętni normalnym życiem, sklepy otwarte, szczupli ruchliwi chłopcy wsuwają bułki i chleb do rozgrzanych pieców, pachnie drożdżami, pełno straganów z owocami. W otwartej witrynie różnobarwne oliwki, marynowana papryka, jarzyny, orzechy, sklep z pamiątkami, konfekcja, słodycze. Zapachy nakładają się na siebie, uwodzą, kupcy żywą gestykulacją i uśmiechami zapraszają do swoich stoisk i kramów.

Stefan wypatrzył gdzieś moje ulubione ciastka migdałowe, zmusza mnie do zjedzenia ich, znalazł też przewodnik w języku polskim i też mi go kupił. Jest rozrzutny, szalony. Uwielbiam go za to. Orientuje się doskonale w bezładnej pozornie gmatwaninie uliczek, wąskich jak korytarze, ustawia mnie na tle jakichś przejść, prześwitów, robi zdjęcia. Wreszcie poszturchiwani i popychani przez gęstniejący tłum docieramy do Bazyliki Grobu i tu ogarnia mnie zniechęcenie, nie chcę już niczego zwiedzać. Gwar, szepty, chichoty, greccy księża, którzy opiekują się kaplicą Grobu popędzają nas i pokrzykują: szybciej, szybciej, za nami kolejka. Grób obstawiony ołtarzem, płoną świece w złożonych lichtarzach, wchodzę pochyłona do Grobu, nic prawie nie widzę i już muszę wyjść. Wszystko odbywa się niemal w biegu, bez żadnej refleksji czy skupienia. Golgota. Usiłuję wyobrazić sobie tę górę: trzy krzyże, straż, prześmiewcy, szarobiała skała. Widać ją jeszcze w kilku miejscach. Bazylika opasuje górę, rozciąga się nad nią, obejmuje ją swymi ramionami i spływa po jej zboczach. — Chodźmy stąd! — zwracam się do Stefana. — Denerwują mnie ludzie, najbardziej ci Grecy. Co oni robią z kościoła? Cyrk? Przedstawienie? Łomoczą ogromnymi laskami, popychają ludzi. Co oni mają na głowach? Tureckie fezy? Czy to strażnicy? Kto to jest? Stefan wzrusza ramionami, nie wie, bierze mnie za rękę i prowadzi w głąb Bazyliki, a ja rwę się do wyjścia, mam dosyć. Moje poczucie ładu zostało naruszone, kościół powinien być kościołem, a nie miejscem promenad i poszturchiwań. On jak zwykle postawił na swoim, nie wypuszczając z rąk mojej dłoni, prowadzi mnie coraz niżej łagodnym zboczem Golgoty, zatrzymuje się na chwilę, coś sprawdza i ruchem głowy wskazuje mroczne pomieszczenie z czarnymi od starości ścianami-

mi. Nie ma tu żadnych ozdób, żyrandoli, kinkietów i ołtarzy. Całość oświetlają dwie dopalające się świece.

— To kaplica Koptów — informuje mnie szeptem — a teraz chodź, coś ci pokażę.

Z lekkim drżeniem wchodzę zgięta wpół do ciemnego przedsionka, skąd wieje wilgotnym chłodem. Stefan zapala świeczkę i przez łukowaty otwór przedostajemy się do dużej niszy, wykutej w skale, przypominającej piwnicę. Płomień świecy chwieje się, mruga niezadowolony i gaśnie. Stefanowi udaje się ponownie zapalić świecę. Z prawdziwym wzruszeniem oglądamy ciemne, okopcone przez wieki ściany. W kaplicy, przed wejściem do Grobu czarna kobieta odmawia różaniec. — Czy to tu był Grób Chrystusa? — pytam szeptem, żeby jej nie przeszkadzać.

— Koptowie uważają, że tu. Widzisz, przychodzą się modlić.

— Mają rację — potwierdzam z przejęciem. — No, bo powiedz, czy Jezus, takim jakim był, zgodziłby się na te ołtarze, kandelabry, kinkiety, złoto, purpurę? Nawet jeżeli Jego Grób był rzeczywiście tam, gdzie Grecy, to On woli z pewnością ten... — Tak — potwierdza zamyślony, bierze następną świeczkę, zapala i kładzie dwa szkle na przygotowaną w tym celu tacę, świeczkę stawia przed wejściem do Grobu. Rozmodlona kobieta przesuwa czarne palce po paciorkach różańca i chyba nas nie widzi. Ja też pragnę się pomodlić, chwila jest odpowiednia, nastrój mistyczny, półmrok, pełzający płomień świecy i ta uduchowiona kobieta z oczami pełnymi światła. Nie znam jednak żadnych modlitw prócz strzępków „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”... One jakoś nie przystają do tego miejsca, proszę więc Boga, żeby zesłał na mnie światło, powtarzam kilka razy zwrot, który zaczyna mi się podobać: „Ześlij na mnie światło, ześlij na mnie światło”. Na dworcu usiłowaliśmy złapać jakąś okazję. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, trwał szabas, i więc autobusy nie kursowały. W końcu Stefan wypatrzył taksówkę, właściwie mikrobus, który jechał do Tel Avivu. Kierowca czekał jednak, aż zbierze się osiem osób, dopiero wówczas ruszył. Zajął miejsce przy oknie, jeszcze rozmawiałam ze Stefanem przez szybę, lecz czując jak kierowca wrzuca pierwszy bieg

uniosłam rękę. Wracałam do bezsensownej egzystencji w kibucu. Stefan po kilku sekundach znikł mi z oczu. Siedząc przy oknie nie mogłam tym razem podziwiać widoków, padało, góry pokryte piniowymi lasami ginęły w przesłonie deszczu. Pasażerowie drzemali lub rozmawiali, obok mnie siedziała bardzo piękna dziewczyna o twarzy z zapomnianych portretów, przezroczysta jak воск, jedna z tych Jemenek, za którymi ciągle wodzę oczami. One są jak posągi wyrzeźbione przez wiatr, niezwykle delikatne, gładkie i silne. Wszystkie są takie, wcześniej już zwróciłam na nie uwagę, niezwykle kruche stworzenia obleczone cienką warstewką ciała. Pochodzą z krajów arabskich, gdzie kobieta jest nadal niewolnicą mężczyzny, zależną od jego kaprysów i woli, a one zachowują się tak, jakby przed chwilą zeszyły z Olimpu. Dziwne, wszystko co mnie otacza jest niepojęte, zaskakujące i tajemnicze. Chrystus umarł na krzyżu, by zmasać z nas grzech pierworodny, żył na tej ziemi, oglądał te góry, to niebo. Przed kościołem Dominus Flevit rosną oliwki, które być może widziały jak płakał nad Jerozolimą. Miał matkę Żydówkę, wierną służebnicę Pana i był Żydem, został wychowany w pobożnym żydowskim domu, nauczał w synagogach, niósł ludziom prawdę, ale nie wszyscy chcieli ją uznać za swoją. Czy tylko za to zostali ukarani? Nie mogę się w tym połapać. Moja wiedza o dogmatach wiary jest powierzchowna. Biblia, którą tutaj czytam z uporem, nie wyjaśnia wszystkiego, ale zbliża mnie do tej ziemi. W Tel Avivie przesiadłam się do innej taksówki, jadącej do Hajfy, i w ten niezbyt skomplikowany sposób dotarłam do Hedery. Padało. Wiatr rozrzucał fontanny wody, przed którymi nie było gdzie się schronić. Kierowca zostawił mnie na smutnej uliczce, pozbawionej świateł i ludzi. Rwące potoki płynęły po jezdni. Od kibucu dzieliło mnie siedem kilometrów. Obeszłam niewielki rynek w poszukiwaniu taksówki, a ponieważ nic nie znalazłam, postanowiłam iść pieszo. Kurtka od Stefana zaczęła przemakać, lecz nie to mnie przerażało. Do deszczu jestem przyzwyczajona, w Polsce przecież ciągle pada. Bałam się pustki i braku ludzi. Izrael jest małym krajem, wąskim i długim jak włócznia. Mamy wprawdzie Synaj, ale to nie Izrael tylko pustynia, na której uciekająca armia egipska zostawiła tysiące butów. Synaj się więc nie liczy. Prawdziwy Izrael jest mały. I jeżeli w tym

małym kraju nie widać ludzi, to znaczy, że stało się coś niedobrego. W takim

małym kraju na każdej uliczce powinny być tłumy. Nie wiedziałam jeszcze, że tak powinno być. Puste ulice w szabas w ortodoksyjnej dzielnicy Mea Szarim w Jerozolimie i małych miasteczkach oznaczają normalność. Szłam dalej, nie miałam wyjścia. Hedera została w tyle, po obu zaś stronach szosy ciągnęły się drzewa pomarańczowe z mięsistymi piłkami owoców. Teraz świeżo obmyte deszczem świeciły jak bąbelki na choinkach. W takim gaju z łatwością mógł ukryć się Arab, zaraz skoczy na mnie z nienacką i wbije mi nóż w plecy. Obejrzałam się z lękiem. W miasteczku dosyć nieśmiało zapalały się pierwsze światełka, co oznaczało, że kończy się szabas. Na dworze było jeszcze widno, ale wraz z deszczem mrok już wysuwał zza drzew swoje mokre palce. Wtem usłyszałam warkot motoru, po chwili z naprzeciwka wyłonił się skuter i jechał wprost na mnie. Stałam, nie wiedząc co czynić. Uciekać nie było dokąd, co najwyżej mogłam skoczyć w ciemny, wilgotny gaj i tam się przyczaić. Ale na to było za późno. Człowiek na skuterze wyraźnie zwolnił, dojechał do mnie, przyhamował i zza ściany deszczu błysnęły wielkie oczy Carlosa. Zachwiałam się z wrażenia i żeby nie upaść chwyciłam się jego ręki. — Carlos! O Boże! — wyszeptałam pokonując paraliż szczęki. — Skąd się tutaj wzięłeś? Carlos! Jestem ci bardzo wdzięczna. Nie spodziewałam się! — dziękowałam wylewnie. — Siadaj! Szybko! — warknął opryskliwie, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje serdeczności i kopnął sprzęgło. Skuter podskoczył, zakolebał się, zawirował i odzyskując równowagę wrócił do pozycji pionowej, po czym runął przed siebie, tnąc strugi deszczu. Leciał z szybkością wiatru. Trzymałam się go obejmując w pół i umierałam ze strachu. Z łatwością mogliśmy wpaść w poślizg, wystarczyła chwila nieuwagi, a wyrzuciliby nas w powietrze z nietrudnym do przewidzenia skutkiem. Nic nie mówiłam czując intuicyjnie, że wszystkie moje prośby o zmniejszenie szybkości Carlos skwituje milczeniem. Na szczęście całą 1 zdrową przywiózł mnie przed barak. — Jeszcze raz dziękuję — pocałowałam go w mokry policzek. — Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. Jesteś wspaniały. Od dziś będę cię nazywać Carlos Wspaniały. Chcesz? — Wzruszył ramionami jakbym powiedziała coś niestosownego i nawet się nie uśmiechnął. — Zaraz się przebiorę i przyjdę do świetlicy. Nastawisz mi Bacha?

— Nie. Jest żałoba. Zabito dwóch chłopców. Jednego znasz, przychodził do ciebie po znaczki.

— Noe? Ten z psem? — nie mogłam uwierzyć. — Kto to zrobił? Dlaczego? Jak?

— Nożem... — zwiesił głowę — zginął mu ten pies. Poszedł z kolegą go szukać... Znaleziono ich dzisiaj w gaju pomarańczowym, po tamtej stronie szosy.

— Kto to zrobił? Kto walczy z dziećmi?

— Arabowie. Jednego zatrzymano. Drugi zbiegł...

— Boże! Boże! — zupełnie się zatraciłam, nie mogłam dopuścić do świadomości tych strasznych faktów. Ten Noe był taki miły. Ile on miał lat? Jedenaście? Jeszcze niczego nie zaznał w życiu, pytał o klimat Polski, o śnieg, opisywałam mu zimę, jazdę na sankach, odwilż, szadź na drzewach... To był sabra, urodził się tu, w Izraelu...

— Lepiej, żebyś uważała na siebie — popatrzył na mnie prosząco. — To nie Polska... Tu ciągle jest wojna.

— To bandytyzm, nie wojna, zwyczajny bandytyzm. Żołnierze nie zabijają dzieci, robili to tylko hitlerowcy. Dziękuję za podwiezienie. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Słaniając się na nogach weszłam do pokoju. Jeannette nie było. Deszcz wygrywał przerażająco smutne symfonie. Zarygłowałam się na wszystkie zamki i pozasłaniałam okna, zamknęłam również wiecznie otwarte okno w łazience. W sąsiednim pokoju dziewczyny siedziały przy świeczkach pogrążone w modlitwie, nie chciałam im przeszkadzać, wróciłam do siebie. Zaczęłam pisać list do Stefana. Opisałam mu całe zdarzenie, błagając, żeby nie korzystał, jak to wielokrotnie czynił, z przypadkowych środków lokomocji. Wolałam nie widywać się z nim niż narażać go na niebezpieczeństwo. Nie posłuchał mnie i w następny piątek wieczorem, gdy odrabiałam ćwiczenia z hebrajskiego, w szybie pojawił się czerwony płomień Sebastiana

I tak jak kiedyś na Sadybie on wszedł do pokoju przez okno.

Zbiór pomarańczy — te słowa brzmiały niezwykle egzotycznie i pięknie. Drzewa dojrzewały na moich oczach, a teraz płonęły w słońcu

jak złote monety. Poszłam wraz z innymi do tego gaju, gdzie zamordowano dwóch chłopców, W tym miejscu chasydzi modlili się przez tydzień. Teraz ich już nie było. Między drzewami co jakieś dziesięć metrów stały olbrzymie skrzynie. Dostałam ogromną torbę, weszłam na drabinę i szczypczykami obcinałam owoce, wkładałam do torby, a po napełnieniu jej schodziłam z drabiny i bardzo delikatnie przesypywałam pomarańcze do skrzyni, po czym znów wchodziłam na drabinę i puszczałam szczypce w ruch.

Kolce wbijały się boleśnie w ramiona i w plecy. Cały romantyzm diabli wzięli. Okazało się, że drzewa cytrusowe nie tylko są gęste i grube, ale i kolczaste.

Pomarańcze wyglądają zupełnie inaczej niż te, które kupuje się w sklepie, przede wszystkim są brudne i lepkie, ich skórka wydziela jakieś olejki i tłuszcz, ten tłuszcz w połączeniu z brudem wżera się w skórę i szczypie, nie można tego odmyć od razu. Pierwszego dnia szorowałam ręce przed kolacją przez pół godziny z miernym skutkiem, dopiero po jakimś czasie stwierdziłam, że naskórek nasączony olejkiem musi się zniszczyć i przestałam się tym przejmować. Teraz wszyscy w kibucu mieli takie ręce, wszyscy bowiem studenci i kibucnicy wdrapywali się na drabiny z torbami i zrywali owoce, dźwigi podjeżdżały pod skrzynie i zabierały je. Kibuc tętnił innym rytmem, gaje przestały być groźne, rozbrzmiewały wieloma głosami, słychać było rozmowy w różnych językach, dominował jednak hebrajski, ja też rozmawiałam. Już nie czułam się taka samotna i opuszczona, zawsze był ktoś w pobliżu, z kim mogłam zamienić kilka słów. To było fantastyczne, niemożność porozumienia się w pierwszych tygodniach wpędzała mnie w melancholię. A teraz mówiłam i rozumiałam co do mnie mówiono i cieszyłam się z tego.

Nigdy nie przywiązywałam wagi do świąt, były — to dobrze, równie dobrze mogło ich nie być. Natomiast w Izraelu, w ziemi bądź co bądź świętej, zaczęłam nagle odczuwać potrzebę wigilii, choinki, kolęd, opłatka. Wynikało to chyba z przekory, zawsze przecież najbardziej pragnie się rzeczy niemożliwych. Wigilia wypadła gdzieś w środku tygodnia, nie pamiętam już, jaki to był dzień.

Poszłam zwolnić się z zajęć. W sekretariacie oświadczyłam, że muszę jechać do Jerozolimy. Powiedziałam to agresywnie, głośno, ze złą twarzą. Nikt o nic nie pytał, ja niczego nie wyjaśniałam, nie musiałam. I wcale nie miałam zamiaru jechać do Jerozolimy.

W Hederze złapałam bezpośredni autobus do Hajfy i wylądowałam u rodziców Stefana. Oni są teraz moją rodziną, innej nie mam i nie chcę. Był karp i gałązka jedliny z kolorowymi bombkami, świece. Po kolacji popijając wino słuchaliśmy kolęd w wykonaniu „Mazowsza”. Wtedy matka Stefana, chcąc mi sprawić przyjemność, zaproponowała, żebym zadzwoniła do rodziców w Warszawie. Mają już telefon.

— O tej godzinie nie kosztuje drogo — zachęcała, widząc moje niezdecydowanie. — Złożysz im życzenia, wszyscy teraz są w domu.
— Nie, lepiej nie — wahałam się nadal — wysłałam do nich kartkę i list. Wystarczy. Jeszcze się rozkleję — dodałam na swoje usprawiedliwienie. Tak było. Bałam się, że głos mi zadrży, że powiem coś nie tak, jak trzeba. Im tam przy wigilijnym stole pierwszy raz beze mnie i tak jest nieswojo. Po co obciążać ich jeszcze moimi stresami, frustracjami? Głos mógł mnie zdradzić, listy były pewniejsze.

— Jak chcesz — uśmiechnęła się matka Stefana i otoczyła mnie swoim ramieniem, na co ja zareagowałam jak wygłodniały pies i odruchowo przytuliłam się do niej. Trwałyśmy przez chwilę w uścisku, a potem napiłyśmy się wina.

— Jesteś bardzo dzielna i godna podziwu — powiedziała dolewając mi do kieliszka.

Mówiła prawdę, tak było, podziwiali mnie, mimo że byłam gojką, co dla nich — postępowych i wykształconych ludzi — nie miało znaczenia. Dla pobożnych i ortodoksyjnych Żydów oczywiście miało, a dla nich nie.

— Jak nauka? — pytała dalej. — Przebrnęłaś przez pierwszy etap? Początki są zawsze najtrudniejsze — podsunęła mi oliwki czarne jak smoła.

— Zaczynam mówić i sporo rozumiem. W związku z tym czuję się o wiele lepiej. Nie jestem już taka bezradna i zagubiona...

— I nie powinnaś, masz przecież nas. Nie zapominaj o tym. Masz nas.

W drugi dzień świąt matka Stefana urządziła przyjęcie, na które zaprosiła swoich przyjaciół, chętnie zaprosiłaby moich, lecz ja ich nie miałam. Przygotowała wcześniej faszerowaną rybę, kurczaki z nadzieniem oraz kilka rodzajów sałatek z bakłażanów, avocado i kopru włoskiego oraz jakichś dziwnych jarzyn, których nazw jeszcze nie znam. Słabszych i mocniejszych trunków nie brakło, chociaż tu nikt poza nami nie pije. My pijemy, jak na polskie stosunki, mało, symbolicznie nawet, tutaj jednak uważa się, że dużo, i matka Stefana nie była z tego powodu zadowolona, — Upijecie się dzieci — karciała nas dobrotliwie, ojciec zaś z figlarnym błyskiem w oczach dolewał sobie i nam.

Rozmawiano w dwóch językach, po polsku i po rosyjsku. Początkowo sądziłam, że po polsku ze względu na mnie, po chwili przekonałam się, że nie. Większość przyjaciół rodziców wyjechała z Polski w latach 57 i 68. W Izraelu nauczyli się hebrajskiego, posługiwali się nim w pracy, w urzędach i sklepach, a między sobą mówili językami, które wynieśli z domu. Rosjanie po rosyjsku, Polacy po polsku. Po godzinie zaczęłam się z grubsza orientować, kto jest kim. Z parą leningradczyków — Sonią i Miszą — rozmawiano po rosyjsku, również pani Sara, piękna kobieta o szlachetnych rysach i niepokojąco bystrym spojrzeniu, posługiwała się rosyjskim. Do Izraela przyjechała z Wenezueli, ale urodziła się w Sanki-Petersburgu, gdzie chodziła na pensję dla szlachetnie urodzonych panien. Mówiła inaczej niż moi koledzy ze studium, pieśczośliwie, miękko ze śpiewną intonacją. Pozostali mówili po polsku. Rozmowy jak zwykle tutaj o sytuacji międzynarodowej, o Arabach i Synaju, który po 6-dniowej wojnie przypadł Izraelowi. Pan Leszek — inżynier, dopiero co wrócił stamtąd. Widział kilka wiosek arabskich. Nigdy nie sądził, że taka nędza jak tam jest w ogóle możliwa, że gdziekolwiek istnieje i to w takiej bliskości, nieomal przez miedzę.

— Niewiarygodne! — wykrzykiwał — ludzie mieszkają w lepiankach, jak przed tysiącami lat, te lepianki nie posiadają drzwi, okien, a co dziwniejsze i dachów. Wprost trudno sobie wyobrazić, jak oni tam żyją.

— A co z tymi butami, które egipscy żołnierze uciekając przed naszą armią pozostawili na pustyni? Czy one tam jeszcze leżą? — spytałam siadając przy suto zastawionym stole. Problem butów fascynował mnie od dawna, w żaden sposób nie mogłam sobie wyobrazić ogromnej armii błakającej się po pustyni na bosaka. Był w tym surrealizm i groza. Na pustyni są przecież skorpiony i jadowite węże, piasek jest albo bardzo gorący, albo zimny, zawsze jednak jest niebezpieczny. Dlaczego więc uciekali boso?

Pan Leszek wzruszył ramionami. Problem butów w ogóle go nie zajmował. Nędza ludzkiej egzystencji wstrząsnęła nim do głębi, widział żebrzące dzieci i dorosłych, którzy wyciągali rękę po pieniądze, ponieważ byli głodni, nie wstydzili się prosić o wsparcie u swoich wrogów.

— Nie widział pan tych butów? — nie dawałam za wygraną.

— Widziałem — zrobił lekceważący ruch ręką. — Jak byłem poprzednim razem. Buty jak buty. Nie zrobiły na mnie wrażenia, leżały w piasku pokryte grubą warstwą pyłu. Teraz widziałem wsie, straszne, cuchnące wsie z kilkoma kozami, żywiącymi się śmieciem i odchodami. Nie wiem, czy po tych widokach można jeszcze normalnie żyć, jeść, śmiać się, chodzić na plażę... — chwycił kieliszek wódki i wypił go z determinacją. — Człowiek jest wyjątkowo nieczułą istotą — odwrócił się i zakrył rękami twarz.

— A co w Polsce? Co w naszej byłej ojczyźnie? — spytała jadowicie jego żona, rosła blondynka z maślanymi oczami i zgrabnym nosem, ubrana ekstrawagancko w zamszową spódnicę z frędzlami i fantastyczną bluzkę w jesiennych kolorach — dalej trwają polowania na czarownice?

— Nie wiem, rzadko słucham radia — odparłam nastraszona. Unikałam rozmów o Polsce i Polakach, których tutaj wszyscy uważają za biologicznych antysemitów, prawie takich jak Niemcy albo jeszcze gorszych. Kuliłam się wewnętrznie słuchając tych obelg, na odparcie których brakowało mi argumentów. Polska bowiem uczyniła wiele, żeby sobie zasłużyć na taką opinię.

— A co pani robiła przed przyjazdem tutaj? — spytała znowu pani inżynierowa.

— Studiowałam na UW.

— Przyjęli panią na studia? Żydów przyjmują na studia? Dopiero

co wszystkich wyrzucili i już przyjmują? No, no, dziwnych rzeczy się od pani dowiaduję.

— Proszę pani — uśmiechnęłam się do niej, usiłując zbagatelizować sprawę — Polaków też wyrzucano ze studiów, to taki kraj, tam stale się kogoś prześladowuje, represjonuje, weryfikuje i aresztuje...

— Przepraszam, czy pani chce przez to powiedzieć, że Polacy nie są antysemitami? — popatrzyła na mnie z bezbrzeżną pogardą.

Potrząsnęłam głową.

Matka zapaliła papierosa i przyglądała mi się z niepokojem. Stefan znajdował się w drugim końcu stołu, nie słyszał chyba o czym mówimy, więc nie mógł mi pomóc. Poczułam się osaczona, najłatwiej byłoby zaprzeczyć, ucinając dyskusję, ale tego nie byłam w stanie uczynić.

— Widzi pani — odezwałam się cicho po nabraniu oddechu — ja nigdy nie zdobędę się na to, żeby oskarżać wszystkich. W Polsce są antysemita, jasne, że są, ale też nie brak innych, normalnych ludzi, którym to uczucie jest obce. Nie wiem, ilu jest jednych, a ilu drugich. Antysemita wysuwają się zawsze na plan pierwszy...

— A to dobre! — roześmiała się głośno pani inżynierowa, jej zgrabny nos wydłużył się i zaokrążył — wyrzucili panią z ich wspaniałej ojczyzny, a pani ich broni! — Nikogo nie bronię i nikt mnie nie wyrzucał. Chciałam tu przyjechać, więc przyjechałam — sięgnęłam po kieliszek, ręka mi drżała, lecz w głosie nie było odrobiny złości, zdusiłam ją w sobie.

— A pani rodzice? Zostali w Polsce? Nie stracili pracy? Nie wybierają się tutaj? — Na razie nie — uśmiechnęłam się słodko. — Co będzie dalej, nie wiadomo — wypiłam wódkę do dna.

— Iga ma rację — Stefan przybył mi z odsieczą. — Nie można oskarżać całego narodu, antysemita jest wszędzie, w całej Europie i na innych kontynentach, w Polsce natomiast ciągle jest podsycany jak nie przez kler, to przez partię. Zawsze, niestety, trafia na podatny grunt... Widzi pani — pochylił się nad inżynierową — Polacy są pełni kompleksów, walczyli o wolność i zwyciężyli, lecz po tym zwycięstwie, okupionym morzem krwi, wzięto ich znów do niewoli. Faktycznie są przecież w niewoli. Dlatego czują się skrzywdzeni i gorsi. Chcą się odegrać i szukają słabszego. Tym słabszym i gorszym nadal w ich

pojęciu jest Żyd, więc huzia na niego... I tu spotkał ich zawód. Tak — powtórzył z nie ukrywaną satysfakcją — antysemitów w Polsce spotkał zawód. Żydzi przestali być słabi i bezbronni. Teraz mają swój kraj, swoje państwo, swój rząd i swoją armię i jeżeli ktoś ich krzywdzi, pakują manatki i wyjeżdżają. To, że mogą wyjechać i mają dokąd, jeszcze bardziej Polaków złości, oni też by chcieli spakować manatki i udać się w drogę, ale nie mają dokąd... Nie mają dokąd...

— Nie, to nie to — obstawała przy swoim pani inżynierowa — to nie kompleksy, to pycha, pycha sprzężona z nienawiścią. Polacy są w większości katolikami, chodzą do kościoła, a czego ich uczy ten kościół, co im wmawia? Od wieków uczy ich nietolerancji i nienawiści... Żydzi zamordowali Chrystusa, skazali Go na męki i śmierć przez ukrzyżowanie... Ileż w tym ignorancji, lekceważenia faktów — pokręciła z dezaprobatą głową. — Oni nawet nie wiedzą, że to Rzymianie skazywali Żydów na śmierć przez ukrzyżowanie. Po upadku powstania Bar Kochby w całej Palestynie wycięto lasy na krzyże, do których przybijano powstańców, nie tylko Chrystus zginął w ten sposób, tysiące Żydów ginęło tak samo jak On... Dlaczego więc o tę jedną śmierć oskarża się właśnie Żydów? I wreszcie najważniejsza sprawa. Dlaczego Kościół nie mówi wprost, że Matka Boska była Żydówką, święty Józef był również Żydem..., a bracia...

— My wiemy, Leno — wtrącił łagodnie ojciec Stefana. — Trzeba było o tym mówić w Polsce. Dlaczego tego nie robiłaś?

— Nie interesowałam się tymi sprawami. Dopiero tu przeczytałam Flawiusza, Biblię, księgi święte, wiele zrozumiałam...

— Czytaj dalej aż wyzbędziesz się złości i jadu — ojciec Stefana ujął ją delikatnie za ramię i zaprowadził do baraku.

Po ich odejściu Stefan zapytał, czy się zdenerwowała. Potwierdziłam.

— Przykro mi, ale musisz się uodpornić. Z niechęcią do Polaków spotkasz się jeszcze nie raz, te rany są jeszcze świeże i ciągle krwawią. Musisz być wyrozumiała.

— Jestem, ale nie wymagaj ode mnie za wiele.

— Och! Iguś! — spojrzał z pokorą w moje oczy — czyż ja czegokolwiek wymagam? Jestem szczęśliwy, że mogę patrzeć na ciebie, być z tobą. Niczego więcej nie pragnę. A ty? — zapytał z lękiem.

— Ja też. Jestem silna, nawet nie wiedziałam, że jestem taka silna. Wiele wytrzymam. A teraz napijmy się wina. Niech oni gadają, a my się napijmy!

Kiedy wyszliśmy na miasto, szumiało mi w głowie, mówiłam dużo i głośno, ludzie jeszcze nie spali, ale chłodny wieczór nie zachęcał do spacerów. Byliśmy sami na długiej, szerokiej ulicy, wysadzonej drzewami, które nie gubiły liści jesienią. Ich gęste, nie przepuszczające światła korony błyszcząły ciemną zielenią w świetle latarni. Trzymaliśmy się za ręce i całowaliśmy się co chwila. Byłam szczęśliwa i czułam to. Być szczęśliwą i czuć, że się jest, to nie to samo. Wtedy czułam.

W domu po gościach zostały tylko brudne naczynia. Przemogłam się i chciałam pozmywać. Matka Stefana, do której teraz zwracałam się: pani Miro, odsunęła mnie od zlewu, mówiąc, że dosyć się już nazmywałam. Stefanowi kazała iść do salonu i pilnować ojca, żeby za dużo nie wypił.

— Wasz przyjazd tak go rozkleił, że od wczoraj nie wypuszcza z rąk szklanki z whisky — wyjaśniła z pobłażliwym uśmiechem i domknęła drzwi za Stefanem. — A my sobie zapalimy dobrego papieroska. — Wydostała z garnka pudełko „kentów” schowane przed mężem. — Nie wysyp mnie przed ojcem! Zapalisz?

— Nie, dziękuję, chyba się odzwyczaiłam.

— Ja właściwie też, ale są takie momenty, że aż mnie skręca. Ojciec tego nie rozumie — ciągnęła zachłannie dym i wypuszczała go w otwarte okno, za którym niebo roilo się od gwiazd. — No, jak ci się podobali goście?

— Mili, ciekawi, z wyjątkiem pani inżynierowej. Pochłonięta paleniem nie usłyszała mojej odpowiedzi.

— Powiedz mi taką rzecz — zwróciła się do mnie innym poważnym tonem — jesteś tu już kilka miesięcy, czy masz już jakiś dystans do tego, co tu jest? Czy nie zmieniłaś zdania? Czy wiesz, czego chcesz?

— Och! — roześmiałam się ubawiona. — Pyta pani, czy wiem? Ależ to nonsens... Przecież to jasne...

— Nie zrozumiałaś mnie — odparła urażona — chodzi o tutejsze warunki. Czy ty tu siebie widzisz? Czy chcesz tu mieszkać? Czy nie tęsknisz za Warszawą?

-Tęsknię — odparłam patrząc jej w oczy — ale tam bardziej tęskniłam, tam byłam nieszczęśliwa, żyłam bez nadziei, dzień mijał za dniem bez promyka światła...

— To chciałam wiedzieć — objęła mnie i przytuliła — ciągle mam wyrzuty sumienia w stosunku do twoich rodziców, ciągle mi nieprzyjemnie, że zabraliśmy im ciebie. Czy zdajesz sobie sprawę z ich cierpienia? Kochają cię przecież!

— Nie wiem, nigdy nie okazywali mi uczuć, dbali o moją cnotę, o wykształcenie... Może to była miłość, może jest... Pewnie cierpią, często się nad tym zastanawiam, cierpieli chyba bardziej widząc mnie nieszczęśliwą. Tamten rok bez Stefana był straszny, nie chciałabym już nigdy nic takiego przeżywać... Nie piszę im prawdy o pracy w kibucu, oni zawsze mnie oszczędzali, mama się zaharowywała, a nas, to znaczy mnie i siostry, wychowywała na księżniczki, sama prała, sprzątała i gotowała Pomoc i zrozumienie znajdowała jedynie u babci... Ja miałam do niej zawsze pretensje, szpiegowwała mnie od najmłodszych lat, zawsze czułam się osaczona, zawsze winna, chciała mnie rozdzielić ze Stefanem, wiedząc, że to dla mnie oznacza śmierć...

— Ja też chciałam...

— Wiem.

— I ciągle masz do mnie żal?

— Było, minęło, o wielu sprawach już zapomniałam. Staram się żyć tym, co jest teraz, nie chcę tego utracić.

— To idź do niego. Ja powycieram — zabrała mi ścierkę i wypchnęła z kuchni.

— Zaczekaj — zawróciła mnie z przedpokoju. — Czy nadal nikt się niczego nie domyśla?

— Nie — zaprzeczyłam — nikt. A gdyby nawet, to co? Co by było, gdyby się dowiedzieli, kim jestem?

— Nie wiem. Nikt się nie może dowiedzieć. Pamiętaj! To bardzo ważne.

— Pamiętam, jasne, że pamiętam.

Od chwili, gdy moja noga stanęła na izraelskiej ziemi starałam się być tym, kim nie jestem. To był mój problem, którym nie mogłam się z nikim podzielić. Stefan chyba rozumiał, co mnie dręczy i boli, rozumiał mój stan niepewności i rozdwojenia, mój wewnętrzny opór i bunt, ale

nie mógł mi pomóc. Byliśmy uzależnieni od izraelskiego prawa, od tutejszych zwyczajów, przede wszystkim od religii, która tu nie została oddzielona od państwa. Ona jest tym, co łączy wszystkich Żydów rozsianych po świecie, dzięki niej zachowali swoją tożsamość, poczucie więzi narodowej i duszę. Ja to rozumiem, ja się z tym zgadzam, niemniej jednak sądzę, że w moim konkretnym przypadku należało szukać innego rozwiązania, powinnam po prostu wcześniej poślubić Stefana, przyjechać tu jako jego żona i być z nim od pierwszej chwili.

Tymczasem nastał ranek, i ja musiałam wracać do kibucu, on do Jerozolimy po to, by tęsknić do siebie wśród długich zimowych nocy, pisać listy, do których czasem zaplączę się jakiś wiersz, przepisany przez niego z polskiej książki.

Ja nic nie czytam, ciągle jestem zmęczona i niewyspana. Kiedyś zasnęłam w świetlicy, słuchając Mozarta. To było okropne, głowa osunęła mi się na stolik, może nawet chrapałam, a Carlos nie uznał za stosowne mnie obudzić. W takich momentach narasta we mnie bunt. Nie jestem niewolnicą, nie przyjechałam tutaj harować, nie znoszę kibuców, wspólnego jedzenia i spania — wszystkiego co pachnie komuną. Wychowanie socjalistyczne ma to do siebie, że rodzi skrajny indywidualizm. Jestem tego jaskrawym przykładem. Kiedy nachodzą na mnie złe chwile, walę się w głowę, krzyczę, klnę po polsku i rzucam, co mam pod ręką. Zawsze ktoś to widzi, ponieważ nigdy nie jestem sama, podchodzi do mnie, zbiera rozrzucone przedmioty czy pomarańcze, a ja siadam pod drzewem uginającym się od owoców i wypłakuję swój żal. Jeżeli Carlos jest w pobliżu, siada obok, bierze mnie za rękę, głaszcze po głowie i nie wypływając z ust gумы szepcze niewyraźnie:

— Wieczorem nastawię ci Chopina albo zatańczę dla ciebie sambę.

Jeannette również nie wytrzymuje, ale ona w przeciwieństwie do mnie nie płacze, tylko krzyczy mieszając słowa hebrajskie z francuskimi.

— Nie jestem syjonistką — obwieszcza wszem i wobec — nie obchodzi mnie świetność państwa Izrael. Nie mam zamiaru się poświęcać — zostawia robotę i znika.

Po godzinie wraca i z furią wdrapuje się na drabinę. Jej miłość do chłopaka z Teł Avivu — wystawiona na ciężką próbę — słabnie, tym bardziej, że cienkie nici porozumienia z nim zaczynają się rwać.

Jeannette nie mówi o tym, jednak jej coraz krótsze pobyty w Tel Avivie wyraźnie na to wskazują. Ona jedna beszta mnie, kiedy płaczę.

— Nie siedźmy tu jak dwie dupy — krzyczy — róbmy coś, bawmy się! Życie ucieka, a my jesteśmy młode. Pamiętaj, jeszcze jesteśmy młode.

Jej hebrajski jest znacznie gorszy od mojego, ale mówiąc pomaga sobie gestami, więc chyba właściwie odczytuję jej myśl. Zaczynamy się rozumieć, coraz więcej gadamy, to takie niezwykle, znamy się już kilka miesięcy, lecz nie mogliśmy rozmawiać, a teraz gadamy. Ona obiecuje nauczyć mnie francuskiego, to piękny język, uwielbia rozmawiać po francusku, ale na razie mówimy ze sobą po hebrajsku, to przecież również jej język, nie mój, chociaż ja znam go lepiej. Jeannette podejrzewa nawet, że początki wyniosłam z domu. Pyta, czy mój ojciec był rabinem.

— Nie. Jest chemikiem.

— Przyjedzie tu?

— Chyba nie.

— To dobrze. Moi rodzice również nie mają zamiaru tu przyjeżdżać. To mi odpowiada. Będę ich odwiedzać. Odległość wzmacnia więzy rodzinne. Nie uważasz?

Kiwam bez przekonania głową, ja swoich nie odwiedzę. Jeannette wie o tym, ale na co dzień ta wiedza grzęźnie w podświadomości, ona pojęcia nie ma, co to jest socjalizm, blok wschodni, hegemonia partii i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Nie chce mi się tłumaczyć jej wszystkiego od nowa. Włazę na drabinę, ona podaje mi torbę. Już się uspokoiłam, zrywam pomarańcze i myślę o śniegu za naszym oknem i o jeziorze czerniakowskim, gdzie karmiliśmy kaczki, po prostu kalendarz podsuwa takie skojarzenia. Pomarańcze i śnieg. Mimo wszystko wolę zrywać pomarańcze.

Carlos w kapeluszu z ogromnym rondem wybijał palcami rytm, zespałał się z nim, jednoczył, jakby wciągał go w siebie i natychmiast wyrzucał. Spojrzałam na Jeannette, jej oczy stały się oleiste i wielkie, poderwała się z mocnym tupnięciem, podrzuciła do przodu ramiona i płynąc w oszłamiającym rytmie zbliżała się do mnie. Carlos przeciął

jej drogę, pociągnął mnie za rękę, uniosłam się chyba nad ziemię, gdyż nie czułam jej pod stopami, ten rytm uskrzydlał mnie, przenikał do kości, wypełniał komórki odżywczymi sokami i tchnął we mnie radość, optymizm. I tak już zostało. Na wieczorne spotkania przychodziło coraz więcej osób, tańczyliśmy przy świecach, przy gwiazdach, śpiewaliśmy sambę.

Na pożegnalny wieczór przyjechał Stefan. Wypiliśmy sporo wina, tańczyliśmy w świetlicy. W środku nocy on, tak jak kiedyś w Warszawie powiedział:

— Co my tu robimy? Chodźmy stąd!—oczy mu błyszczały, przyciskał mnie w tańcu. Wymknęliśmy się z tłumu, był maj, pomarańcze przekwitły, ale ich intensywny zapach tkwił wszędzie, duszne, parne powietrze kleiło się do ciała, a my na trawniku wśród obsypanych kwiatami krzewów, tak jak kiedyś w filharmonii kochaliśmy się w gorączkowym pośpiechu.

Dopiero, kiedy dotarliśmy do „naszej” kawiarni przy Bramie Damasceńskiej, spadło ze mnie napięcie, zmęczenie jednak nie ustąpiło, czułam się jak po przepłynięciu wielkiej rzeki. Ostatnim wysiłkiem wydostałam się na brzeg, lecz nie byłam w stanie się ruszyć. Testy, pytania, szukanie w rozklekotanej głowie odpowiedzi i najgorsze ze wszystkiego oczekiwanie, wróżenie z fusów, zdałam, nie zdałam, zdałam. Oślupienie, niedowierzanie, jego radosne okrzyki, gratulacje, uściski, pocałunki ciepłe, pachnące, zawsze miłe, podniecające.

Zdałam na uniwersytet, ciągle nie mogę w to uwierzyć! Rozwiązałam wszystkie testy, sama nie wiem, jak to się stało, z testami zetknęłam się pierwszy raz. W Polsce nie stosowano ich. Pytania na ustnym nie były trudne, wykładowcy musieli brać pod uwagę trudności językowe nowych emigrantów, a może nie brali ich, nie wiem, odpowiedziałam, zdałam. Stefan nie szczędził mi słów uznania, dla niego ciągle byłam najmądrzejsza, najładniejsza, najzdolniejsza, najmilsza. Żałował, że nie będziemy na jednym wydziale, zrobiłam się nagle praktyczna i chcąc sprawić przyjemność mojej mamie wybrałam ekonomię. Przynajmniej jedno z nas powinno umieć coś konkretnego. Nie mamy majątku, będziemy utrzymywać się ze stypendium, Stefan ciągle dorabia, ostatnio

pracował jako stróż nocny na parkingu w pobliżu Ściany Płaczu. To niebezpieczne miejsce, siedział wprawdzie w kabinie za szybą z pistoletem pod ręką, ale gdyby tak go zaszli od tyłu... Och! Lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Kawa, lody, sok z mango. Wszechobecne słońce grzeje niemiłosiernie, nawet pod parasolem. W Polsce byłabym już na trzecim roku, tu dopiero zaczynam, wszystko przede mną, nowe życie, nowy krajobraz i on. Zamieszkamy w akademiku dla małżeństw, nareszcie razem. Będziemy musieli wziąć ślub. To jeszcze jedna formalność, na której nam nie zależy, kolejny zewnętrzny gest, dla nas bez znaczenia, ale jeżeli rodzice, ich znajomi, koledzy czy też inni otaczający nas ludzie przywiązują do tego wagę, niech będzie, ślub ułatwi nam życie.

W nie słabnącym upale przejechaliśmy góry i idąc za słońcem wtoczyliśmy się w nadmorską dolinę. Szosa biegła równoległe do morza, które odskakiwało od niej. Zostawiało w popłochu brunatne płyty porowatych skał i wracało białymi plażami, by po chwili skryć się za stromym urwiskiem porośniętym kolczastymi krzewami i morską trawą. Teraz było znużone upałem i odpoczywało w migotliwej otoczce światła. W Natanii tłumy plażowiczów oblegały niewielkie wysepki cienia, zaledwie kilka osób pluskało się w wodzie, kończyła się sjesta, lecz słońce w dalszym ciągu rozsiewało żar z wyblakłego nieba, którego nawet bliskość morza nie zdołała osłabić.

Na dworcu autobusowym pod drewnianym daszkiem siedziała matka Stefana, wachlując się gazetą. Spostrzegłam ją zanim kierowca, ostrożnie manewrując między samochodami, zatrzymał się na przystanku dla wysiadających. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę odciętą w talii. Krótkie, ciemne włosy zaczesane do tyłu ukazywały wysokie czoło, oczy zasłonięte ciemnymi szklami pozostawały niewidoczne. Autobus zatrzymał się miękko, ona złożyła gazetę i wstała, uśmiech rozjaśnił jej twarz. Stefan, ciągnąc mnie za rękę, rzucił się ku niej.

— Mamo! Mamo! Iga zdała na piątkę. Mamo! — uniósł ją jak małą dziewczynkę, okręcił kilka razy wokół siebie wśród okrzyków dezaprobaty. — Co ty wyprawiasz! Puść mnie! — wreszcie z lekka oszołomioną postawił ostrożnie na ziemi.

Podbiegłam do niej, utonęłam w jej rozgrzanych ramionach:

— Moje gratulacje. Iguś, kochana! Tak się cieszę. Szkoda, że ojca nie ma, pojechał do Berszeby, on cię tak lubi... Musicie wreszcie wziąć ślub. Tak nie można. Czy on ci się wreszcie oświadczył? — jedną ręką trzymając mnie w objęciach zatrzymała taksówkę. — Jedziemy do domu! Wszystko obgadamy przy winie...

* **

Nie do twarzy mi w bieli. Moje popielate włosy domagają się ostrych kolorów, wyrazistej oprawy, zdecydowanych dodatków i makijażu. Mdli mnie, gdy patrzę na siebie w lustrze, biała, długa suknia odbarwia mi twarz, jedynie diadem na głowie nieco ją ożywia. Białe lakierki na wysokim obcasie cisną w palce, w dodatku garbię się, bo nie potrafię w nich chodzić, a mama jest zachwycona. Stefan też, powtarza to, co już mówił setki razy, dla niego nawet w łachmanach wyglądałabym ładnie i romantycznie i wciąż jestem najpiękniejsza na świecie. Żadne królowy i księżniczki nie mogą się ze mną równać, świat leży u moich stóp, los obdarzył mnie nie tylko wielką urodą, posiadam też inne niezwykle zalety, przymioty ducha, talenty...

Potykam się jeszcze na wysokich obcasach, ale to minie, nauczę się chodzić, będę tańczyć w nich walca i sambę. Przekomarzamy się, żartujemy jak przystało na narzeczonych, mamie również udziela się nasz pogodny nastrój, nie zwracamy uwagi na dzwonek terkoczący u drzwi, ciągle ćwicząc dostojny chód okrążam biurko, mama poszła otworzyć. Jakoś długo nie wraca, nas to jeszcze nie niepokoi, ślub traktujemy czysto formalnie, przyjdą goście, rabin i kantor, trzeba będzie zachować powagę. Mama wróciła z poszarzałą twarzą.

— No i stało się — oznajmiła drewnianym głosem i osunęła się na krzesło.

— Dowiedzieli się? — spytał drżącym głosem Stefan, kucając przy niej na podłodze.

— Nie sądzę — pokręciła bez przekonania głową — ale mają wątpliwości, one dotyczą nie tylko Igi, innych też. Chodzi o rabinat

w Wiedniu. Oni uważają tamtych za zbyt liberalnych, sądzą, że w natłoku spraw mogli coś przeoczyć i przyjąć kilku gojów. Wszyscy są tylko ludźmi i nie mogą ustrzec się od błędów, teraz sąd rabinacki stwierdzi na miejscu, czy Iga jest Żydówką, czy nie. — Ciekawe w jaki sposób? — wybuchnął Stefan. — Będą jej się wwiercać do mózgu? Będą ją prześwietlać? Badać krew, mierzyć objętość czaszki? Jak oni chcą to zrobić? I kto im dał takie prawo? Kto? Ty? Ja? Wiesz co? Gwiżdżę na ich sąd! Rozumiesz? Mam go gdzieś! — Jego zazwyczaj łagodne oczy strzelały ogniem. — Nie będzie żadnego wesela! Zrzuci tę suknię! — krzyknął na mnie. — Podrzyj ją na kawałki, ten cholerny diadem też! Nie będziemy uczestniczyć w tej farsie, żyjemy w wolnym kraju, jesteśmy ateistami, podobnie jak wy. Co mają do nas rabini czy księża? Nikogo nie krzywdzimy. Co w tym złego, że chcemy się pobrać, żyć razem, mieć dzieci? Mogliśmy to zrobić dużo wcześniej i zrobilibyśmy gdyby nie wy! — spojrzał z wrogością na matkę. — Mogliśmy wziąć ślub w Polsce, w Szwecji czy w Wiedniu i przyjechać tu jako małżeństwo, wówczas nikt by się nas nie czepiał, ale wy, tacy mądrzy, wyrobieni życiowo i doświadczeni radziliście co innego, ze względu na Igę i dla jej dobra. Chcieliście ją sprawdzić, czy się tu przyjmie, czy zaakceptuje ten kraj, mieliście wątpliwości. Tak było, wszyscy mieliśmy wątpliwości, nie wiedzieliśmy, czy Iga będzie chciała tu zostać. A ja, idiota, zgodziłem się z waszymi argumentami, poddałem się im, były takie logiczne, rozsądne, humanitarne i bez sensu. Teraz widzę, że były bez sensu. Iga już dawno podjęła decyzję, a to my zwlekaliśmy, nie chcąc jej kępować żadnymi formalnymi więzami, zapominając o tym, że ona dokonała wyboru stając się obywatelką tego kraju. To my przez nasze wątpliwości i naszą niewiarę narażaliśmy ją i narażamy nadal na przykrości i upokorzenia. Ten sąd rabinacki jest właśnie tym... — uderzył pięścią w blat biurka, aż zaskrzeczało stojące obok pianino. — Ja się nie zgadzam — krzyknął na matkę, a mnie posłał przepraszający uśmiech. — Pojedziemy na Cypr, weźmiemy ślub i żaden rabin nie będzie ci mówił, co masz robić. — Nie — ujęłam go delikatnie za rękę. — Nie denerwuj się, proszę, nie ma z czego robić problemu. Wcale nie czuję się upokorzona, niech się odbędzie ten sąd. To przecież zwykła formalność. W Polsce kościół też żąda różnych zaświadczeń. Tutaj jest mniej więcej to samo. Na

wszystkich religiach odciska się piętno biurokracji. Następuje odejście od źródeł. Nie mam zamiaru ubolewać z tego powodu, chociaż obiektywnie rzecz biorąc, jest to fakt godny ubolewania. Gdybym była wierzącą, byłoby mi przykro, a tak traktuję ten sąd jako jeszcze jedną przeszkodę, którą musimy usunąć. Tyle ich już za nami, cóż znaczy ta jedna?

— Masz rację — jego matka popatrzyła na mnie z wdzięcznością. — Nie ma co chować głowy w piasek, uciekać na Cypr i narażać się na niepotrzebne gadanie, nie mówiąc o wydatkach.

— Wesele będzie więcej kosztować... — nie ustępował Stefan. — Zresztą, nie ma o czym mówić! Jedziemy na Cypr...

— Posłuchaj! I nie bądź taki szybki Bill — mówiłam łagodnie z anielskim spokojem, chociaż wszystko się we mnie burzyło. — Byłoby dobrze, gdy tu w Izraelu udzielano ślubów cywilnych tak jak wszędzie na świecie, ale skoro to niemożliwe, musimy doprowadzić do tego, żeby rabin zgodził się udzielić nam ślubu. Jeżeli dobrze zrozumiałam, sąd rabinacki ma zdecydować, czy mój powrót na łono żydostwa jest prawomocny. Jeżeli to potwierdzi, rabin bez żadnego „ale” udzieli nam ślubu, jeżeli nie, pojedziemy na Cypr i tam się pobierzemy. Chyba, że oni zechcą pozbawić mnie obywatelstwa izraelskiego?... — Poczułam, że drętwieję.

Temperatura w pokoju dochodziła do trzydziestu czterech stopni, a ja dostałam dreszczy i zbladłam, zasłoniłam rękami twarz.

— Nie! Tego nie zrobią, nie mają prawa — pewny siebie głos jego matki przywrócił mi życie — w najgorszym wypadku pojedziecie na Cypr. No, nie matrw się — uśmiechnęła się czule. — Co tak zbladłaś?

Zdenerwowałaś się?

— Nie — potrząsnęłam głową, chcąc pobudzić krążenie. — To ten upał, za długo dzisiaj siedziałam w wodzie...

— Może chcesz koniaku? — Stefan nie wiedział, gdzie podziąć oczy. — Nic, nic, poleżę chwilę, może zasnę — dowlokłam się do tapczanu, wcisnęłam jasek pod głowę, zamknęłam oczy... Miłość — myślałam z goryczą — to gigantyczny ofiarny stos. Póki istnieje, musi płonąć, a płonąc żąda wciąż nowych ofiar. Trudno zliczyć, ile ich było z jego, z mojej strony. Kobiety są zazwyczaj hojniejsze, ponieważ natura obdarowała je większym bogactwem, rzucają na ten stos wszystko, nie szczczędząc siebie: zmieniają skórę, wyznanie, zapierają się siebie, jak to

ja uczyniłam, zabijają swoich braci, zostają szpiegami, zdradzają ojczyznę, byleby ogień płonął...

Leżałam w półmroku z zamkniętymi oczami, myśląc z przerażeniem: ile jeszcze drzew, brył węgla, koksu, mazutu, ropy i gazu będziemy musieli dorzucić do tego stosu, czy kolejne ofiary nie zniszczą nas, nie zrujną, czy w końcu nie oddalą od siebie. Wytrzymałość ludzka też ma swoje granice, a zdolność do ofiar bywa na ogół mniejsza, niż się przypuszcza. Ja się już wyczerpałam, jestem jak rozdeptana piłka, z której wyciekło powietrze. Może to i lepiej, nikt mnie nie będzie już kopał, co najwyżej potrąci.

Zdjęłam białą suknię i powiesiłam do szafy. Wiedziałam, że stanę w niej pod baldachimem. Niech się dzieje co chce, ale ten ślub musi się odbyć w obecności jego rodziców, przyjaciół i znajomych, żaden rabin nie pokrzyżuje nam planów.

Czytałam Biblię i uczyłam się modlitw, lecz poza wyznaniem wiary czyli Szema Israel (Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem — Panem jedynym), niczego się nie nauczyłam. Wiedziałam już wcześniej, że do najważniejszych świąt należą Jom Kippur i Rosz Ha-Szana, czyli Sądny Dzień i Nowy Rok. Wiedziałam też, jak wygląda życie w te dni, w Jom Kippur wszystko zamiera, na ulicach nie spotyka się ludzi, nic nie jeździ, mężczyźni spędzają czas w synagogach. Podobnie jest w Nowy Rok. Zgłębiłam już tajniki kuchni koszernej. Tych subtelności było sporo, w Wiedniu z łatwością mogliby mnie zagiąć, tu nie, wiedziałam już, że jest koszerne mydło do mycia naczyń, koszerna kawa i wiele innych produktów. Ortodoksyjni Żydzi zrobili z tego oddzielną naukę. Miałam jednak wątpliwości, czy tymi szczegółami będą zajmować się rabini zasiadający w sądzie.

Judaizm w gruncie rzeczy był dla mnie obcy, katolicyzm traktowałam podobnie. Nie dojrzałam do przyjęcia dogmatów wiary, wszystko się we mnie przeciwko nim burzyło, ale ten bunt dławiłam w sobie, mówiąc, że najważniejsza jest chęć poznania. W judaizmie, który dosyć lekceważąco traktuje historię w naszym rozumieniu, była

mimo wszystko zawarta wiedza o tym kraju. Wiec znów się uczyłam, a było lato, dni pełne słońca, plaża i morze z wodą tak miękką i ciepłą, że niemal natrętnie przychodziło na myśl porównanie z rajem. Powietrze tężało od gorąca, morze nie wydawało żadnego tchnienia, leżeliśmy nad zatoką, w skąpym cieniu parasola, nie mogąc zdobyć się na pełny relaks i luz. Niczym miecz Damoklesa wisiała nad nami groźba sądu rabinackiego. Chciałam mieć go już za sobą, Stefan też, więc kiedy wieczorem wróciliśmy z plaży i usłyszeliśmy, że to już jutro, odetchnęliśmy z ulgą.

Ubrałam się bardzo skromnie, w białą bluzkę z długim rękawem i czarną wąską spódnicę, do tego — żeby nie wyglądać aż tak bardzo na gojkę — włożyłam czarną perukę i poszłam skupiona, zła, poważna i czujna. Tak jak przypuszczałam, nikt mnie nie pytał o tajniki kuchni koszernej ani o modlitwy czy święta, chodziło wyłącznie o moją matkę, o to kim jest, co robiła przed wojną, czy była w Oświęcimiu, czy też gdzie indziej. Powtórzyłam wiedeńską wersję: uciekła z getta, ukrywała się na aryjskich papierach, po wojnie nie wróciła już do swojego rodzowego nazwiska Szapiro. W Polsce niemal wszyscy Żydzi pozmieniali je na polskie, ona została przy tym z fałszywych papierów, co i tak nie miało znaczenia, gdyż w 1946 roku wyszła za mąż za Polaka. Oczywiście najbliższa rodzina — mąż, dzieci, teściowie i szwagierki — wiedzieli, kim jest, być może ktoś jeszcze wiedział, pojęcia nie mam. Mama nie chwaliła się, że jest Żydówką. W każdy piątek zapalała świece i odmawiała modlitwę, oddawała w ten sposób hołd pamięci swoich przodków. Nie wiem, czy chodziła do synagogi. Nas, dzieci, do niczego nie przymuszała, nie posyłała na religię, zostawiła nam wolną rękę, mówiła, że jak dorośniemy, to sami zdecydujemy, kim chcemy być. Ja wybrałam Izrael, siostry są niepełnoletnie, pojęcia nie mam, co zdecydują. Spociałam się od tych kłamstw. W klimatyzowanej sali było mi gorąco jak w piekle.

Wyszłam czepiając się ścian, nic nie widziałam. W holu Stefan ujął mnie za ramię, gdyby tego nie zrobił, zwałabym się na podłogę, jego matka zerwała się na mój widok.

— O Boże! — krzyknęła. — Jakaś ty blada! — pociągnęła mnie w stronę fotela, o coś pytała. Ja się nie odzywałam. W głowie miałam bezbrzeżną pustkę. Obrzydzenie i pogarda do siebie przyszły znacznie później.

— Powiedz! O co cię pytali? — słowa Stefana dotarły do mnie skądś z bardzo daleka.

— Nie wiem — potrząsnęłam głową. — Daj papierosa!

— Jak to nie wiesz? — przeraził się. — Zrobili ci jakąś krzywdę? Obrazili się? To ja im... — chciał biec do tej ponurej sali z opuszczonymi żaluzjami. Powstrzymałam go.

— Nie, nie, zaczekaj! Daj mi wreszcie tego papierosa! Nikt mnie nie obraził, to nie to... Słuchaj! — wczepiłam się w jego rękę. — Ja już nigdy... nigdy więcej nie będę udawać. Dosyć! Nigdy więcej!...

— Tak, tak — potwierdziła szybko jego matka i przysunęła się do mnie, jej miękkie dłonie dotknęły moich barków, były tak samo delikatne i czułe jak ręce Stefana, emanowało z nich dziwne ciepło. Poczułam się nagle bezpieczna. Wiedziałam, że teraz, kiedy ona jest przy mnie, nikt mnie nie skrzywdzi. Stefan był słaby, jak większość mężczyzn zagubił się w tym świecie, nie mogłam się na nim oprzeć. On sam potrzebował opieki, prawdziwa siła tkwiła w jego matce i w ogóle w kobietach. Wtedy wyczułam to instynktownie, teraz już wiem, życie potwierdziło to spostrzeżenie, siła ludzkości, jej wielkość, i jeżeli takowa istnieje, tkwi w kobietach. W ramionach jego matki mogłam sobie pozwolić na słabość i rozpłakałam się. Ona nie rozluźniała uścisku, nie uspokajała mnie, wiedziała, że łzy są potrzebne, przynoszą nie tylko ulgę, lecz rozjaśniają mózg. Pan Bóg w swej niezmierzonej szczodrości dorzucił je nam do innych darów, tak twierdzi Stefan, który tu na tej ziemi odnajduje swoją drogę do Boga, podczas gdy ja nawet jej nie szukam...

Wezwano świadków. Były to trzy stateczne panie z Polski. Znały rzekomo moją matkę, spotykały się z nią w gminie żydowskiej, widziały, jak matka w piątki zapala świece, jedna знаła ją jeszcze sprzed wojny, potwierdziła, że prawdziwe nazwisko mojej matki brzmiało Szapiro.

Po tych oświadczeniach nikt już nie miał cienia wątpliwości, że jestem Żydówką, rabin zgodził się udzielić nam ślubu, została wyznaczona data, trzeba było rozsyłać zaproszenia.

Wracaliśmy do domu w dziwnym milczeniu. Trzy panie z Polski przyjechały do nas na obiad. Atmosfera przy stole była sztucznie ożywiona, przy winie gadało się o plaży, o niebezpieczeństwach kąpieli słonecznych, o suszy i upałach oraz o wypadkach drogowych. O sądzie nikt nie wspominał, zgodnie z zasadą, że w domu powieszono nie mówi się o sznurku. No więc sznurka w rozmowach nie było, ale on się wplątywał wszędzie, wisiał nad każdym z nas.

Ojciec Stefana z powodu nawału zajęć nie brał bezpośredniego udziału w tej tragikomedii. Wrócił późnym wieczorem nieładnie zmęczony i jak zwykle pogodny, uśmiechał się rozlewnym błękitem jasnych oczu, ścisnął mnie przyjaźnie i pytał:

— Jak leci? Jak ty się czujesz? Nie potrzebujesz czegoś? Może chcesz sobie kupić coś ekstra? Za kilka dni dostanę pieniądze, wybierzemy się do sklepów. Zastanów się, co ci jeszcze potrzeba, może kostium plażowy, może pantofle? — Dziękuję, nic nie potrzeba, naprawdę, mam klapki plażowe, dwa kostiumy na zmianę, mam wszystko, co potrzeba — broniłam się, nie wiadomo dlaczego.

— A ja bym chciał, żebyś miała coś, co nie jest niezbędne, coś dla kaprysu, dla poprawienia nastroju i właśnie po to wybierzemy się do sklepów. Zgoda?

— Dziękuję — bąknęłam Zmieszana — jest pan bardzo dobry.

— Nie mów do mnie pan, bardzo cię proszę, mów mi po imieniu, tak jak w Polsce, Michał, chociaż tu nazywam się Mosze, ale w Polsce ośmieszano żydowskie imiona, więc może wolisz mówić Michał?

— Wolę mówić tato, jeżeli nie masz nic przeciwko temu...

— Naprawdę? Chcesz mówić tato? — głos mu drgnął. — Dobrze, bardzo się cieszę. Jesteś naszą córką. Nigdy o tym nie zapominaj, nie zależnie od tego, jak ułożą się sprawy między wami, dotąd jak widzę układają się dobrze, mówię to na wszelki wypadek, żebyś nigdy nie czuła się samotna, masz nas, rozumiesz? Masz nas.

— Tak, wiem — wymieniliśmy uściski. Od dawna istniała między nami ta nić porozumienia, którą trudno wyrazić słowami. Zawsze

wiedziałam, że on jest po naszej stronie, nawet wtedy, gdy matka Stefana była przeciw, on trzymał naszą stronę, sprzyjał nam po cichu, bardzo dyskretnie, gdyż jak większość mężczyzn ulegał swojej żonie. Nie miał dość odwagi, by zdobyć się na jawny protest, wtedy kiedy ona wspólnie z moją matką prowadziła z nami wojnę, on się jakoś tak milcząco i biernie dystansował od niej.

Przyjechała Jeannette. Zatrzymała się w luksusowym hotelu i zaprosiła mnie na lunch. Stefan czuł się dotknięty, że tylko mnie chciała widzieć, chociaż rozumiał, że mamy swoje sprawy, zwierzenia i tajemnice.

Czekała na mnie w klimatyzowanej sali wśród doniczkowej zieleni, spalona na brąz, ubrana w białe spodnie i białą trykotową bluzkę na ramiączkach, w uszach miała ogromne klipsy, które w połączeniu z nieskazitelną bielą jej zębów tworzyły jakąś wyrafinowaną całość. W kibucu w wytartych džinsach i rozciągniętej podkoszulce nie wydawała się atrakcyjna, cerę miała ziemistą w kolorze suchego chleba i blade, wiecznie spieczone wargi, które oblizywała nerwowo. Teraz siedziała przede mną piękna dziewczyna z wypielegnowanymi palcami, rozsiewając wokół siebie zapach luksusu i bez troski.

— Ależ ty się zmieniłaś? — wykrzyknęłam z zachwytem — nigdy nie przypuszczałam, że jesteś taka ładna.

— Jakub aż zaniemówił z wrażenia, kiedy mnie zobaczył po miesiącu.

— Nie widziałaś się z nim przez miesiąc? Co się stało?

— Zakochał się w innej. Masz pojęcie? Ale to bardzo dobrze...

Przyjechałam tu dla niego, byłam gotowa do poświęceń, sama widziałam... Spędziłam tutaj dziewięć miesięcy, usiłowałam nawet pokochać ten kraj. Niestety. Przekonałam się w końcu, że moją prawdziwą ojczyzną jest Francja... Tutaj nie mogłabym żyć, zwłaszcza z nim bym nie mogła, on tu poczuł się Żydem, zapuścił brodę i pejsy, każdą wolną chwilę spędza na studiowaniu świętych ksiąg, ciągle się modli, pości... Wszystkie problemy rozwiązuje stwierdzeniem: „Bóg tak chciał”, albo „taka jest wola boża”. Zawsze był trochę dziwny, ale tutaj z dziwaka zamienił się w fanatyka.

— To przecież ziemia święta — wtrąciłam z uśmiechem.

— Wiem, ale ja chcę żyć, bawić się, tańczyć, podróżować. Jestem młoda, mam zamożnych rodziców, którzy niczego mi nigdy nie odmawiali, chcieli żebym studiowała..., a ja do tego nie dojrzałam. — Nie kochasz go już? — Denerwuje mnie jak nikt... — odpowiedziała z sarkazmem Jeannette — Znalazł sobie głupie ciele, które wpatruje się w niego jak w mędrca. Przed miesiącem kiedy mi wyznał, że kocha tę dziewczynę, w pierwszej chwili zaniemówiłam, a potem nagle zaczęłam się śmiać. To była łaska boska, on mnie uwalniał od siebie, rozumiesz. Sama nigdy bym się na to nie zdobyła, było mi go żal, to bardzo wrażliwy, nerwowy chłopiec, myślałam, że beze mnie nie potrafi oddychać, myślałam, że jest uzależniony jak narkoman. No więc, kiedy on jękając się i czerwieniąc wyznał, że kocha tę dziewczynę, której jedyną zaletą jest to, że ma tatusia rabina, wybuchnęłam śmiechem. Śmiałam się jak szalona. Sądził, że to atak rozpacz, hysterii czy Bóg wie czego. Kręcił się wokół mnie, nie wiedząc co zrobić i chciał wzywać lekarza. Uspokoiliłam się i powiedziałam: „To bardzo dobrze, cieszę się, że tak się stało, życzę ci szczęścia. Przyjechałam tu za tobą, sądziłam, że nie potrafię bez ciebie żyć, że ty beze mnie też nie potrafisz, no i byłam w błędzie. Warto było przyjechać, by się o tym przekonać... Lubiłam nasze spotkania, rozmowy, chciałeś reanimować we mnie Żydówkę, ale to się nie udało. Muszę jednak przyznać, że wiele się nauczyłam, przede wszystkim poznałam siebie... Zadzwońię do rodziców i powiem im, że wracam. Wyobrażasz sobie jak się ucieszą... Ja też się cieszę, stęskniłam się za nimi, poza tym mam szaloną ochotę przejść się po Polach Elizejskich, które nigdy nie były moją ulubioną ulicą, ale tutaj tęskniłam za nimi, a także za paryskim metrem, za Saint Michèle i za Sekwaną, myślę, że będzie cholernie miło popatrzeć znowu na Łuk Triumfalny i na Notre Dame. Nie sądzisz?” — Skrzywił się nieprzyjemnie — ciągnęła Jeannette — Nie, on nie tęsknił za paryską ulicą, czuł się tutaj u siebie... Wczoraj się z nim pożegnałam, chyba na zawsze... Śmieję się, a jednak czegoś mi żal. Coś się bezpowrotnie skończyło, minęła młodość, nie zaprzeczaj. W tej chwili czuję się okropnie stara i doświadczona. Nie mam już ochoty na podobne szaleństwa jak przyjazd tutaj. Wracam do domu, zaczynam stateczne życie, które mnie trochę przeraża.

— Czujesz się Francuzką? Przepraszam, że o to pytam, ale...

— Nie przepraszaj! Tak, czuję się Francuzką, uważam francuski za swój język ojczysty, mówiąc po hebrajsku myślę po francusku i tłumaczę, za każdym razem tłumaczę, to co myślę... Ty też?

— Tak.

— I czujesz się Polką?

— Ja jestem Polką.

— Racja! Zupełnie o tym zapomniałam.

— Nie rozumiesz! Ja nie jestem Żydówką z Polski, ja jestem Polką.

— Wiem.

— Skąd?

— Ktoś o tym mówił, pewnie w związku z tym, że bardzo starałaś się być Żydówką. Staralaś się jak diabli... Nieważne! To i tak nie miało znaczenia dla nikogo w kibucu. Przypuszczam, że dla Jakuba miałoby to znaczenie, ale on o niczym nie wie. Dla takich jak on Żyd pozostaje Żydem, nie może być nikim innym, nawet gdy przyjmie chrzest... Wiesz, że ja jestem ochrzczona? Moi rodzice również, Jakub wie o tym i twierdzi, że to nie ma znaczenia, jestem Żydówką i koniec... Dajmy temu spokój, on jest tutaj szczęśliwy... pracuje...

— A więc wszyscy wiedzieli... — szeptałam oszołomiona — wiedzieli, ja się rzeczywiście starałam. Udawałam ze strachu, nie z wewnętrznej potrzeby. Nie wiem, co by było, gdybym powiedziała prawdę. Bałam się rozłąki ze Stefanem i ponownego rozstania. Byłam gotowa zrobić wszystko, żeby się to nie powtórzyło, no i zrobiłam...

— Teraz nie musisz już niczego robić. Napij się wina — Jeannette podsunęła mi kieliszek — i pogadajmy o twoim weselu... Masz tremę?

— Och! nie! — roześmiałam się odprężona. — Przecież my od kilku lat jesteśmy małżeństwem, teraz nawet u jego rodziców śpimy razem. Ślub to kolejna formalność dla ułatwienia sobie życia... Jako małżeństwo dostaniemy pokój w akademiku, chcę wreszcie być z nim na co dzień, chcę mieć dzieci... — Zazdroszczę ci, ty wiesz, czego chcesz, natomiast ja... nie mam żadnego celu, nawet nie wiem, co będę studiować, wezmę się chyba za coś konkretnego. Ojciec jest lekarzem, chyba pójdę w jego ślady... Co byś zjadła? Widzisz, kelner zaczyna się niecierpliwić.

— Dużo jarzyn. Sałatkę z bakłażanów, indyka z owocami i lody...

— A może łososia z rusztu?

— Nie, właściwie wystarczą owoce i lody.

— Nadal nie masz apetytu?

— Jest za gorąco. To moje pierwsze lato tutaj.

— W przyszłym roku przyjedziecie do mnie. Pokażę wam Paryż, a potem zabiorę was do naszego domu w Normandii. Tam nigdy nie jest zbyt ciepło...

— Za rok zapomnisz o mnie,

— Nie. Jesteś mi bardzo bliska. Przywiązałam się do ciebie, wspólne bezkonfliktowe mieszkanie chyba coś znaczy. Na początku, pamiętasz? Rozmawiałyśmy na migi, a teraz kiedy możemy się porozumieć, musimy się rozstać. Tak już jest — jej ciemne wilgotne oczy zasnuły się mgłą.

— Mnie też będzie ciebie brakować, właściwie poza tobą i Carlosem z nikim się nie zaprzyjaźniłam. Z wami też nie byłam nigdy szczera, nie mogłam...

Zamówiłyśmy mnóstwo sałatek, wino. Kelner usługiwał bezszelestnie jak duch. Za oknem błękitne morze łączyło się z niebem, upał nie miał do nas dostępu, klimatyzacja działała sprawnie, miło nam się gadało o głupstwach.

O trzeciej niespodziewanie zjawił się Stefan.

— Wybacz! — zaczął się usprawiedliwiać. — Nie mogłem usiedzieć w domu. Strasznie pusto bez ciebie. No i pomyślałem, że będziesz potrzebowała kierowcy. Nie przeszkadzam? Nagadałyście się już?

Jeannette podsunęła mu krzesło. — Siadaj! Pogadajmy jeszcze chwilę, jutro nie będzie na to czasu. Stefan dopiero po tych słowach jakby ją zauważył, zamrugał powiekami i znieruchomiał, nie mogąc oderwać od niej oczu, które rozrastały się pod wpływem zachwyty połączonego ze zdziwieniem. — Co się stało, że tak wyładniałaś? — zapytał nie przestając się jej przyglądać.

— Nic — odpowiedziała z powagą — rzuciłam kibuc i jednego pana. To chyba dużo jak na tak krótki czas? Pojutrze wracam do domu.

— A więc zobaczymy się dopiero po wakacjach?

— Nie. Może za rok, jeżeli zechcecie przyjechać do mnie. Ja tu nie wrócę.

— Nie mów hop. Znam wielu takich, co wyjeżdżali stąd na zawsze, a po kilku tygodniach wracali z powrotem.

— Ja nie wrócę. Nie obrażaj się! To nie jest kraj dla mnie. Nie czuję się tutaj u siebie.

— Nie masz za co przepraszać — pochyli! się ku niej z ciepłym melancholijnym uśmiechem — to wolny kraj, nikt tu nikogo nie zatrzymuje na siłę, każdy może być tu albo gdzie indziej...

— Każdy — mruknęła z ironią — prócz was.

— Och! My nie narzekamy! Prawda Iguś?

Skinęłam głową i pogłaskałam go po rękę, tak rzeczywiście było. Jeżeli kiedyś narzekałam, zdażyłam już o tym zapomnieć.

— A teraz chodźmy popływać—zapropnowałam. Nic nie nastraja bardziej optymistycznie do życia niż kąpiel w ciepłym morzu.

Jeannette zapłaciła za lunch i pobiegła na górę po kostium kąpielowy. Stefan zamówił kawę.

— Wiesz — powiedziała odruchowo ścisząc głos — oni tam w kibucu domyślali się, że ja nie jestem Żydówką.

— I co, dokuczali ci z tego powodu?—zbladł i chwycił mnie za rękę.

— Nie. Ja nie miałam pojęcia, że oni się domyślają, ale ciągle się bałam, że prawda wyjdzie na wierzch.

— To moja wina — wyszeptał skruszony. — Od początku nie potrafiłem załatwić sprawy jak należy. Całe życie będzie mnie to dręczyć — spuścił głowę, w jego szarych oczach pojawiły się cienie.

— Daj spokój! — ofuknęłam go ostro. — Po co to samobiczowanie? Już się nie boję. Jutro weźmiemy ślub. Nie muszę niczego udawać, będę po prostu sobą, a więc tym, kim jestem, a nie jakąś wymyśloną Żydówką z domu Szapiro.

— Czy sądzisz, że ktokolwiek będzie cię o to pytał?

— Nie, ale przestanę się denerwować. Właściwie już przestałam.

Nieprawda. Denerwowałam się. Ostatniej nocy przed ślubem oka nie zmrużyłam, wstawałam, paliłam papierosy, patrzyłam na wygwieżdżone niebo i wsłuchiwałam się w daleki szum morza. Stefan też się obudził.

— A jednak nadal się czegoś boisz? — pytał zatroskany. — Czym się denerwujesz? Co ty przede mną ukrywasz?

— Nic nie ukrywam, niczego się nie boję. Przy tobie jestem bardzo odważna, mogę stawić czoło całemu światu. Pomyślałam tylko, jakby to było zabawnie, gdybyśmy mogli zaprosić na nasz ślub Iwonę ze Zbyszkciem i koleżanki z klasy, które zazdrościły mi ciebie. Teraz dopiero miałyby mi czego zazdrościć. Jesteś taki przystojny, taki męski. Jak ja cię utrzymam przy sobie? Tyle tu dziewczyn. Zauważyłeś, jakie niektóre są ładne?

— Nie—ziewnął ostentacyjnie. — Dla mnie ty jesteś najpiękniejsza. Nikt nie ma oczu jak muszle, takiej delikatnej cery i takich perłowych włosów poskręcanych w obwarzanki.

— Och! Przesadzasz! Zbrzydłam pracując w kibucu.

— Teraz nie pozwolę ci nic robić, będę prał, sprzątał, gotował. Chcę, żeby twoje ręce odzyskały dawną gładkość i połysk...

Do rana gadaliśmy o głupstwach, o brzasku, kiedy rześkie powietrze wtargnęło przez otwarte okno, kochaliśmy się bez lęku, że przyłapie nas jego matka.

Już się jej nie boję — myślałam po przebudzeniu. We śnie umierałam ze strachu, nadal coś przed nią tajiłam, ukrywałam, zamykałam się z nim w piwnicy, a ona natarczywie i długo dobijała się do nas, aż wreszcie z nieludzką wprost siłą natarła na drzwi i one się rozsunęły. Oślepiło nas ostre światło, w którym tylko Stefan był dla niej widoczny, mnie się udało w ostatniej chwili wcisnąć głowę w czapkę niewidkę, która mnie zasłoniła. Natomiast ja widziałam ją bardzo dokładnie, była oblepiona tym dziwnym fosforyzującym światłem, łaskotliwie podniecający zapach perfum wciskał mi się do nosa. Oddech miała krótki, świszczący, widocznie biegła tutaj. Snop światła wypuszczony przez nią z latarki ciał mnie po oczach, bałam się, że mnie usłyszy. To było niesamowite, widzieć kogoś kto stoi naprzeciw, ma otwarte oczy i nas nie dostrzega.

— Czuję, że Iga tu jest — oznajmiła złowieszczo i dalej omiatała ściany syczącym reflektorem.

— Gdzie? — rozzłościł się Stefan — przecież tu nikogo nie ma.

— Znajdę ją, wiem, że tu jest, muszę sobie tylko przypomnieć jedno zaklęcie. Na szczęście zdołałam się obudzić i z ogromną ulgą stwierdziłam, że wszystkie zagrożenia i strachy mam już za sobą.

— Już się jej nie boję — powtórzyłam opowiadawszy mu mój sen.

— No to jesteś w lepszej sytuacji ode mnie, bo ja nadal trzęsę się przed nią i czekam, kiedy przyłoży mi klapsa, wytarga za uszy, albo coś takiego zrobi, za co będę musiał ją znienawidzić.

— Tego nie robi, ona należy do ludzi, którzy nie przekraczają pewnych granic, trzyma się w ryzach. Nawet kiedy mnie tępiła, nie pozwalała sobie na wiele. Szanowałam ją za to, a teraz lubię, i już się jej nie boję, nie boję... — powtórzyłam ze śmiechem i pobiegłam do łazienki, Stefan za mną.

Śmialiśmy się bez żadnego powodu, biorąc prysznic. Nasze radosne głosy wypełniały cały dom, słońce dołączyło do nas, rozsiewając złoty pył na dywany. Było jasno, rześko, świątecznie. Jego rodzice, z których zdjęto widmo strachu, mogli się już tylko cieszyć, że ich syn się żeni. Z rozrzewnieniem wspominali swój ślub, liczyli lata. Kiedy się pobierali, byli młodszy niż my teraz, kochali się pewnie, ale po stracie bliskich czuli się przeraźliwie samotni, dlatego spieszno im było do ślubu. Dziś, z perspektywy lat mogą stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że byli i są szczęśliwi.

Mam nadzieję, że wy też będziecie — powiedział ojciec, biorąc nas w ramiona.

— Jesteśmy — oznajmił Stefan z blaskiem w oczach — pomyliłeś czasy, tato, jesteśmy szczęśliwi.

— Dzisiaj się wreszcie upiję — oświadczył z rozmarzeniem. Matce nie spodobała się ta decyzja.

— Nie zapominaj o swoim sercu, nie mówiąc o latach — skarciła go jak dziecko.

— Dziś właśnie o jednym i drugim chciałbym zapomnieć. I zrobię to, jak mi Bóg miły, zrobię, możesz być tego pewna. Dzisiaj upiję się z radości. No, dzieci — dokończył swoją ulubioną rybę wędzoną — na mnie już czas, mam do załatwienia kilka spraw. Za to od jutra nic już nie będę musiał, będę leżał na plaży...

— Pod parasolem — nie omieszkała uściślić jego żona.

— Oczywiście — potwierdził skwapliwie, cmokając ją w policzek. Nam dał do zrozumienia mrugnięciem, że wyłamie się wreszcie spod jej kurateli. Wychodząc, czułym gestem przygarnął mnie do siebie. Pachniał czystością i wodą kolońską tabak. Uwielbiałam ten zapach.

Przed ślubem musiałam jeszcze odbyć rytualną mykwę, taki jest zwyczaj. W specjalnej łaźni i przeznaczony do tego celu wannie, podobnie jak w Wiedniu, zanurzyłam się trzy razy w wodzie, zmywając w ten sposób z siebie wszystkie nieczystości i grzechy. Dostałam zaświadczenie, bez którego prawdopodobnie nie udzielono by mi ślubu, i po godzinie spędzonej u gadatliwego fryzjera w sztywnych loczkach, przyprószona błyszczącym lakierem wróciłam do domu. Przebrałam się w białą suknię i pantofle na obcasie. Mama umalowała mi tylko oczy, uznała, że usta w tym dniu powinny być naturalne, bez szminki.

Przed szóstą pojechaliśmy do domu weselnego, który należałoby właściwie nazwać pałacem ślubów. Był to piękny, nowoczesny gmach z marmuru i szkła, z salami bankietowymi, pokojami recepcyjnymi, z przestronnymi holami pełnymi foteli i błyszczącej zieleni w olbrzymich donicach i skrzyniach. Zamknięto mnie w pokoju i kazano czekać na niego. Bardzo to było śmieszne, przecież przyjechaliśmy razem. Zapoznałam się z jakimś dokumentem, w którym zastrzeżono alimenty dla mnie na wypadek rozwodu. Mało mnie to obchodziło, o rozwodzie w dniu ślubu nikt pewnie nie myśli, ja też nie myślałam. Byłam jednak zdenerwowana i czekając na niego paliłam bez przerwy, czego chyba nie należało robić, zgodnie bowiem ze starym obyczajem powinnam była pościć przez cały dzień. Posty są tutaj ważne, wiedziałam o tym, ale ponieważ od początku całą sprawę traktowałam czysto formalnie, wyleciało mi to z głowy. Byłam jednak tak przejęta, że na śniadanie poza kawą niczego nie tknęłam, obiadu nie zdążyłam zjeść, można więc powiedzieć, że pościłam. Teraz ssą mnie w dołku, w głowie miałam totalną pustkę, przemierzałam pokój dużymi krokami, szukając w papierosach oparcia.

Wreszcie zjawił się Stefan, ucałował mnie w ręce i nakrył mi twarz welonem. Nie wiem, czy wszystko co robił, było zgodne z rytuałem, ale on tak właśnie postąpił, po czym jego ojciec wraz z przyjacielem muzykiem wzięli go pod ręce i odprowadzili pod baldachim, gdzie stanął zwracając się twarzą w kierunku Jerozolimy.

Mnie w zastępstwie mojej matki prowadziła pod baldachim jedna z tych trzech Żydówek z Polski, ta co rzekomo знаła moją matkę jeszcze sprzed wojny, oraz matka Stefana. Szłyśmy niosąc zapalone świece, towarzyszył nam śpiew. Dziwne, ale nie czułam wzruszenia. Stoły uginające się od sałatek, zimnych zakąsek, szklanek, kieliszków, butelek i talerzy, nie pasowały jakoś do tej podniosłej chwili. Wokół baldachimu zgromadziło się mnóstwo ludzi. Dobrze, że staliśmy na podium, inaczej by nas chyba przygnietli. Kantor czystym, mocnym głosem śpiewał o wielkości Boga i o naszej radości. Tyle zrozumiałam, wschodnia jękliwa melodia nie rozbudzała radości, dla mnie nie było w niej nic wesołego.

Rabin z pejsami, z brodą, w kapeluszu, ubrany na czarno, wyglądał tak samo jak kantor. Nie wiedziałam, po czym się ich odróżnia.

Uśmiechnęłam się oczami do matki Stefana, która stała w pobliżu z twarzą nieprzemakalną i surową.

Patrząc na nią myślałam o swojej matce, jak by się czuła widząc mnie pod baldachimem? Chyba byłoby jej przykro, że zmieniam skórę, co innego gdybym brała ślub cywilny. Do Stefana nie miała już żadnych zastrzeżeń, do Żydów też nie, chodziło o tożsamość, o to, żebym została Polką w głębi duszy i w sercu. Była wielką patriotką, działała w konspiracji, po wojnie jeszcze przez jakiś czas wykonywała polecenia swoich dowódców i UB ciągało ją na przesłuchania. Była jakimś pionkiem w AK, dlatego jej nie aresztowali. Nam, swoim dzieciom, usiłowała również zaszczerpić tę swoją zbolalą miłość do ojczyzny.

Ja, w każdym razie, dzięki niej stałam się gorliwą patriotką, sądziłam tak jak ona, że Polak brzmi dumnie, że nasz kraj, nasz język, literatura, krajobrazy, miasta i wioski są najpiękniejsze na świecie, a my tacy dobrzy, mądrzy, szlachetni, wyrozumiali, i nagle wszystko to pękło, zamiast dumy pojawiło się uczucie wstydu i jakiejś rwące piekące miejsce. I tak już zostało. To miejsce wciąż nie chce się zbliżnić i boli...

Rabin odśpiewał nad czarą wina modlitwę poświęcenia, po której błogosławił nas, a kiedy skosztowaliśmy wina Stefan wziął złotą obrączkę i w obliczu dwóch świadków włożył mi ją na palec wskazujący mówiąc: „Oto zostajesz mi poświęcona tą obrączką według prawa Mojżesza i Izraela”.

Odczytano mi dokument, którego nie zrozumiałam, został bowiem

sporządzony w języku aramejskim, bo tym językiem Żydzi posługiwali się w czasach Chrystusa. Rabin uniósł następną czarę wina, pomodlił się nad nią, po czym odśpiewał siedem błogosławieństw zakończonych słowami:

Z wielką szybkością, o Panie Boże, niech rozniesie się po miastach Judy, po przestworzach Jeruzalem, głos radości i wesela, głos oblubieńca i oblubienicy, pełne tńumfu wołanie nowożeńców spod ich ślubnego baldachimu, wołanie młodych z ich rozśpiewanego serca. Błogosławiony jesteś, o Panie, który radujesz oblubieńca oblubienicą.

A kiedy znowu upiliśmy po łyku wina, Stefanowi podsunęto szklankę owiniętą w srebrny papierek, którą on rozgniół nogą wśród radosnych okrzyków *mazał tow, mazał tow*.

Stłuczenie szklanki jest symbolem, że nawet w chwilach wielkiego szczęścia należy opłakiwać zburzenie Świątyni Jerozolimskiej. Spod baldachimu odprowadzono nas do oddzielnego pokoju i zostawiono samych. Objęliśmy się i ucałowaliśmy z uczuciem ulgi, najważniejszą część — chupę, modły, śpiewy, błogosławieństwo i wreszcie tłuczenie szklanki mieliśmy za sobą. Stefan rozbił ją na drobne kawałki. To dobry znak, będziemy szczęśliwi, będziemy... W jego pocałunkach ciągle był żar warszawskich ukradkowych spotkań, namiętność tak silna jak kiedyś na koncertach w Filharmonii Warszawskiej, przekręcił szybko klucz w zamku, pomógł mi się uwolnić od długiej sukni i zaniósł na fotel. — Teraz — powiedział gorącym szeptem — musisz potwierdzić, że jesteś moją żoną, że mnie kochasz, że jesteś szczęśliwa...

Świadomość czegoś niewłaściwego czy zakazanego działa zazwyczaj podniecająco. Tak było i tym razem. Kochaliśmy się w niewygodnej pozycji, na fotelu, z orkiestrą huczącą za ścianą, z gośćmi wyjąłymi *mazał tow*, śpiewającymi pieśni na naszą cześć, i było nam dobrze. Jego dotyk, pocałunki, pieszczoty od pierwszego zbliżenia były dla mnie wielkim misterium, moje ciało odpowiadało na każde jego drgnienie, zawsze gotowe go przyjąć.

Nie czułam już ssania w dołku, senności ani zmęczenia, pełna dziwnej

lekkości spadałam w zawirowaniu z niedosiężnych szczytów i wznosiłam się ku niebu.

— Czy ty wiesz? — zapytał pomagając mi się ubrać — że u Żydów mąż ma prawo czynić z własną żoną wszystko, na co ma ochotę?

— Tak. Co w takim razie uczynisz ze mną?

— Będę cię nosił na rękach, będę ci kupował kwiaty, będę cię ogrzewał i chłodził, w skwarne upalne dni będę ci cieniem, a w chłodne noce ogniem gorącym...

— Ułożyłeś wiersz? Stefan! Wróciło natchnienie?...

— To się skończyło, nie umiem już pisać wierszy po polsku, a po hebrajsku jeszcze nie potrafię. Ten język jest chropowaty, brak mu elastyczności, półcieni, to język filozofów i mędrców, nie nadaje się do pisania wierszy miłosnych...

— A *Pieśń nad pieśniami*? To przecież najczystsza poezja miłosna?

— Widzisz, trudność polega na tym, że ja go znam zbyt słabo, nie mam słuchu, on jeszcze nie wszedł mi w krew... Wiesz co? Zarumieniłaś się jak niewinna panienka, wyglądasz bardzo ponętnie, ale nie jestem pewien, czy zasługujesz na takiego męża jak ja...

— Jestem pewna, że tak.

— A wiesz, że ja też?

Nie przestając żartować wyszliśmy wreszcie do gości. Na sali rozległy się okrzyki: *mazał tow, mazał tow*.

Mnóstwo osób podchodziło składać nam życzenia, musiałam uścisnąć dziesiątki rąk, wymienić tyleż samo uśmiechów, orkiestra grała niezmordowane ludowe i patriotyczne pieśni izraelskie, goście wrócili do stolików i zabrali się do dziesiątków sałatek, zimnych zakąsek, napojów. My też rzuciliśmy się na jedzenie. Stefan otworzył szampana, wypiliśmy zdrowie gości, znowu posypały się życzenia, wznoszono kielichy, przeważnie z coca-colą, i pito ją na przemian z wybornymi sokami, orkiestra zmieniła ton. Ruszyliśmy ze Stefanem do tańca.

— Muszę sprawdzić, jak tańczy moja żona — powiedział do gości. W ogóle z upodobaniem wymawiał to słowo i chyba go nadużywał. Pytał:

— Czy moja żona nie czuje zmęczenia? Czy moja żona ma ochotę na białe wino? Czy zje kurczaka, czy rybę?

Tańczyliśmy otoczeni wianuszkami innych par, wszyscy się do nas

uśmiechali, pozdrawiali nas, mówili miłe słowa. Potem była przerwa, piliśmy wino i znowu, znowu tańczyliśmy, ja z ojcem Stefana, z jego przyjaciółmi, z ich synami, z kolegami Stefana i wreszcie z Carlosem, o którym na śmierć zapomniałam.

On zaś z twarzą biblijnego proroka, z istic latynoskim temperamentem zabijał smutek w sambie. Oczy miał jak zwykle ponure i nieobecne, a kiedy w tańcu zbliżył się do mnie, spośród gęstego zarostu błysły w uśmiechu jego nieskazitelnie białe zęby, sypnął jakimś banałem o długim, szczęśliwym życiu, a po chwili zapytał:

— Czy to prawda, że w komunistycznych krajach ludzie się po kilka razy rozwodzą?

— Niektórzy tak — potwierdziłam.

— Mam więc nadzieję — powiedział z niezwykłą powagą — że zostawisz wkrótce tego szczęśliwca i nie zapomnisz, że ja czekam pierwszy w kolejce...

— Ja się nigdy nie rozwiodę.

— Powtórz to jeszcze raz, żebym nie miał cienia nadziei.

— Nigdy. Raczej umrę.

— A jeżeli on to zrobi?

— Nie pleć głupstw — odwróciłam się od niego i odnalazłam wzrokiem Stefana, który przeciskał się do mnie przez tłum.

Nie wiem, jak to się stało, że nie umarłam. Żyję w zupełnym zamroczeniu, po omacku, dotykam przedmiotów, przesuwam się z miejsca na miejsce, zapalam światło i gaszę, boję się uruchomić telewizor, nie mogę oglądać czołgów, pustyni, opancerzonych samochodów, twarzy w hełmach, masek przeciwigazowych i karabinów. Szukam ukojenia w muzyce, adapter gra, a ja mówię do siebie głosem monotonnym i cichym, wygłaszam coraz dłuższe monologi, układam listy. Jeden nieopatrznie wysłałam do Polski, błagałam w nim rodziców o pomoc, pisałam, że chcę wrócić, że już nie mogę, chciałam żeby mnie stąd zabrali. Pamiętam, podeszłam do okienka i poprosiłam o pokwitowanie, list poszedł jako polecony...

Bach rozwała ściany, wibruje, z potężną siłą uderza w sufit, za oknem tłusty księżyc z twarzą prześmiewcy.

Co robić? Dokąd pójść, kogo prosić o pomoc, rozpacz i ból pocięły mnie na kawałki, nie mam już rąk, nie mam nóg, głowy i serca, zamiast nich jest ból, wkrada się pod paznokcie, we włosy, do każdego gestu, jest w słowach, w milczeniu, na jawie i we śnie, w białych i różowych proszkach, które mają niszczącą moc i nie znieczulają. Ten ból nie pozwala mi umrzeć, lecz żyć z nim nie sposób. Wczoraj odkręciłam gaz, myślałam o tym wcześniej i nie mogłam się zdecydować, wreszcie uznałam, że nadeszła właściwa chwila, nie mogłam dłużej, ułożyłam się na podłodze, zamknęłam oczy, ból jakby zmałał, zaczął wyciekać ze mnie niczym powietrze z gumowego materaca.

Była noc, cisza, miasto już spało, w okno wciskały się mocne zapachy wiecznie kwitnących krzewów. „Nie” — usłyszałam nagle. „Nie”. Głos dochodził skądś z zewnątrz, z góry, z nieba, z dachu, ze ścian, wirował w powietrzu. Podeszłam do okna i stwierdziłam, że jest otwarte. Wszędzie było ciemno, cicho, nigdzie żywej duszy, a ja nadal słyszałam ten głos. Wyłączyłam gaz, co i tak nie miało znaczenia, ulatywał przecież na zewnątrz, wróciłam do salonu. Jeszcze nie zdążyliśmy go umeblować, mieliśmy to zrobić jesienią, na razie odkupiliśmy od sąsiadów kanapę i dwa fotele, żeby było na czym siedzieć przed telewizorem. Teraz są niepotrzebne, telewizji nikt nie ogląda, mialki pustynny pył osiada na ekranie, ubielił klawisze...

Ułożyłam się na kanapie i nasłuchiwałam, powietrze już zastygało, nie czułam żadnej wibracji, dalekie pomruki miasta dochodziły z rzadka jak tłumione ziewanie. Nagle zgrzytliwie i groźnie zabrzmiał dzwonek telefonu. Niechętnie podniosłam słuchawkę.

— Halo! — powiedziałam z wielkim trudem rozwierając usta, zaczynałam odzwyczajając się od mówienia.

— To ty Iguś? — usłyszałam niepokój w głosie. — Ja mam.

— Co robisz?

— Nic, siedzę.

— Byłaś dzisiaj w pracy?

— Byłam, a ty?

— Och! Co tam ja. Moja praca nic nie warta. Z ojcem niedobrze.

Zasłabł w nocy, musiałam go odwiedzić do szpitala, dzisiaj jest niby lepiej, ale musi tam zostać kilka dni, chcą go przebadać. Przyjedź, jak będziesz miała wolne, tęsknimy za tobą.

— Dobrze, mam, przyjadę.

— Nie siedź sama w domu, wychodź do ludzi, staraj się jak najwięcej przybywać z ludźmi.

— Postaram się. Śpij dobrze. Jutro do ciebie zadzwonię! — Jeszcze nie umiem z nią rozmawiać, odśrodkowe ciśnienie rozsadza mi piersi, wtłacza łzy do oczu, których jest coraz mniej, lepiej było, gdy mogłam płakać. Wiem, musi minąć wiele dni i wiele nocy w ciężkim śnie po barbiturianach, serce musi zamienić się w kamień, oczy i uszy w zwykłe preceptory słuchu i wzroku. Wątpię, czy to kiedyś nastąpi mimo pragnień, żeby stało się już, teraz. Muszę korzystać ze zdobyczy chemii, otepiam się, usypiam, zabijam ból, niszcząc w sobie wszystko co ludzkie i zbliżam się niebezpiecznie do tej kruchej granicy, gdzie kończy się człowiek a zaczyna automat.

Jeszcze przeważa we mnie człowiek, jeszcze jest wszechpotężny i wielki, chemia przy nim traci swą moc, lecz wbrew temu, co pisał Gorki, „człowiek” wcale nie brzmi dumnie.

Brzmi rozpaczliwie, żałośnie, przerażająco i strasznie, człowiek ze swoim bólem przypomina drobinę, rzuconą w kosmos, którą niszczy promieniowanie, brak punktu odniesienia, ciemność i zmieniające się temperatury, wszystko to naciera na nią z ogromną siłą i już dawno powinno ją zetrzeć na proch, a ona wbrew logice i jakby na przekór niej istnieje, kręci się, wiruje, rozpada na drobne cząsteczki i samorzutnie łączy w całość. Ja ciągle jestem w cząsteczkach, całości szukam we wspomnieniach. Dlatego, gdy chemia przestaje działać, zanurzam się w przeszłość i sięgam po zdjęcia, których dziesiątki, setki czy nawet tysiące leżą w szufladach, na półkach i w albumach. Stefan fotografował wszystko, miejsca święte, zabytki, ludzi, krajobrazy poczynając od Ejlatu aż po Rosh Hanikra, rafy koralowe, Qumran, Betlejem, widok z góry Tabor nad doliną Ezdrael, most na rzece Jordan, wykopaliska w Kafarnaum i mnie.

W każdym miejscu, na tle morza, starożytnych budowli i kamieni, wśród palm, piasków pustyni i wielbłądów fotografował przede wszys-

tkim mnie i tylko swojemu uporowi zawdzięczam to, że powtarzałam jego ujęcia, kazałam mu stawać w tym samym miejscu, w którym stałam przed chwilą i fotografowałam go, jakby przeczuwając to, co miało się stać...

Nasz pierwszy dzień na uniwersytecie też został upamiętniony. Stoimy objęci w pół przed nowoczesnym gmachem na górze Skopus. Jeden z kolegów uwiecznił nas na prośbę Stefana, tu jeszcze byliśmy razem, a potem każde z nas poszło w swoją stronę, ja na wydział ekonomii, on na historię. Spotkaliśmy się dopiero wieczorem w akademiku dla małżeństw, który od razu nazwaliśmy domem.

Nie było w tym żadnej przesady. W przestronnym pokoju z niszą na duży tapczan, z łazienką, czuliśmy się u siebie. Mieliśmy biurko, stolik, fotele, stół do jedzenia, miniaturową kuchenkę we wnęce, lodówkę, adapter i nasze płyty. Stypendium starczało nam na życie, środki piorące i podręczniki. Na przyjemności trzeba było zarobić. Stefan stróżował, ja reklamowałam kosmetyki, robiłam wywiady dla opieki społecznej, zajmowałam się dziećmi, nigdy jednak nie brałam prac związanych z gotowaniem i myciem naczyń, ciągle miałam do nich wstręt.

W tym czasie dużo jeździliśmy po kraju, każdą wolną chwilę poświęcaliśmy na zwiedzanie. Samochodem ojca objechaliśmy Galileę wzdłuż i wszerz. Teraz trudno wprost uwierzyć jacy byliśmy szczęśliwi. Właśnie zjadamy rybę w restauracji u św. Piotra na brzegu jeziora Genezaret. W Kanie Galilejskiej pijemy wino. Gruby właściciel, chyba Arab, podaje Stefanowi pękata butelkę, znowu jezioro Genezaret, które Stefan usiłuje przebyć suchą stopą, wpada po pas do wody i udaje, że tonie. Pod zdjęciem podpis: „I nikt mi nie spieszy na ratunek”. Teraz te żartobliwe słowa nabierają tragicznej wymowy.

Czarne bazaltowe skały z błękitnym lustrem nieba w pobliżu biblijnego miasta Chorazin wyglądają jak krajobraz z innej planety. Stefan pochyła się nad nimi z miną odkrywcy. Jest wczesne popołudnie, pierwsze godziny po sjeście, upał wsiąka w kamienie, szlifuje je, wygładza. Otacza nas mistyczna cisza błękitnego nieba i błyskotliwa czerń skał. Na zdjęciu z Qumran Stefan nie posyła uśmiechów, twarz ma skupioną, siedzi na kamieniu w kolorze piasku z Józefem Flawiuszem na kolanach i czyta ustęp o esseńczykach, którzy uważali się za

Synów Światłości, prowadzili niemal zakonny tryb życia i studiowali Torę.

Na wszystkich zdjęciach pełno błękitu i światła, a przecież zdarzały się dni deszczowe, parokrotnie w Jerozolimie padał śnieg. Na naszych zdjęciach go nie ma.

W pochmurne, zimne dni siedzieliśmy w bibliotece lub na wykładach i one nie zostały upamiętnione.

„Na własne śmieci” — taki tytuł nosi cykl zdjęć, które zrobił nam Carlos.

Na jednym przed akademikiem ładujemy do taksówki nasze ubrania i książki. Na drugim zdjęciu Stefan trzyma adapter — największy nasz skarb. Przeprowadzamy się do własnego mieszkania chcemy je szybko urządzić i wprawić w zdumienie rodziców, którzy wybierają się do nas z wizytą. Mamy już telefon, właśnie dzwonię do jego matki.

Stefan rozpakowuje szkło, za chwilę napijemy się szampana. Carlos zgolił wąsy i brodę, z gładką twarzą wygląda dziecinnie, czarne ogromne oczy rozświetla mu uśmiech, w mundurze wojskowym stał się mniej ponury, przyjechał na dwudniowy urlop. W salonie, oparty o ścianę stoi jego karabin. Na wszystkich zdjęciach pełno perlistego śmiechu, ruchu, dźwigania, wnoszenia. Winda, taras z widokiem na góry Judei, stolik, rozkładane krzesła, gęsty, przyjemny cień markizy, pod którą wciska się ciepły wiaterek. Szampan zdążył się już ochłodzić, zimne pęcherzyki przyjemnie szczypią w język.

Carlos wznosi toast. Odkąd nauczył się po hebrajsku, lubi przemawiać. Wyjął z ust gumę i życzy nam długich lat życia, setki wnuków, własnego domu z ogrodem, pełnego egzotycznych kwiatów. Mówi też o Izraelu z nadzieją i przekonaniem, że ten kraj, ku któremu wnoszą się oczy wszystkich Żydów, stanie się miejscem pokoju, sprawiedliwości, tolerancji i dobrobytu, a więc tym, czym już dawno powinien być jako ziemia obiecana.

Rodzice przyjechali nazajutrz, lecz nie mogłam się nimi zająć tak, jak tego pragnęłam. Pracowałam ciesząc się, że uda nam się odłożyć trochę grosza i odwiedzić wreszcie Jeannette, która wciąż na nas czeka. Wyszła za mąż, urodziła syna i prowadzi stateczny tryb życia, studiów jednak nie ukończyła, boi się, że ja postąpię podobnie i w listach przestrzega mnie przed tym. Nie dzielam jej obaw, zostały mi tylko

dwa egzaminy i praca dyplomowa. Rodzice spędzali czas nad Morzem Martwym, a Stefan obsługiwał kasę w super markecie. Dopiero wieczorem ściągaliśmy do domu i godzinami siedzieliśmy na tarasie, odpoczywając po całodziennych upałach. Niebo radowało nas blaskiem tysięcy gwiazd, w dole miasto pełne drgających świateł oddychało spokojem. Teraz miasto jest ciemne, gwiazdy dalekie, zimne...

Chemia jednak robi swoje, zasypiam z jego zdjęciem przy twarzy. Rano budzę się wystraszona. Wybuch nuklearny zmiotł wszystko z powierzchni ziemi, nie ma ludzi, nie słychać głosów, jestem sama w bezmiernej pustce, gdzie tykanie budzika brzmi jak głos syreny wyjącej na alarm, strumień wody leący z kranu wywołuje kolejne zdziwienie. Jak to możliwe.

Przecież w nocy bomby spadały na domy, zniszczyły miasto, gaje pomarańczowe, pola bawełny, plantacje pomidorów. A w kuchni gaz pali się niebieskim płomieniem, radio rozbrzmiewa wieloma głosami, autobus zatrzymuje się na przystanku, nic się więc nie stało, trzeba zdobyć się na wysiłek, wyjść z domu, dojechać do banku i przejść przez ogromną halę do swego biurka. Zanim tam dotrę, wiele serdecznych słów odbije się echem od mojego milczenia. Do przerwy obiadowej nie muszę z nikim rozmawiać, jestem podłączona do maszyny, a może stałam się już jej częścią.

Stefan w mundurze wojskowym czułym gestem obejmuje matkę, wolną ręką podnosi do ust filiżankę z kawą, już się nie uśmiecha, patrzy gdzieś w bok, za chwilę dopije kawę i opuści nas. Odprawdę go wraz z rodzicami na dworzec, a potem będę stała oparta o barierkę, usiłując oswoić się z jego nieobecnością.

Zawsze kiedy odjeżdża, czuję się opuszczona, niepotrzebna nikomu. Za chwilę jego ojciec zabierze mnie do kawiarni na lody. W przyjemnym cieniu, przy niezbyt głośnej muzyce będziemy snuć plany na przyszłość. Stefan zostanie na uniwersytecie, z pewnością zrobi karierę. Kiedy zaczniemy więcej zarabiać, pomyślimy o dzieciach, w tej chwili byłoby to szaleństwem, a my już nie jesteśmy szaleni. Czasem żałuję, że to się już skończyło, szaleństwa zostały w innym klimacie, w dalekiej Polsce, w Warszawie, która przestała mi się śnić.

Teraz na jawie i we śnie są bomby, wybuchy, nieprzyjacielskie samoloty uciekające w chmury, nie widać ich, ale wydają złowrogie dźwięki i ja ciągle je słyszę.

Stefan odjechał na rutynowe ćwiczenia, ja pracując dużo czasu spędzałam wśród ludzi i wcale się nie nudziłam, on często dzwonił, był na Synaju, dosyć daleko, nie mówił dokładnie gdzie, obowiązywała go przecież tajemnica.

Synaj to okropne miejsce, z jednej strony spływa piaszczystą równiną do morza, z drugiej wyrzusza się w góry. W dzień człowiek szuka schronienia we własnym cieniu, w nocy przenika go chłód. Kiedy tam byłam raz jeden i krótko, chciałam uciekać stamtąd po godzinie, przerażała mnie bezkres piaszczystej przestrzeni, a Stefan nie narzekał, pełnił służbę i strzegł naszego spokoju. Jego głos w telefonie brzmiał beztrosko, srebrzył się od uśmiechów.

— Jak się czujesz? — pytał — Dostałem twój list.

— Tylko jeden? Piszę codziennie wieczorem, rano wysyłam, nieraz podczas przerwy na obiad zaczynam pisać, kończę w domu. Mama telefonowała. Oboje z ojcem wzięli urlopy, chodzą na plażę... Dostałam kilka książek z Polski, ucieszysz się, są wiersze, sporo nowości. Rzuciłam się na nie jak sęp. Czytałam do drugiej w nocy. W pracy byłam nieprzytomna, musiałam ratować się kawą. Przysłać ci te wiersze?

— Nie. Jestem bardzo zajęty. Wyciskają z nas siódme poty.

— Nie przyjedziesz na święta? — Chyba nie. Za dużo chętnych, a ty co będziesz robić? Pojedziesz do rodziców?

— Ester zaprasza mnie do Tel Avivu.

— To jedź do niej! Tel Aviv to europejskie miasto. Dobrze ci zrobi taki wyjazd, świętość Jerozolimy bywa niekiedy przygnębiająca. Zadzwoń do was. Powiedz, czy dobrze śpisz? Czy chodzisz na obiady? Myślisz czasami o mnie? — Bez przerwy. Wiesz, że moje życie bez ciebie zamienia się w wegetację. Robię, co do mnie należy, ale nie żyję. Jeżeli nie możesz dzwonić — pisz, lubię twoje listy, lubię twój głos...

— Dobrze, będę pisał. Zadzwoń do mamy i powiedz, że u mnie wszystko okay. Gorąco jak diabli, ale ja to lubię, i w przeciwieństwie do ciebie dobrze się czuję na pustyni, tu jest rozległa przestrzeń, niepowtarzalne kolory. Kupiłem pastele i zaczynam malować... Muszę

kończyć, ale jestem przy tobie. Pamiętaj! W każdej chwili jestem przy tobie... Najgorsze są noce, kiedy się budzę i nie znajduję ciebie, odżywają stare lęki... Wiem, że to już niedługo, za trzy tygodnie będziemy znów razem, jedź do Ester, myślę, że potrzeba ci burzy.

Przy Ester człowiek nie mógł być senny, apatyczny czy zniechęcony. Ona była jak wicher, ciągle w biegu, organizowała coś załatwiała, interweniowała. Kiedy przyjeżdżaliśmy do niej ze Stefanem, zabierała nas do teatru, na koncerty, do swoich dziwnych znajomych i na wystawy. Teraz, ponieważ były święta i wszystko pozamykane, od razu z dworca chciała mnie wieźć do swoich podopiecznych, żeby mi pokazać prawdziwe życie. — Nie chcę — zaprotestowałam zdecydowanie. — Nie mam ochoty oglądać twoich nieletnich przestępców, mam wolne i chcę się kąpać w morzu, a ty rób co chcesz. Jeżeli musisz do nich jechać, to jedź, ja złapię taksówkę i pojedę do Hajfy, tam również jest morze.

— Przepraszam — przytrzymała mnie za rękę — myślałam, że będziesz chciała ich poznać, to naprawdę ciekawa młodzież.

— Nie interesują mnie twoi złodzieje, nie mam ochoty z nimi rozmawiać... Ty też daj sobie spokój! Jesteś za ładna, żeby się szwendać po melinach, mogą cię zgwałcić, poderżnąć ci gardło...

— Pewnie kiedyś to zrobią — roześmiała się wcale nieprzerażona, i już bez żadnych oporów zawiozła mnie na plażę. Nareszcie poczułam się wolna, pływałam, leżałam na piasku i patrzyłam w jesienne niebo, które powoli zaczynało nasiąkać ultramaryną. Wieczorem pojechaliśmy do niej na Brener Street, gdzie zajmowała dwa niewielkie pokoje. Okna wychodziły na słoneczną stronę i Ester z obawy przed gorącem nie odsłaniała ich. Pachniało u niej kurzem i ubraniami. Obfitość mebli i rzeczy, zgromadzona na niewielkiej przestrzeni, potęgowała jeszcze wrażenie ciasnoty, właściwie trudno było znaleźć skrawek wolnego miejsca. W jednym pokoju królowało pianino, rozrzucone nuty leżały nawet na podłodze, fotele nachodziły na siebie, zahaczały o powyginaną kanapę. Drugi pokój, który spełniał funkcję sypialni, gabinetu i garderoby, prezentował się nie lepiej. Wszystkiego było tutaj za dużo, ubrania nie mieściły się w szafach, tonęło pod nimi nie tylko łóżko, ale i biurko. Ester, widząc moją przerażoną minę, wepchnęła mnie do kuchni i zamknęła drzwi. W ciągu kilku minut zdołała uładzić jakoś jeden

pokój. Usiadłyśmy w fotelach z butelką wina i do późnej nocy gadałyśmy o miłości i życiu.

Ester była zdecydowaną przeciwniczką małżeństwa, nas ze Stefanem uważała za eksponaty z muzeum, nie mogła uwierzyć, że po tylu latach jest nam dobrze ze sobą. Ona zmieniała partnerów częściej niż buty, ceniła sobie niezależność i w przeciwieństwie do wielu niezamężnych kobiet nie narzekała na samotność. Poszłyśmy spać dopiero o świtaniu. Wstałyśmy późno. Było, o ile pamiętam, dobrze po dwunastej. Wzięłam prysznic i przygotowałam kawę.

— Jesz coś czy pościsz? — spytałam Ester, która już się obudziła, lecz najwidoczniej nie miała zamiaru wstawać, włączyła adapter i słuchała Bacha. — Poszczę, a ty rób co chcesz, pij, jedz!

— Kawy się też nie napijesz?

— Przecież wiesz, że pić też nie wolno.

— Wiem, ale ja się napiję.

Jom Kippur jest najważniejszym świętem żydowskim, należy więc pościć, a post u Żydów polega na całkowitym powstrzymaniu się od przyjmowania pokarmów i napojów, obowiązuje jeszcze zakaz mycia się, namaszczenia i współżycia płciowego. Podobnie jak w szabat nie wolno wykonywać żadnej pracy, jeździć samochodem, a nawet rozmawiać o interesach... Wielu Żydów normalnie nie przestrzegających żadnych zakazów w tym dniu idzie obowiązkowo do synagogi.

Ester jednak nigdzie się nie wybierała, wykapała się, ubrała i w końcu poprosiła o kawę, potem za moim przykładem zjadła nawet kilka winogron. Cały czas słuchałyśmy muzyki, a ponieważ było gorąco i duszno, Ester pozwoliła mi odsłonić i otworzyć okno.

Wyjrzałam na ulicę i cofnęłam się zaskoczona, jeszcze nie byłam przerażona, ale zdumienie na moment odjęło mi mowę. Po ulicy kręcili się ludzie, jeździły samochody. To było niezwykle.

W Sądny Dzień miasta są tutaj martwe. Nikt nie wychodzi na ulicę, nikt nie wyjeżdża samochodem, zazwyczaj jest tak cicho, że słychać bicie własnego serca, a tu nagle o drugiej po południu jeździły samochody, biegali ludzie, nawoływali się, mówili do siebie. Zawołałam Ester.

Przybiegła do okna i orzekła, że coś się musiało stać. Nastawiłam radio.

O drugiej trzydziści dowiedziałyśmy się, że jest wojna, zostaliśmy zaatakowani z dwóch stron. Egipcjanie wtargnęli na Synaj przez Kanał Sueski, Syryjczycy na Golan. Zaskoczenie było całkowite. Nie mogliśmy w to uwierzyć, jeszcze nie tak dawno Dajan zapewniał, że przez nasze umocnienia nad kanałem nawet ptak nie przeleci, a przeszła wielotysięczna armia z całym uzbrojeniem, czołgi, samochody pancerne, działa. Żydzi w tym czasie modlili się w synagogach, prosząc Boga o odpuszczenie grzechów, żołnierze pewnie też.

W Sądny Dzień, zwanym także Dniem Pojednania, Pan Bóg znów zakpił z nas. Suchy komunikat w radiu brzmiał rozpaczliwie, nasi wycofywali się na dogodne pozycje. — „Dogodne pozycje” — powtórzyłam zdrewniałymi wargami. Ester wybuchnęła płaczem, miała w wojsku brata i siostrę, lecz nie dlatego płakała, tu każdy ma kogoś w wojsku, ja też miałam, płakała z bezradności, ze strachu.

— Nie, nie — krzyczałam waląc się pięściami po głowie, czułam, że moje życie się kończy. Ester rzuciła się do mnie, objęłyśmy się płacząc, obie byłyśmy nieprzytomne, śmiertelnie przerażone.

— Co robić? Co robić? — pytała Ester czysto retorycznie, bo przecież nikt nie mógł jej odpowiedzieć. — Trzeba uciekać — rzuciłam bez zastanowienia. — Dokąd?

— U nas ludzie uciekali na wschód.

— Tam są Syryjczycy, zaatakowali nas.

— To już nie wiem, nie wiem — powtarzałam sparaliżowana strachem, nie mogąc dźwignąć się z miejsca.

Moja wrażliwość jest wyostrzona nienaturalnie. Pamiętam, że jeszcze długo po wyjeździe z Polski miałam koszmary nocne, zagrożenie przez Niemców tkwiło we mnie głęboko, ciągle mi się śniło, że mnie gonią, chcą zabić. Uciekałam z ubraniem w ręku, gdyż nie zdążyłam się ubrać. Było mi obojętne, czy mnie zabiją czy nie, przerażał mnie fakt, że jestem naga. Teraz przypomniał mi się ten sen, zdjęłam czym prędzej szlafrok i ubrałam się w sukienkę. Bałam się nawet pomyśleć o Stefanie, gdzie on jest, czy jeszcze żyje? Wojska egipskie parły do przodu, wydawało się, że nic ich nie powstrzyma, Synaj kurczył się, malał.

Zadzwoiłam do rodziców Stefana. Oni powiedzieli, żebym przyjechała. Razem będzie nam rażniej. Ja też tak myślałam.

Jechałam autobusem o wyciemnionych reflektorach, w tłoku, w dziwnie drażniącej ciszy. Strach czaił się wszędzie. Zastałam rodziców przyklejonych do radia, rozkojarzonych, z czerwonymi od niewyspania oczami. Oni również się bali. Oboje przeszli piekło obozów — Oświęcimia i Kłogi — i mieli prawo sądzić, że to już minęło, skończyło się bezpowrotnie, a teraz znów ten potworny strach zaglądał im w oczy. Stefan był na Synaju, w samym oku cyklonu, groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo, w każdej chwili mógł zginąć, ale o tym nikt z nas nie mówił, karmiliśmy się wiarą w siłę i niezwykłość naszej armii, w jej determinację i uzbrojenie. Jednego wszakże nie mogliśmy pojąć, jak to się stało, że dali się tak zaskoczyć, że się cofają? Oczywiście, przewaga liczebna wrogów była ogromna, staraliśmy się o niej nie myśleć i nie mówić, ale wszystkie obce radiostacje gadały o niej bez przerwy, wymieniały przerażające liczby.

Izrael jest małym krajem, mikroskopijną wysepką w arabskim morzu. Czy mógł się obronić przed tym zalewem, skąd miał brać na to siły i ludzi? Od Stefana nie było żadnych wiadomości.

Po dwóch dniach zobaczyłam, że życie toczy się normalnie, zadzwoniłam do banku i zapytałam, co się dzieje. W odpowiedzi usłyszałam: „No właśnie, co się dzieje? Dlaczego nie przychodzisz do pracy? Czekamy na ciebie. Przyjeżdżaj!”

Ester obiecała podwieźć mnie swoim samochodem do Jerozolimy.

Umówiliśmy się na dworcu autobusowym w Tel Avivie. Kiedy wysiadłam z autobusu, czekała już na mnie w swoim volkswagenie. Zapytała, czy miałam wiadomości od Stefana. Pokręciłam głową. Nie chciało mi się mówić. To była sprawa, o której nie rozmawiałam, a która wypalała mi wnętrze. Nie było sposobu, by ugasić ten ogień.

Ruszyliśmy z dworca w ponurym milczeniu. Między Tel Avivem, a górami Judei, na przestrzeni kilku kilometrów droga jest zupełnie prosta. Ruchu nie było żadnego, kursowały tylko autobusy, prywatne samochody nie jeździły, bo albo mężczyźni byli w wojsku, albo kobiety pracowały. Nie miał po prostu kto jeździć. Pogoda była przepiękna, rażące słońce, straszliwie jasne. Pierwszy raz poznałam co to wrogość przyrody.

W tej jasności i pustce czułam się jak owad pod mikroskopem,

niesłychanie mocno podświetlony. W maleńkim volkswagenie na pustej drodze stanowiłyśmy z Ester najwspanialszy cel, jaki sobie można wyobrazić. Nasze auto było jedyne na przestrzeni dwudziestu kilometrów. Potwornie się bałam. Przypomniał mi się mój sen: Jestem naga, uciekam mając świadomość, że leci na mnie wystrzelona wprost w plecy niemiecka kula. Ester zaciskała wargi i nie odrywała oczu od drogi, pędziła jak szalona, wyciskając ze starego grata kosmiczną szybkość, odetchnęłyśmy nieco, gdy wreszcie pojawił się zakręt, a za nim domy na wzgórzu, potem był las, góry...

Dojechałyśmy szczęśliwie. Wróciłam do pracy, tutaj życie toczyło się normalnie, nikt nie histeryzował, po prostu robiło się swoje bez żadnej filozofii. Robiło się to co należało, co trzeba było.

Codziennie umierałam ze strachu o Stefana, a kiedy on wreszcie zadzwonił, nie wiedziałam co powiedzieć. Radość uderzyła we mnie jak dzwon.

— Cieszę się — powtarzałam — Stefan! Tak się cieszę! — I rozplakałam się.

— Iguś! Nie płacz! Ja żyję, żyję — krzyczał głosem człowieka, który odzyskał mowę i cieszy się z tego. — Żyję. Czy ty to rozumiesz?

— Tak, tak, Stefan, najdroższy, kochanie moje, kochanie moje... Nic mu nie powiedziałam o swoich myślach, wstydziłam się ich, moje myśli były chore, marzenia i pragnienia szalone.

— Nic ci nie jest? — spytałam wreszcie. — Nie jesteś ranny? — Zaśmiał się dźwięcznie.

— Jestem cały, zdrowy, ale okropnie brudny i przepecony.

— Nie jesteś ranny? — powtórzyłam panując nad głosem, ale radość już pierzchła, już jej miejsce zajął niepokój wwiercający się w każdy nerw. Był zdrów i cały, mój Boże, a ja tak chciałam, żeby go postrzelili niezbyt groźnie w rękę lub w nogę, czasem w swoim obłędzie dochodziłam do tego, że targowałam się z Bogiem, oddawałam mu tę rękę czy nogę za jego życie. Szpital na tyłach byłby bezpiecznym miejscem. Modliłam się, odwiedzałam kościoły, synagogi, miejsca święte...

— Całuję cię, słyszysz?

— Ja ciebie też, mocno, mocno, najmocniej. Dzwon! Pisz! Błagam cię, proszę...

Zadzwoiłam do rodziców i powiedziałam, że telefonowałam, że nic mu nie jest. Żyje! Potem znów była cisza, długa miazdząca cisza przez cztery dni... Cztery dni to szmat czasu, wystarczy sekunda, żeby umrzeć nie trzeba czterech dni. Wystarczy sekunda.

Sytuacja na froncie uległa poprawie, nasi wreszcie przestali się cofać, przerwali egipskie natarcie, zaszli ich od tyłu, odcięli od Kanału Sueskiego i od własnego kraju. Trudno w to uwierzyć, ale tak było.

W krótkim czasie zmieniło się wszystko. Wielotysięczna armia egipska znalazła się w okrążeniu. Odetchnęliśmy, śmiertelne niebezpieczeństwo zostało zażegnane, cóż kiedy pokpiiliśmy sprawę nie wykorzystując do końca naszego zwycięstwa. Mogliśmy zadać wrogom śmiertelny cios i nie zrobiliśmy tego. Włączył się świat. Amerykanie i inni pożałowali egipskich żołnierzy, zaczęli wołać: „dajcie im pić, dajcie im pić, przecież to pustynia”.

Szlachetni ludzie często robią głupstwa, tym razem też użyli swoich wpływów, nacisków, politycy rozgdakali się niczym stado starych kwok i to ich gdakanie dochodziło do nas ze wszystkich stron, od przyjaciół i wrogów, od miłych, szlachetnych ludzi, którzy robili z nas potworów, okupantów i agresorów, zapominając, że my w tym morzu arabskim jak nędzna łupina zalewana falami... o tym nikt zdawał się nie myśleć, nikt nie chciał tego widzieć. A od Stefana nie było wiadomości.

Codziennie prosto z pracy wracałam do domu i nie odchodziłam od telefonu. Nie mogłam czytać, nie włączałam radia, bałam się, że nie usłyszę dzwonka, paliłam papierosy, piłam kawę i nasłuchiwałam. Każdy szmer rozpalał we mnie nadzieję.

— To on — mówiłam — usiłuje się połączyć z tej cholernej pustyni. Tam się wszystko psuje od tego piasku. Telefon rzeczywiście zaszemrał:

— Halo! Halo! — krzyczałam co sił — Stefan słyszysz mnie, to ja. Stefan! To ja. Odezwij się, proszę.

Cisza, nic, żadnego oddechu, tylko monotonne brzęczenie przewodów.

Naraz usłyszałam kroki inne niż zwykle, ciężkie, nierówne, posuwały się niemrawo, jakby ktoś coś dźwigał, zatrzymały się po moimi drzwiami, słyszałam wyraźnie. U nas tak jak w wielu mieszkaniach nie ma przedpokoju, wchodzi się wprost z klatki schodowej do salonu, stąd też wszelkie hałasy, a nawet szmery przedostają się bez przeszkód

do środka. Może to żołnierz w towarzystwie pielęgniarki przyszedł mnie zawiadomić o jego... Nie, nie — zdrętwiałam na samą myśl. Nie, nie... To terrorysta przyszedł mnie zamordować albo wysadzić w powietrze nasz dom. Tak, Arab stał za drzwiami. Nie miałam zamiaru ułatwiać mu zadania, coś jednak należało uczynić.

Podeszłam do drzwi i pokonując strach zapytałam:

— Jest tam kto?

— Tak. To ja. Otwórz! — usłyszałam znajomy głos, w którym brzmiały jakieś głucho tony. Przekreśliłam klucz w zamku.

— Carlos! Carlos! A to ci niespodzianka! Carlos! Tak się cieszę. No, wejdź, proszę, nie będziemy stali w drzwiach, niech ci się wreszcie przyjrzę.

Dopiero w pokoju, w pełnym świetle zauważyłam łaskę, podpierał się nią powłócząc usztywnioną nogą, lewą rękę miał w bandażach, na twarzy widniało kilka świeżych jeszcze szwów.

— Jesteś ranny! — wykrzyknęłam nie mogąc ukryć radości. — Ranny! Jakie to szczęście... Och! — Nie dokończyłam, naprawdę zachowywałam się idiotycznie. — Wylizesz się z tego, mam nadzieję, że to nic poważnego.

Wzięłam go za rękę i podprowadziłam do kanapy.

— Co to za zapach? — spytałam krzywiąc się z obrzydzenia. Zalaatywało od niego czymś nieprzyjemnym.

— Trupi — odpowiedział patrząc w podłogę.

— Nie rozumiem — bąknęłam zbита z tropu jego wyglądem i przedłużającym się milczeniem. Na kanapie siedział obcy człowiek z pociętą szramami twarzą i uciekał ode mnie oczami.

— Czego tu nie rozumieć — wychrypiał ze złością. — To zapach trupów, trupów. Ciężarówka, którą przyjechałem, była załadowana trupami.

Teraz rozumiesz?

— Rozumiem, nie krzycz! O Boże! Boże! — podniosłam łaskę, oparłam o stół. — Nie krzycz! — powtórzył z ironią. — Czy ty wiesz, co się dzieje w Tel Avivie? Co ja tam zobaczyłem? Miasto tętni życiem jak gdyby nic, kawiarnie są pełne, dziewczyny pięknie ubrane, ludzie robią zakupy, na ulicy sprzedają kwiaty. Sprzedają kwiaty. Masz coś do picia?

— Tak, proszę — nalałam jemu i sobie po pół szklaneczki brandy.

Wypił ją jednym haustem jak człowiek spragniony wody. Nalałam znowu.

— To się wprost nie mieści w głowie—nie przestawał się oburzać — na ulicach pełno ludzi, siedzą w ogródkach, piją kawę, jedzą lody...

— Carlos! — popatrzyłam na niego z bezgranicznym zdumieniem — przecież ty o to walczyłeś, żeby ludzie mogli siedzieć w kawiarniach, jeść ciastka i lody, życie musi toczyć się normalnie, nie ma w tym nic cynicznego czy okrutnego. To właśnie tak ma być, ty o to walczyłeś, żeby tak było. Czymś nienaturalnym, okrutnym i nienormalnym jest wojna, a miasto tętniące życiem jest jak najbardziej normalne. Nie ma się co oburzać... Pij! Może chcesz wziąć prysznic?

— Nie, dziękuję, już idę... Z moją mamą niedobrze, boję się nawet zadzwonić — machinalnie rzucił okiem na telefon, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaskrzeczał piskliwie.

— To pewnie Stefan — doskoczyłam do stolika, rozdygotanymi palcami chwyciłam za słuchawkę i od razu straciłam impet.

Dzwoniła jego matka. Pytała jak co dzień, czy nie ma od niego wiadomości.

— Jeszcze wcześniej. Czuję, że dzisiaj zadzwoni — odparłam z przekonaniem — jest u mnie Carlos, przyjechał na urlop. Za godzinę do was zadzwonię.

— Zapytaj go, czy czegoś nie wie o Stefanie.

— Mamo! Gdyby wiedział, już by powiedział, prawda?—zwróciłam się z uśmiechem do Carlosa, który przytrzymując się stołu pokuśtykał do okna i z jakimś osłupieniem i przerażeniem wyglądał na zewnątrz.

— Co ty tam widzisz? — spytałam, a ponieważ nie odpowiedział, spojrzałam w dół na ulicę i zeszywniałam.

Wąskim chodnikiem, sprawdzając numery domów szła w naszą stronę złowieszczą para. Dla kogoś nie wtajemniczonego oboje wyglądali zwyczajnie i nie kojarzyli się z niczym, dla nas był to znak, że ktoś poległ w boju, żołnierz niósł rodzinom zawiadomienie, pielęgniarka zaś spieszyła z zastrzykiem uspokajającym. Na kogo wypadnie? Na...

Uciekłam w głąb pokoju, nie chciałam widzieć dokąd idą. Carlos schylił się po laskę i zaczął się ze mną żegnać w popłochu.

— Co ty przede mną ukrywasz? — popatrzyłam na niego bliska płaczu.

— Usiądź, bardzo cię proszę! — niemal siłą umieścił mnie w fotelu.
— Powiedz, co wiesz, Carlos, powiedz! — znowu usłyszałam kroki, zbliżały się nieuchronnie do moich drzwi. — Powiedz!
— Stefan był na tej ciężarówce.
— Co? Nie! Nie! — ciemność przesłoniła mi oczy, ziemia się rozwarła, ściany domów runęły, przykryła mnie warstwa gruzów, nic już nie słyszałam, nie czułam, było ciemno, głucho, przestałam istnieć. Ostre, piekące światło wdarło się pod powieki, zacisnęłam je zadając sobie ból. Światło oznaczało życie, a ja chciałam umrzeć.
— Zgaście światło! — powiedziałam ze złością — chcę spać — naciągnęłam na siebie koc. Nieznośna cisza dzwoniła mi w uszach, lecz sen nie przychodził. Spać? Po co? Przecież on nie żyje. Zabili go na Synaju. Mamo! Czy ty wiesz, że jego już nie ma? Trafili go w głowę. Mamo! Dlaczego on mi się nie śni? Dlaczego w ostatniej chwili nie było go przy mnie? Dlaczego tego nie wyczułam? Zawsze porozumiewaliśmy się na odległość. Mamo! On żyje! Prawda? On żyje! Musimy w to wierzyć!
— Nie... — szeleści papierem i wsuwa mi przed oczy oficjalne zawiadomienie o jego śmierci. - Obudź się! Spałaś dwanaście godzin. Pielęgniarka była z tobą przez całą noc... Odprawiłam ją przed chwilą. Carlos dzwonił, jego matka umarła dziś w nocy... Zrobić ci kawy?
— Nie, nie — otworzyłam wreszcie oczy. — Boże! Boże! — lepiej było nie patrzeć na nią ani na nikogo. Przy mnie siedziała stara kobieta o twarzy przypominającej skorupę orzecha, z porcelanowymi oczami, pozbawionymi życia, mówiła cicho skrzekliwym głosem i połykała ślinę.
— Musimy żyć — odezwał się ojciec podchodząc do mnie z filiżanką rosółu i szybko odstawił ją na bok. — Musimy żyć — powtórzył trzęsąc się jak stuletni starzec. — Nie wiem jeszcze jak, nie wiem.
— Chcę iść na front, zabijać! — podniosłam się z łóżka.
— Tak, wiem — zgodził się ze mną. — Wojna się kończy, Egipt prosi o pokój.

— Zabijać! — czepiam się tej myśli, dopiero po chwili przychodzi refleksja, że przecież ja nie umiem strzelać, nie chodzi jednak o zabijanie, chcę iść na front i zginąć. Nie potrafię już żyć, poruszać się, spać, rozmawiać, przygotowywać jedzenia, spotykać się z ludźmi, wszystko w jednej chwili straciło sens, chcę uciec w ciemność, zanurzyć się z głową w gorącej wodzie i przestać istnieć.

Niewiele pamiętam z pogrzebu Stefana, byłam ogłupiała po proszkach i nieobecna. Wiem, że ktoś mnie przytrzymał za ramię, postawił nad grobem...

Ciemny orszak nieznanymi postaciami posuwał się w ciszy, ściskano mi rękę, potem jechałam dobrze znaną mi trasą przez dolinę nadmorską do Hajfy. Padało i była w tym jakaś ulga. Deszcz obmywał ziemię z brudu i krwi, przede wszystkim z krwi.

Z dni spędzonych u teściów nic nie pamiętam, były ciężkie, lepkie i nieprzejrzyste jak smoła. Po powrocie do domu napisałam do rodziców. *Kochani! Kochani moi! Zabierzcie mnie stąd, błagam Was! Nie zostanę tu dłużej. Ten kraj, który przywykłam uważać za swój, stał się przerażająco pusty, a ja rozpaczliwie samotna. Z nikim się nie widuję, z nikim nie rozmawiam. Żyję jak pustelnik. Ludzie przestali mnie obchodzić, nie słyszę nawet jak dzwonią, czy pukają do drzwi. Codziennie ktoś przychodzi z kwiatami, z jedzeniem, chcą coś dla mnie zrobić, pomóc mi zappełnić pustkę, rozproszyć mrok, a przecież jedno i drugie nie jest możliwe. Nie wiem, czym ugasić ogień, który mnie spala.*

Chcę stąd wyjechać. To pragnienie zaprzęta mi głowę i wyzwala chęć działania. Zdaje mi się, że przy Was, pod zimnym szarym niebem, bez tej upiornej jasności, co tnie po oczach i każdym błyskiem krzyczy o stracie, znajdę odrobinę spokoju. Może wieczny ruch w naszym domu uniesie mnie z prądem i włączy w swój rytm. Tutaj tkwię w bezruchu jak piłka porzucona

na boisku. Nie wiem, jak Wam objaśnić mój stan. Słowo ból nie oddaje istoty rzeczy, ale się do niej przybliża. Ten ból nie ustępuje ani na chwilę, rozrywa i miazdzy każdy nerw. A niebo nadał błękitne, nieprzyzwoicie piękne. Światło przenika rdzawe góry Judei, odsłania srebrny pas Morza Martwego, widoczny w przejrzyste dni z naszego tarasu. Tutejsze krajobrazy naznaczone historią zmuszają domyślenia o wieczności, mam ich już dosyć, dlatego chcę uciec.

Pisałam Wam o paszporcie. Gdybym go nie zgubiła, już by mnie tutaj nie było. W El Alu powiedziano mi, że samoloty kursują normalnie, do Warszawy można lecieć przez Wiedeń lub przez Genewę...

Jestem obok, z dala od ludzi wśród których pracuję, czasem się nawet uśmiecham, słucham tego, co mówią, kiwam głową, dziękuję za życzliwość, odpowiadam na pytania, ale nie potrafię rozmawiać. Słowa kamienieją mi w ustach i nie nadają się do użytku. W domu zasłaniam okna i nie zapalam światła. Ciemność przybliżyła mnie do niego, czasem oglądam zdjęcia, próbując reanimować trupy, do których siebie również zaliczam. Tamta dziewczyna z fotografii nie ma nic wspólnego ze mną. Ja cieszę czyste niebo, miękka, aksamitna woda, słońce i rozległa przestrzeń, ja zaś uciekam w mrok, razi mnie słońce i drażnią ludzie z jednego tylko powodu, że zostali wśród żywych.

Jestem egocentryczką, wiem, ale też nie pozuję na świętą. Codziennie wadzę się z Bogiem, tego co uczynił, nigdy Mu nie wybaczę. Jest bezdusznym starcem, który wkłada miecz w ręce pomyleńców i psychopatów, zamiast trzymać ich za kratkami. On nienawidzi Żydów, prześladowuje ich od stworzenia świata, mącąc im w głowach teoriami o wybranym narodzie. Nie chcę o Nim słyszeć, nie chcę z Nim żadnego przymierza, byłoby najlepiej, gdyby nas zostawił w spokoju.

Z tych dni w smole przebija się nikły promień, migocze na szybie w zimowym wietrze, budząc nadzieję, by nazajutrz pokazać mi język i zniknąć. Polskie władze nie chcą przyjąć do wiadomości prostego

faktu, że ktoś mógł zgubić paszport. Ja go zniszczyłam, ale o tym nikt nie wie, a ja się nie przyznam, choćby mnie obdzierano ze skóry. Rodzonej matce też nie powiem, potępiłaby mnie za ten uczynek, a mama już w drodze, jedzie, chociaż odmówiono jej paszportu na przyjazd do Izraela, otrzymała go natomiast bez trudu na wyjazd do Szwajcarii, na zaproszenie znajomej Miry, której nie widziała na oczy.

W listach i przez telefon posługujemy się szyfrem, nikt nie może wiedzieć, że mama wybiera się do mnie, pojechała do Szwajcarii, tam otrzyma wkładkę do paszportu z izraelską wizą, którą zniszczy po powrocie z Izraela do Genewy. W Polsce będzie opowiadać, że spędziła urlop w Szwajcarii. Podobno wiele osób tak robi. Kraje Europy Wschodniej — poza Rumunią — nie utrzymują z nami stosunków, dlatego nie pozwalają swoim obywatelom odwiedzać Izraela rzekomo dla ich dobra.

Na lotnisku mama zachowywała się dziwnie. Nie zauważyła mnie czy nie poznała? Tego nie udało się ustalić. Powiedziała później, że była zbyt przejęta i oszołomiona, żeby cokolwiek widzieć. Miała jakąś zasłonę na oczach i poruszała się jak we mgle, ale Mirę od razu wyłowiła z tłumu, rozwarła ramiona. Rozpłakały się obie. Ja do nich podeszłam.

Mój głos ją poraził, odwróciła się, zesztyniała i na kilka sekund znieruchomiła, potem jakby pokonując niechęć czy zdziwienie zamrugała oczami, które parowały od łez.

— Iguś! Kochana! Iguś! — runęła z płaczem na mnie. Dopiero w domu stwierdziła, że zeszczuplałam. Słowem nie wspomniała, że się zestarzałam i zbrzydłam. Wiem, jak jest i nic mnie to nie obchodzi.

— Macie już odpowiedź na moje podanie? Załatwiliście coś? Kiedy będę mogła wrócić? — spytałam szeptem, żeby Mira przygotowująca w kuchni kawę nie usłyszała. Jeszcze jej nie powiedziałam o swoich staraniach.

— Musisz być cierpliwa — powiedziała z uśmiechem, dodając mi

otuchy — ojciec twierdzi, że wszystko na dobrej drodze, ale musi jeszcze potrwać, wiesz Jak to jest z tymi biurokratami. Gdybyś miała paszport, sprawa byłaby o wiele prostsza...

— Czy to tak trudno wystawić paszport? Czy oni nie umieją pisać?...

— Nie denerwuj się, u nas wszystko trwa — pogłaskała mnie po głowie, objęła i przytuliła. W jej ramionach poczułam się jakbym weszła do ciepłego, przytulnego pokoju, na moment puścił ból, zelżało napięcie. W nocy wszystko wróciło. Obecność matki nie była w stanie niczego zmienić. To nie jej wina, ona robiła wszystko, żeby mi pomóc, to ja byłam zainfekowana, skażona. Przebywałam z nią w jednym pokoju i nie widziałam jej, to samo dotyczyło ludzi, wśród których się poruszałam.

Moja matka na własną rękę odwiedza miejsca święte, chyba nawet się modli, ja chodzę do pracy. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak jest. Za ciężkimi drzwiami, w chłodnym półmroku bankowych pomieszczeń czuję się na swoim miejscu, zasiadam do komputera, naciskam klawisze, na ekranie pojawiają się magiczne znaki i zapełniają sobą papiery. Abstrakcyjny świat liczb pozbawiony bezpośrednich związków z codziennym życiem przypomina tajemnicze misterium, które zaczynam lubić. Poruszam się w nim coraz szybciej i pewniej, chwilami odnajduję nawet wytchnienie.

W domu zmuszam się do jedzenia polskich potraw, które serwuje mama. Pierogi z kapustą, barszczyk, bigos, kopytka pęcznieją mi w ustach.

Uciekam z nimi do kuchni, wyrzucam je do wiadra. Mama podnosi krzyk:

— Dlaczego ty nic nie jesz? Wyglądasz jak muzułmanin, oczy podkrążone, zapadnięte policzki. Ile ty ważysz?

— Nie mogę, mamó, nie gniewaj się! — wybucham płaczem. Ona tuli mnie i szepcze cicho:

— Dziecinko, nie płacz, nic nie poradzisz. To już się stało. Byłaś taka szczęśliwa, wiem, pisałaś takie piękne listy, cieszyłam się razem

z tobą, chwilami nawet ci zazdrościłam. To nie mogło trwać wiecznie, szczęście jest jak promień światła, przelatuje, oślepia i gaśnie... Czas leczy najgłębsze rany, uleczy i twoją...

— Nigdy... — zaprzeczam szlochając. Mama przyciska mnie mocniej do siebie.

— To przejdzie samo... Szkoda, że nie masz dziecka, byłoby ci lżej... Czemu o tym nie pomyślałaś?

— Chcieliśmy zwiedzić świat. Paryż, Londyn, Grecję. Bardzo chciałam pojechać do Grecji... Dziecko by nas przytwierdziło do miejsca. Nie chcieliśmy tego, właściwie to on nie chciał, bał się, że dziecko nas rozdzieli, ja się z nim zgadzałam.

— Szkoda, szkoda — wzdycha nie zdejmując swych poduszkowa-tych rąk ze mnie. — Chciałabym mieć wnuka, dojrzałam już do tego... Widzisz, zaczynam się starzeć... Ojciec też, nie wiadomo jak długo pociągnie z tą wieńcówką...

— Ojciec ma chorobę wieńcową? Dlaczego mi nic nie mówiłaś?

— Mówiłam, ale do ciebie nic nie dociera, jesteś za szybko, ślepa, głucha. Nikogo nie dostrzegasz. Wszyscy się o ciebie martwią. Carlos wciąż dzwoni, ty z nim nie chcesz rozmawiać. Umarła jego matka, on tu podobno nikogo nie ma... A rodzice Stefana? Czy ty wiesz, jak oni się czują, stracili jedyne go syna. Czy ty zatroszczyłaś się o nich, czy coś dla nich zrobiłaś?

— A co ja mogę, co ja mogę, jestem taka słaba, bez sił... — płacząc zasypiam w jej ramionach, pierwszy raz bez tabletek.

Ranki były najgorsze, budził mnie ból serca. Zanim zdołałam otworzyć oczy, pojawiał się lęk przed jakąkolwiek czynnością. Myśl o śniadaniu napełniała mnie obrzydzeniem, pędziłam do łazienki, wymiotowałam żółcią.

We śnie widzę ciągle kolumny obcych wojsk wystawione na cel, żołnierze chowają się w okopach wydrążonych w piasku, przysypują się nim, a ja odnajduję ich za każdym wzniesieniem, strzelam, zabijam, trach, trach, tra ta ta. Dla nich jestem nieuchwytna, ich kule świszczą i przelatują obok, nie czyniąc mi żadnej krzywdy. Mam czapkę niewidkę i śmieję im się w nos.

— Stefan, Stefan! — powtarzam szeptem. — Odezwiij się! Daj mi jakiś znak! Gdzie jesteś? W kosmicznej próżni czy obok mnie?

Noce są teraz chłodne, niebo zimne z bezdusznymi ślepiami gwiazd, a mnie jest gorąco, duszno. Żółte i różowe proszki wywracają wnętrze więc ich nie biorę. Słucham muzyki, mama śpi, a ja ze słuchawkami na uszach błąkam się po Starym Mieście w Warszawie, zaglądam nad jezioro czerniakowskie, siadam na naszej ławeczce i wsłuchuję się w szelest liści, szybko jednak wygania mnie stamtąd nienawiść, uciekam by zanurzyć się w ciepłych otmętach Morza Martwego. Okno pchnięte od zewnątrz skrzypi leciutko.

— Stefan, to ty? Stefan! Cicho, ciemno, nikogo nie ma.

Trwa to strasznie długo, krew, mocz, okulista, ginekolog, testy, czekanie. Siwa, nieduża kobieta przygląda mi się z wielką uwagą, zdjęła nawet okulary, pyta czy miesiączkuję. Zwykle, rutynowe pytanie wpędza mnie w popłoch.

— Czy miesiączkuję? — powtarzam głupawo. — Chyba tak. Nie wiem, pamiętam, że kupowałam watę.

— Kiedy to było?

— Kiedy? — Pamięć nie podsuwa żadnych skojarzeń, dziura, mur, beton. Nie jestem w stanie przebić się przez nie. Czas rozmazuje się w próżni. Nic nie wiem.

— Jesteś w ciąży — mówi gruba pani doktor, bawiąc się okularami, przez które przepływa swobodnie słońce, promienie światła są jak lasery, przebijają szkła na wylot, nie czyniąc w nich wylomu.

Ponieważ milczę ona, pochyla się ku mnie zdziwiona.

— Uważasz, że to niemożliwe?

Wiadomość ta dotyczy kogoś siedzącego obok, w żadnym razie nie mnie, więc się nią nie przejmuję.

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz? — w jej głosie słychać tłumiony krzyk,

uśmiechem łagodzi szorstkość pytania, jest przecież lekarzem, a tutaj każdy zna swoje miejsce i nie pozwala sobie za wiele.

Wzruszam ramionami, patrząc jej obojętnie w oczy. Nie potrafię się cieszyć ani tym bardziej martwić.

— Nie chcesz tego dziecka? — pyta jeszcze łagodniej, a ja walczę z falami ciągnącymi mnie w głąb, usiłuję pokonać wir, wydobyć się na powierzchnię, złapać oddech.

— Chcę, chcę — powtarzam, żeby przekonać siebie i nie sprawić jej zawodu.

— Czwarty miesiąc - dziwi się. — Jak to możliwe, żebyś nic nie wiedziała.

— Krwawiłam.

— No właśnie. To się czasem zdarza. Musisz uważać na siebie, nie przemęczać się, nie dźwigać ciężarów, dobrze się odżywiać, rzucić palenie, nie pić alkoholu i przychodzić do mnie na kontrolę...

— Coś nie w porządku?

— Nie, ale jesteś wycieńczona. Zapiszę ci witaminy, staraj się jeść jak najwięcej owoców i warzyw, chodzić na spacer, jak najwięcej przebywać na powietrzu.

Kiwam głową, dziękuję zgadzając się z nią w zupełności, myślami jestem jednak gdzie indziej, poza obszarem tego gabinetu, oświetlonego niezwykle jasno kilkoma kulistymi lampami.

Jestem w Warszawie, na ulicy Bednarskiej, w mrocznym mieszkaniu kuzyna Iwony, leżę na tapczanie, odpoczywając po zabiegu, Stefan pochylony nade mną pyta, jak ja się czuję, czy bardzo mnie boli, czy nie jest mi zimno. Wszystko okay. — uspokajam go uśmiechem. Moja głowa waży kilkadziesiąt kilogramów, nogi mam z gipsu, kruche i ciężkie, boję się na nich stanąć, wsparta na jego ramieniu dochodzę do drzwi, a potem w dół, po schodach do taksówki czekającej na ulicy. Jego ciepłe spojrzenia dodają mi sił.

— Powinnaś się cieszyć, wszystko będzie dobrze — pani doktor ścisną mi rękę.

Ja się uśmiecham, ale nie ma we mnie radości, jakieś gruczoły przestały działać, natomiast funkcje umysłowe sprawują się bez zarzutu, z zimną precyzją odnotowują fakty: dziecko rozjaśni otaczający mnie

mrok, zapelni pustkę, zmusi mnie do ustawicznych zabiegów i starań, ale czy zdoła wypełnić sobą wszechświat?

Nie czuję go jeszcze w sobie, chociaż wiem, że ono jest, istnieje tak jak drzewo za oknem czy mebel zajmujący określone miejsce w pokoju, nie ma między nami żadnego uczuciowego związku, świadomość odnotowuje jedynie fakty. Dużo to, czy mało?

W domu znalazłam kartkę od mamy z informacją, że pojechały z Mirą do muzeum i wrócą późno. W pierwszej chwili zrobiło mi się przykro, chciałam z nią porozmawiać, chociaż zastanawiałam się, czy warto. W końcu doszłam do wniosku, że jeszcze nie teraz. Dobrze więc, że Mira wyręcza mnie w obowiązkach, ja jak dotąd nawet nie pomyślałam, żeby coś pokazać mamie. Nie miałam siły. Zresztą jaki sens miało chodzenie na Górę Oliwną czy do Bazyliki Grobu, gdy cały świat pogrążył się w mroku?

Mama to rozumiała i nie żądała niczego. Tkwiła przy mnie jak niańka, otulając mnie ciepłymi skrzydłami, wierząc niezmiennie w terapeutyczne działanie czasu. Nie wybrała najlepszej metody, mimo wszystko należało mnie zmuszać do wyjazdów i do zwiedzania. Biernie poddawanie się nieszczęściom i klęskom rujnuje nie tylko jednostki, ale i całe narody. My do nich należymy. Zrozumiałam to jedząc tym razem bez przykrości sałatkę z bakłażanów i pierogi, które stały od wczoraj w lodówce. Odsmażyłam je i tak jak w dzieciństwie postawiłam kopiasty talerz przed sobą. Jadłam słuchając muzyki.

Myślałam o siostrach. Dla mnie one nadal były małymi dziewczynkami. Mama mówi, że spoważniały, stały się prawie dorosłe. Wiadomość o śmierci Stefana bardzo nimi wstrząsnęła, przestały się nawet uśmiechać. W domu rozmawiają ściszonymi głosami.

Lubiły go, to fakt, pisały do mego długie listy, prześcigając się w dowcipach, a mnie co najwyżej przekazywały ucałowania. Niezbyt często myślałam o nich, stanowiły zamknięty rozdział w moim życiu. Przeszłość oddalała się jak obcy, groźny ład, żyłam intensywnie tym, co mnie otaczało, czym chciałam żyć, powoli może nawet wbrew sobie stawałam się kim innym.

Teraz wszystko wróciło, dom, chora, na wpół ociemniała babcia,

tatuś żyjący w lęku przed zawałem, a gdzieś w tle, w zapomnianej niemal scenerii migotał czerwony płomień Sebastiana. Bach już na zawsze pozostanie w tamtym krajobrazie z oknem wychodzącym na zdziczały ogród, a płomień świecy będzie nadal rozpałał tęsknoty za spełnieniem wielkiego misterium, które zwie się miłością.

Weszły cicho, na palcach, poruszają się bezszelestnie jak duchy, sądziły, że śpię, sprawdzają co zjadłam i są usatysfakcjonowane. Zaparzyły sobie kawę, czuję to po zapachu, szepczą, nie słysząc słów, mówią na pewno o mnie. Ich troskliwa obecność jest jak wał ochronny, rzadko przedrze się przezeń życzliwość sąsiadów, którzy nadal przychodzą i pytają, czy mi czegoś nie trzeba, proponują wycieczki. Jest przecież spokój, znów można jeździć nad Morze Martwe, do Twerii i do Tel Avivu. Oni jeżdżą i chcą, żebym się z nimi wybrała. Mama tłumaczy im po niemiecku, że chcę być sama, źle znoszę hałas, obecność innych.

Odchodzą z uczuciem ulgi, spełnili swój obowiązek, chcieli przecież dobrze. Jedynie Ester nie przejmuje się gadaniem mamy, odwiedza mnie ilekroć przyjdzie jej na to ochota, pije kawę i likier morelowy, w którym więcej jest cukru niż alkoholu, i gada. A ponieważ od jakiegoś czasu stała się monotematyczna, nie muszę słuchać, by wiedzieć co mówi o swoich przestępcach. Każdy z nich jest Janosikiem lub Jankiem muzykantom, a ona niczym dobra wróżka odkrywa talenty i posyła ich do szkół. Wie, że jej podopieczni nic mnie nie obchodzą i że nie słucham. Ale ona musi mówić i mówi.

Nadmierne gadulstwo jest chorobą znacznie groźniejszą niż moja mrukliwość. Dotyczy to wielu kobiet, niekoniecznie samotnych. Mojej mamie i Mirze też nic nie brakuje, ich szept przechodzi w dyszkancik, za chwilę zaczną się przekrzykiwać, a potem będzie im przykro, że mnie obudziły.

Zimny, deszczowy dzień, na niebie ciężkie wachlarze chmur, ciemno i obrzydliwie szaro. Na ulicach zmniejszony ruch. Większość sklepów zamknięta. Zbliża się szabas. Kobiety spieszą do domów zapalić świece,

ja również się spieszę, chociaż nie zajmuję się takim rzeczami jak świece. Mama czeka, przyzwyczałam się do jej obecności, lubię zastawać ją w domu, z przyjemnością słucham jak z nie słabnącym entuzjazmem wyraża swój podziw dla płodów tej ziemi:

— Popatrz co za bakłażany! — wykrzykuje, demonstrując mi fioletowe pędy w kształcie kielichów. — Kupiłam na rynku za grosze! A te ogóreczki! Powąchaj jak pachną, albo te mandarynki — wzdycha — twoje siostry nie wiedzą co to takiego. Napij się soku. — Wciska mi szklankę do ręki i znika w pokoju. Po chwili woła mnie stamtąd. W jej głosie dźwięczą srebrzyste tony, co niechybnie oznacza niespodziankę. Obie z Mirą prześcigają się w pomysłach, żeby mi sprawić przyjemność. Ja również postaram się coś dla niej zrobić. Jutro pójdziemy na Górę Oliwną i naszym szlakiem zjedziemy do kościoła Dominus Flevit, przedtem popatrzymy na złotą banię meczetu Skały, wstąpimy do Kościoła Stu Pacierzy. Obejrzymy sobie tablicę z „Ojczyzna nasza” w języku polskim. Odczytam głośno tekst bez żadnego wzruszenia.

— Co ty tam robisz? — niecierpliwi się mama. — Chodźże tu wreszcie. No tak, powinnam się była domyśleć. Na stole żarzy się jasnym płomieniem kolumnada z dwudziestu czterech świec.

— Och! Mamo! Pamiętałaś o moich urodzinach?

— Czy pamiętałam? — zżyma się z uśmiechem. — Jeszcze dziś na samo wspomnienie robi mi się słabo.

Życzenia mamy są stereotypowe jak wszystko, co robi, konwencjonalne, nijakie... Nie ma to żadnego znaczenia, i tak jestem wzruszona, łatwo się rozklejam, patrzę na nią wilgotnymi oczami, obejmujemy się, ja skrywam płacz pod milczeniem, moja głowa zwisa z jej pleców, nie widzi w ięc łez... Szybko wracam do normy, uśmiecham się do niej i razem podchodzimy do stołu. Dech mam potężny, świece padają jedna po drugiej jak kłosa zboża pod ręką żniwiarza, nalewam szampana, a mama z niezwykłym wdziękiem i wprawą kroi tort, taki sam, jaki robiła mi w domu na każde urodziny — orzechowy z czekoladowym kremem. Nie jadłam go od czterech lat, szampana też dawno nie piłam, ale na tym nie koniec, mama dozuje przyjemności i żeby jeszcze bardziej mnie wzruszyć, wręcza mi życzenia od ojca, skreślone jego ręką na odwrocie kartki z bukietem kwiatów.

Ojciec nigdy nie był wylewny w słowach, tym razem też pisze niewiele, tak jakby za każde słowo płacił tysiące złotych, ale i za to jestem mu wdzięczna, przyciskam kartkę do ust.

— Jest również list — mama nachyla się odruchowo i ścisza głos. Strach stał się jej drugą naturą. W jej wyobraźni UB rozrasta się do międzynarodowej mafii, jest wszechpotężne i co najgorsze niewidzialne. Czai się w ścianach, pod podłogą, w czerwonym pudełku telefonu. Wie, że tu nie ma podsłuchów, a mimo to się boi.

— Ojciec pisze — ciągnie tym samym ściszone głosem — że już wkrótce wydadzą ci paszport. Musisz jeszcze napisać do nich kilka słów o tęsknocie za krajem, dołączysz akt zgonu męża.

— Nie, mam, nie zrobię tego.

— Dlaczego? Tak trzeba, jeżeli chcesz wrócić do Polski?

— Zmieniłam zdanie. Nie chcę już wracać.

— Dlaczego? Co się stało?

— Jestem w ciąży. Twarz mamy rozbłysła.

— Tak? Gratuluję! Och! Boże! Tak?—ginę w jej ramionach, zalewa mnie fala gorąca. — Jesteś pewna?

— Byłam u lekarza, porobiłam wszystkie badania, testy.

— Dlaczego trzymałaś to w tajemnicy?

— Dowiedziałam się dopiero wczoraj, musiałam się z tym oswoić.

— To dobrze, dobrze — mama jest nieprzytomna ze szczęścia. — Pomożemy ci wychować dziecko, sama nie dasz rady...

— Dam radę — tłumaczę łagodnie z uśmiechem — tutaj wiele samotnych kobiet wychowuje dzieci. W Polsce zresztą też, z tym że tutaj tych kobiet jest nieporównywalnie więcej, tu co kilka lat jest wojna, giną mężczyźni, młodzi mężczyźni... Znam wiele młodych, pięknych wdów z dziećmi.

— One są u siebie, w swoim kraju, mają tu rodziców, krewnych...

— Ja też jestem u siebie. Mam tutaj rodzinę. Mira i Mosze są dla mnie bardzo dobrzy...

— Oni mieszkają w innym mieście, a w Polsce będziesz na co dzień z nami... Nie wiem, czy ci mówiłam, wykończyliśmy drugi pokój na górze, za rok wykończy się trzeci, jak dziecko podrośnie będzie miało swój pokój, ty też, na górze jest już łazienka, kupi się nowe meble...

— Mamo! — chwytam się ostatniego argumentu. — Moje dziecko będzie Żydem. Czy zdajesz sobie z tego sprawę.

— Pół-Żydem — uściśla nie patrząc na mnie — ale jakie to ma znaczenie i co to w ogóle ma do rzeczy?

— Ma, ma — wybucham niespodziewanie. — To wystarczy, żeby w Polsce nie czuło się u siebie. Zapomniałaś już o tym, co się działo w sześćdziesiątym ósmym? Nie wiesz jaki jest stosunek motłochu i ciemniaków do Żydów? Mam ci przypominać, mamo? Ja już o tym zapomniałam. Mam nadzieję, że Stefan też zapomniał... W Polsce nawet jak nie będzie Żydów, to się ich wymyśli. Polakom potrzebny jest kozioł ofiarny, ktoś na kogo mogą wskazując palcem powiedzieć: to nie my, to oni spartolili robotę, oni doprowadzili kraj do ruiny, oni strzelali do robotników, żydokomuna, masoni, cykliści, wszyscy tylko nie my, wspaniali, dumni Polacy.

— Jak ty nas nienawidzisz — popatrzyła na mnie ze zgrozą i odstawiła talerzyk z ledwie napoczętą porcją orzechowego tortu.

— Nie, mamo. Kiedyś tak, ziałam nienawiścią, gotowa byłam zabijać, teraz mam po prostu trzeźwe spojrzenie... Chciałam wracać, tak było, o niczym nie marzyłam tylko o tym, żeby znów ujrzeć Warszawę... Teraz nie mogę. Stefan byłby przeciwny... Zrozum mnie mamo i nie miej do mnie żalu... Dobry ten tort, napijmy się wina...

Mama podnosi się z fotela, pierś jej faluje, podbródek odcina się od twarzy głęboką bruzdą, z ręką na czole wybiega z kuchni. Po chwili dochodzi stamtąd ciche, przerywane kwilenie.

— Mamo! — niewyraźny szept zamiera mi na wargach, nie jestem w stanie wykonać żadnego gestu. Siedzę ogromnie żalując, że posłuchałam pani doktor i wyrzuciłam papierosy, po które mogłabym teraz sięgnąć. Wiem, że powinnam pójść do niej, objąć ją, pogłaskać po głowie, uspokoić. Jednak nie dźwigam się z miejsca.

Co ja jej mogę powiedzieć? Kilka banałów, które zna każde dziecko, zapewniać ją o swojej miłości i przywiązaniu, kiedy nic się we mnie nie tli, żadne żywsze uczucie poza nieosiągalnym pragnieniem spokoju. Nigdy nie było między nami głębokiej więzi, tym bardziej teraz jej nie ma. Nie jestem już tą dziewczyną, która wyjechała z Polski. Dla siebie i dla nich stałam się kim innym, chociaż zewnętrznie wcale się

nie zmieniałam.., Z ojcem poszłoby łatwiej, on na wiele spraw patrzy) szerzej i głębiej w kontekście psychologicznym, mamie pragmatyzm zawsze zawężał pole widzenia.

Gdy po dłuższej chwili zdobyłam się wreszcie na to, żeby pójść do niej, siedziała odwrócona plecami do drzwi w gryzącej smudze papierosowego dymu. Już nie płakała, oczami bez wyrazu wpatrywała się w przerażająco ciemne okno.

— Mamo! Nie gniewaj się! Ja nie mogę postąpić inaczej, staraj się mnie zrozumieć — pochylałam się nad nią, dotykałam palcami jej szyi.

— Wszystko rozumiałam, kiedy żył Stefan, ale teraz? — znowu pociąga nosem.

— Urodzę jego dziecko, mamo. To mnie do czegoś zobowiązuje, może niezbyt jasno się wyraziłam...

— Uważam, że przesadzasz... Polacy są inni, sami wiele przeszli i zrozumieli...

— Bardzo możliwe, ale kto się raz sparzył, dmucha na zimne... Mama w odpowiedzi wydała jakiś pomruk mający prawdopodobnie wyrażać aprobatę. Bezwolnym ruchem opuściła na stół ręce, którymi dotąd podpierała brodę, przymknęła powieki i oddychała ciężko jak po długiej forsownej wspinaczce. Wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do łóżka. Odwrócona do ściany czekałam aż się rozbierze, potem usiadłam przy niej i znów wzięłam ją za rękę, już nie miałam ochoty niczego jej wyjaśniać. Nastawiłam adapter i do późnej nocy słuchałyśmy Bacha, wciąż trzymałam ją za rękę, w końcu zasnęłam przy niej w ubraniu.

KONIEC